www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 1 (887)
2-8.01.2017
Cena 5,80 zł
(w tym 8% VAT)

Prof. Mirosław Filiciak: Rozum ustąpił emocjom

Polityczny ranking **Roberta Walenciaka**

Niemieckie plany **Trumpa**

Ludzie **Glempa** w radzie **Jaruzelskiego**

POLSKA TRZECH KRÓLI

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
9 771509 311706 01

eprasa.pl 5fa83ab

ROBERT
WIĘCKIEWICZ
JANUSZ
GAJOS
AGNIESZKA
ŻULEWSKA
TOMASZ
ZIĘTEK
KONWÓJ
CZASEM SAMI MAMY OCHOTĘ
WYMIERZYĆ SPRAWIEDLIWOŚĆ
W KINACH OD 13 STYCZNIA

RMF TeleTydzień Focus ams Przegląd AXN orange FILMWEB Militaria.pl polki.pl DEMOTYWATORY.PL onet.
eprasa.pl 5fa83ab64c

CYTATY

KS. PROF. ALFRED WIERZBICKI, KIEROWNIK KATEDRY ETYKI KUL
Na głupka wyszedł Kościół katolicki, który poparł PiS.
TOK FM

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI, PSYCHOLOG OSOBOWOŚCI
Choć nie do końca wiadomo, czym jest nadzieja, to wiadomo, jak brzemienna w skutki jest beznadziejność.
„Charaktery”

ANETA KRĘGLICKA, BYŁA MISS ŚWIATA, BIZNESWOMAN
Zawsze znajduję taki cel, którego nie osiąga się łatwo. Ciągle więc jestem w drodze na szczyt.
„Viva!”

TOMASZ OSSOLIŃSKI, PROJEKTANT MODY
Coraz większa grupa mężczyzn przestaje się wstydzić, że chce dobrze wyglądać.
„Angora”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Niezłomny prezydent

W kraju szaleją puczyści, gorszy sort knuje, jak w Warszawie zrobić Majdan, opozycja siedzi po ciemku w niedogrzanym Sejmie, a gdzie jest prezydent Duda? Czy to jeszcze kogoś interesuje? Pan prezydent zmęczony udawaniem głowy państwa i parodią negocjacji z liderami partii opozycyjnych pojechał na narty. Z całą rodziną. A co miał robić w Warszawie, gdy chwilowo PiS nic mu nie przygotowało do podpisania?

Andrzej Duda jest największym rozczarowaniem minionego roku. Warto przypomnieć, co mówił po ogłoszeniu wyniku wyborów prezydenckich: „Andrzej Duda jest prezydentem wszystkich Polaków. Zrobię wszystko, by podziałów nie było. Jestem człowiekiem niezłomnym i jestem człowiekiem wiary”. Szybko okazało się, że prezydent jest oszczędnie przywiązany do tych słów. Nie tylko nie zrobił niczego, by budować wspólnotę Polaków w sprawach najważniejszych dla państwa, ale w kwestiach tak fundamentalnych dla ustroju jak Trybunał Konstytucyjny stał się balastem. Zamiast być strażnikiem konstytucji, jest tym, którego podpisy zrobiły z Trybunału partyjną atrapę. A próby podtrzymania dialogu społecznego w jego wydaniu za każdym razem były tylko nic nieznaczącym pustosłowiem.

Bilans roku Dudy jest żałosny. I bardzo marny dla kraju. Bo smutny jest widok kompletnie niesamodzielnego, posłusznego wykonawcy poleceń, który realizuje je na dodatek z wiecznym uśmiechem na twarzy. Ta radosna mina zalecona mu pewnie przez jakiegoś doradcę od wizerunku tak bardzo kontrastuje z tym, co Duda robi, że odbiera resztki powagi temu urzędowi, który – niestety – sprawuje.

Jest jednak obszar, gdzie prezydent Duda bije rekordy aktywności. Nie opuścił chyba żadnej z ważniejszych uroczystości religijnych. Widać, że celebrę i pompatyczne występy lubi tak bardzo, jak hierarchowie katoliccy, których na okrągło nawiedza. I gorliwie wsłuchuje się w każde ich słowo. Tak dewocyjnej głowy państwa jeszcze w historii nie mieliśmy.

W ciągu kilkunastu miesięcy z pozycji mało znanego polityka przeszedł do kategorii znanych, ale bardzo mało znaczących polityków. Sam sobie na to zapracował.

PS Tego komentarza nie przeczytają w internecie pracownicy Kancelarii Prezydenta RP, bo jakiś ważny urzędnik zarządził, że nasza strona tam się nie wyświetla. Gratuluję rozumu i życzę w Nowym Roku poprawy zdrowia.

FAULE

Niedorzecznicy

Na koniec roku pochwała. Spodobała nam się pewna ocena. Gorzka dla „dobrej zmiany”, ale do bólu uczciwa. Ewa Zarzycka, p.o. redaktor naczelna „Tygodnika Solidarność” pisze, że „polityka informacyjna rządzących jaka jest, każdy widzi. Są resorty, gdzie wysyłane do biura prasowego pytania rozpływają się w niebycie, są takie, gdzie najważniejszym zadaniem tychże biur jest obrona pryncypała przed prasą. Jest rzeczniczka prasowa, która nie zejdzie do dziennikarzy czekających na nią w holu ministerstwa, bo… jest w pracy, i pani, wedle której informacja o konferencji prasowej nie jest przeznaczona dla żurnalistów”. Ten żałosny pochód zamyka Beata Mazurek, rzeczniczka PiS, która ma dla mediów tylko jedną propozycję: „Puknijcie się wszyscy w głowę”. Puknęliśmy się. I nie zniknęła.

BĄKOWSKI

eprasa.pl 5fa83ab64c

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA
8 **Rzeczpospolita prezesa**
Obywatel może odejść

KRAJ
11 **Kto zyskał, kto stracił, a kto rozczarował w 2016 roku?**
16 **Rozum ustąpił emocjom**
– rozmowa z prof. Mirosławem Filiciakiem

ZAGRANICA
20 **Obama ratuje przyrodę**
Wyścig o przyszłość USA
22 **Niemieckie plany Trumpa**
Korespondencja z Berlina
24 **Granice są tylko w nas**
Korespondencja z Idomeni
28 **Requiem dla Aleksandrowa**
Chór już nie zaśpiewa

PSYCHOLOGIA
32 **Jak ja cię kocham, stary**
– rozmowa z Jackiem Masłowskim

HISTORIA
36 **Przedwczesna próba kompromisu**
Rada Konsultacyjna przed Okrągłym Stołem

KULTURA
40 **Czas to pieniądz Romana Opałki**
Nowy rekord na polskim rynku sztuki
44 **Judasz według Panasa**
Niedoceniony autor
47 **Qulturalia**
66 **Patrioci codzienności**

KSIĄŻKI
48 **Od gospodarki strachem do pożegnania z Afryką**
Co czytał świat w 2016 roku
50 **Głód w Korei Północnej**
Kradzione bułki smakują bardziej

NAUKA
54 **Nobel dobrego humoru**
Za badania, które śmieszą

OBSERWACJE
56 **Kalendarze 2017** – serio i półżartem
58 **Koguty mają życie futbolistów**
Nielegalne walki w mieście bezprawia

FELITONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Niezłomny prezydent
19 **Bronisław Łagowski**
Śmierć zmarłym!
31 **Tomasz Jastrun**
Nie tylko rok 2016
35 **Edward Mikołajczyk**
Masakrowanie we właściwym kierunku historycznym
43 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Lepiej być nie może

20
ZAGRANICA

OBAMA RATUJE PRZYRODĘ
Wyścig o przyszłość USA

32
PSYCHOLOGIA

JAK JA CIĘ KOCHAM, STARY
– rozmowa z Jackiem Masłowskim

56
OBSERWACJE

KALENDARZE 2017
– serio i półżartem

Projekt: Iza Mierzejewska
Fot. Jan Bielecki/East News, Mariusz Gaczyński/East News, Bartosz Krupa/East News, Krzysztof Żuczkowski, Iza Mierzejewska

eprasa.pl 5fa83ab64c

JESTEM WDZIĘCZNY ZA STAN WOJENNY

Dopiero teraz widzę, jakimi nieudacznikami byli niektórzy czołowi działacze Solidarności, którzy przy Okrągłym Stole otrzymali od „komuchów" władzę wraz z całym majątkiem państwowym. Jeszcze dziś wydaje im się, że to wszystko sobie wywalczyli, a przecież prawda jest taka, że dostali to wszystko na tacy, bo zaistniały po temu warunki. Skończyła się epoka doktryny Breżniewa, przyszła epoka Gorbaczawa i rozpadu ZSRR, a tym samym nieaktualny stał się podział Europy na strefy wpływów ustalony przez trzy mocarstwa na konferencjach w Teheranie i Jałcie.

Kim byli nasi nowi przywódcy? Niestety, to byli nieinteligentni nieudacznicy, bez osiągnięć na jakimkolwiek polu, niepotrafiący niczego racjonalnie ani zaplanować, ani wykonać. Wyspecjalizowani nie w pomnażaniu dóbr, tylko burzeniu nawet tego, co dość sprawnie funkcjonowało, kierujący się nie racjonalizmem, lecz utopijnymi emocjami. Nigdy do kasy państwowej niczego nie dołożyli, ale zawsze byli i są skorzy do szarpania z niej na swoje fanaberie. Zniszczyli ogromny potencjał przemysłowy, w tym w pełni zmodernizowany i nowoczesny przemysł lekki. Z roku na rok coraz bardziej zadłużają państwo, doprowadzają do masowej emigracji najzdolniejszej części młodzieży. Czego się tknęli, to zniszczyli. Przypomnę tu elektroniczny system liczenia głosów, Pendolino, stadninę w Janowie, a z poważniejszych wpadek koszty budowy autostrad czy uzbrojenie armii. Takich przykładów z 26 lat jest wiele.

To o takich Józef Piłsudski mówił: „Do polityki garną się ludzie, którzy niczego nie osiągnęli, a więc nieudacznicy i darmozjady. Polityka to dla nich deska ratunku, mogą godnie żyć, nie dając w zamian nic".

Jeszcze dziś ogarnia mnie przerażenie, kiedy uświadamiam sobie, że to właśnie oni, ci nieudacznicy, hurapatrioci, pod koniec 1981 r. chcieli poprowadzić patriotyczną młodzież na krwawą wojnę z całą potęgą Breżniewa. Panicznie się bałem o życie syna, bardziej niż w czasie wojny o swoje własne. To dlatego dzień 13 grudnia 1981 r. wspominam jako dzień ulgi od strachu. I dlatego jestem wdzięczny za stan wojenny:

Za to, że uniemożliwił szaleńcom poprowadzenia mojego syna studenta i jego kolegów strajkujących na Politechnice Łódzkiej z kamieniami na radzieckie czołgi. Za to, że nie muszę chodzić ze zniczem w garści i nienawiścią w sercu na grób bohatersko poległego syna. Za to, że mogę się cieszyć wykształconymi, inteligentnymi wnukami. Za to, że nasza młodzież nie została wsadzona do bydlęcych wagonów, aby po parotygodniowej podróży ci, którzy przeżyli, zostali wysadzeni na jakiejś stacji bajkalsko-amurskiej magistrali we wschodniej Syberii. Za to, że moje miasto, Łódź, nie zamarzło, choć zapasy węgla w elektrociepłowniach dramatycznie się kończyły, a górnicy i kolejarze strajkowali.

Ci, którzy potrafią racjonalnie myśleć, wiedzą, że groziła nam niewyobrażalna katastrofa z milionami ofiar zabitych i rannych, zagłodzonych i zamarzniętych.

Grzegorz Ulman, ojciec i dziadek, który przeżył prawdziwą wojnę w Litzmannstadt (…)

ZDJĘCIE TYGODNIA

Chcę prawdy o moim synu. Kto za nim stał? Nour El Houda Hassani, matka Anisa Amriego, odpowiedzialnego za krwawy zamach w Berlinie, twierdzi, że śmierć uniemożliwi poznanie prawdy i motywów, jakie nim kierowały.

FOT. AP/FOTOLINK/EAST NEWS

eprasa.pl 5fa83ab64c

★ **DR ADAM DOMANASIEWICZ** i zespół lekarzy z kliniki Chirurgii Urazowej i Chirurgii Ręki Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu dokonali pionierskiego przeszczepu ręki osobie, która urodziła się bez lewej dłoni i części przedramienia.

★ **GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI**, dowódca generalny Rodzajów Sił Zbrojnych, złożył dymisję z funkcji, którą miał pełnić do 2018 r. Z wojska, którym kieruje Macierewicz odchodzą kolejni oficerowie o największych kwalifikacjach. W minionym roku stanowiska stracili wszyscy najwyżsi dowódcy.

★ **O 20% WZROSŁA W TYM ROKU LICZBA WYJAZDÓW DZIECI NA ZORGANIZOWANY WYPOCZYNEK**, co wiąże się z programem 500+. Zyskali na nim też producenci ubrań, żywności i zabawek. Niestety, wzrosła także sprzedaż papierosów i wódki.

★ **JÓZEF HEN**, pisarz i scenarzysta, został laureatem **NAGRODY SPECJALNEJ STOWARZYSZENIA FILMOWCÓW POLSKICH** przyznanej za przyczynienie się w wyjątkowy sposób do rozwoju polskiej kinematografii.

★ Film dokumentalno-animowany **„KARSKI I WŁADCY LUDZKOŚCI" W REŻYSERII SŁAWOMIRA GRÜNBERGA** otrzymał prestiżową nagrodę Ławr, uznawaną za rosyjskiego Oscara filmu dokumentalnego.

★ **POLSKI ZŁOTY** stał się wymienialny na chińskiego juana. Decyzja chińskiego rządu ułatwi polskim firmom współpracę gospodarczą z chińskimi.

✖ **PREZYDENT DUDA** mianował sędzię Julię Przyłębską prezesem Trybunału Konstytucyjnego. Mimo sprzeciwu autorytetów prawniczych i większości tego środowiska Duda konsekwentnie niszczy tę instytucję.

✖ **ABP HENRYK HOSER**, ordynariusz diecezji warszawsko-praskiej, z właściwą sobie bezczelnością odniósł się do konstytucji i zasad państwa prawa. Według hierarchy konstytucję trzeba zmienić, a wiele dyktatur było państwami prawa. Zapomniał tylko, że były to państwa ultrakatolickie.

✖ **ZBIGNIEW HOFFMANN (PiS)**, wojewoda wielkopolski, zbojkotował centralne obchody 98. rocznicy powstania wielkopolskiego, bo chciał, by odczytano na nich apel smoleński. Zorganizował własne obchody w Lesznie, gdzie walk w 1918 r. nie było, ale apel odczytano. Czym mieszkańcy Leszna zawinili PiS?

✖ **O PONAD 60% SPADŁA W TYM ROKU LICZBA ZAKŁADANYCH W POLSCE ODDZIAŁÓW FIRM ZAGRANICZNYCH**. W ciągu trzech lat zamknęło działalność już 365 spółek reprezentujących zagraniczne firmy.

✖ **W 2015 ROKU POLACY ZAWARLI PRAWIE 188 TYS. MAŁŻEŃSTW,** ale aż 67 tys. skończyło się rozwodem. Nie bacząc na to, że 62% małżonków ślubowało w kościołach.

PRZE✦BŁYSKI

MARSZAŁEK, WSZYSTKO JEDNO, KUCHCIŃSKI

Panie marszałku kochany. Wzruszenie pańskimi słowami towarzyszyło nam przez całe święta. Dzięki panu były one radośniejsze niż zwykle. Bo ile razy wspominaliśmy o panu, było wesoło. By nie powiedzieć śmiesznie. Panie marszałku Kuchciński, może jeszcze do pana nie dotarło, ale po tym, co pan ogłosił w czasie niesławnych głosowań w Sali Kolumnowej Sejmu, przeszedł pan do historii. Od pańskich słów będzie można zaczynać lekcje wychowania obywatelskiego w szkołach: „Kto się wstrzymał? Dziękuję, nie widzę. To znaczy wszystko jedno, czy widzę, czy nie widzę".

BISKUPIA OBŁUDA

Biskup włocławski Wiesław Mering pyta, skąd tyle agresji i nienawiści w naszych sercach. Dla lokatora bogatego pałacu zło to opozycja, która mąci, zakłóca i hańbi powagę rocznicy. Zło to także miniony system i tamte straszne czasy.

Mering nie od dziś tak bajdurzy. Tak już ma, że szczuje swoją armię na ludzi, którzy nie uznają biskupiej obłudy. Teraz wymyślił sobie „wielką zaporę modlitwy", która uchroni naród i ojczyznę. No i mamy czysty surrealizm. Zacietrzewiony doktryner przebrany za ojca diecezji.

TARGALSKI NA GENERAŁA

Drogę od majora do rektora, a po drodze do generała brygady Ryszard Parafianowicz przebył w kosmicznym jak na wojsko tempie. W 2013 r. był jeszcze niezbyt wyróżniającym się majorem w 3. Batalionie Inżynieryjnych w Nisku, a w 2016 r., dzięki „dobrej zmianie", został magnificencją rektorem Akademii Sztuki Wojennej. Kolejnego dziwoląga wymyślonego przez Macierewicza. Dziwoląga, który zastąpił Akademię Obrony Narodowej. Cel był prosty, jak żołnierska menażka. Fachowców wyrzucić, a zatrudnić pisiewiczów. Udało się z naddatkiem. Nową kadrę Parafianowicza reprezentują m.in. tak egzotyczne postacie jak blisko powiązany z Macierewiczem Jerzy Targalski. Ze słowotoku Targalskiego śmieją się najwierniejsi pisowcy. Śmialiby się ciszej, gdyby wiedzieli, jaką on kasę bierze za to majaczenie. Zazdrośnicy mogą jeszcze bardziej się zdziwić, gdy Antoni zrobi z Targalskiego generała.

FOT. SEJM.GOV.PL, YOUTUBE.COM, MAT. PRASOWE

eprasa.pl 5fa83ab64c

www.sklep.mleczko.pl www.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy takie akcje jak WOŚP budują codzienną solidarność?

DR HAB. NATALIA GARNER, *socjolożka, badaczka kapitału społecznego, Wydział Filozofii i Socjologii UW*

Badania pokazują, że dobroczynność i udział w wolontariacie wynikają z wielu postaw, a nie je kształtują. W takich akcjach uczestniczą ci, którzy mają do tego skłonność. Może ona wynikać z partykularnego interesu („moja rodzina skorzysta na działaniach tej organizacji"), poczucia solidarności z obdarowywanymi i z innymi wspierającymi (wolontariat ma istotny aspekt towarzyski), własnej satysfakcji i poczucia spełnienia jakiegoś obowiązku wynikającego z norm społecznych („co inni powiedzą, jeśli nie wpłacę?"). W przypadku akcji adresowanych imiennie (np. Szlachetna Paczka) może powstać bezpośrednia więź między dającymi i obdarowywanymi, ale i tak mamy do czynienia z autoselekcją – osoby o prospołecznym nastawieniu częściej w nie się angażują niż te, które charakteryzują się podejściem indywidualistycznym. Oddzielną kwestią jest to, czy możemy oczekiwać, że wydarzenie jednorazowe trwale zmieni relacje międzyludzkie. Postawy i wartości są mało podatne na zmiany; co więcej, takie akcje nie wymagają zbyt wielkiego zaangażowania, by miały charakter formacyjny (nie można pod tym względem porównać datku 20 zł z dwuletnim wolontariatem w domu opieki). Akcje typu WOŚP są jakąś miarą solidarności społecznej, ale trudno przyjmować, że trwale wpłyną na stosunki między ludźmi. I nie taki jest ich cel: mają raczej pokazać, że możliwa jest współpraca na wielką skalę, gdzie przy niewielkim wkładzie darczyńców dzięki ich dużej liczbie mamy wymierne efekty.

CEZARY MIŻEJEWSKI, *Wspólnota Robocza Związków Organizacji Socjalnych*

To dość przewrotne pytanie, skoro mówimy o akcji organizowanej raz w roku. Właściwa odpowiedź brzmi – nie. I choć czasem mam poczucie, że Jurek Owsiak tworzy wrażenie, że bez WOŚP nie istniałaby polska służba zdrowia, jego inicjatywę należy oceniać pozytywnie. W społeczeństwie jest tak mało solidarności i empatii, że nawet jeśli udział w Orkiestrze bywa wygodnym usprawiedliwieniem dla naszych sumień na resztę roku, nadal warto kultywować takie postawy. Podobny zarzut można postawić przekazywaniu organizacjom społecznym 1% naszego podatku, co również jest akcją jednorazową i ulegającą medialnym skrzywieniom. Zastanówmy się jednak, czy gdyby takich wydarzeń nie było, codziennego braterstwa byłoby więcej? Jest wystarczająco dużo miejsca zarówno dla solidarności na co dzień, jak i tej raz do roku. Warto jedynie przemyśleć, jak prezentować jedną i drugą w mediach, aby promowany był każdy odruch na rzecz współobywateli, a nie tylko te odświętne.

JUSTYNA SAMOLIŃSKA, *publicystka STRAJK.eu*

WOŚP czy Szlachetna Paczka mają jedną fundamentalną zaletę: bardzo łatwo się w nie zaangażować i zobaczyć, że działanie na rzecz jakiegoś wspólnego dobra czy innego człowieka w potrzebie daje satysfakcję. Na najbardziej podstawowym poziomie pokazują, że nie należy patrzeć tylko na czubek własnego nosa – a to już jakiś punkt wyjścia. Niestety, animatorzy tych akcji prześcigają się w uderzaniu w najskuteczniejszą formę społecznej solidarności, jaka dzisiaj istnieje, czyli w państwo. Owsiakowi udało się wmówić milionom ludzi, że jednodniowa zbiórka charytatywna jest skuteczniejszym sposobem finansowania służby zdrowia niż obowiązkowe składki, zaś ks. Stryczkowi – że da się w Polsce „wyłudzać" jakiś magiczny „socjal", finansowany z podatków ciężko pracujących ludzi, i że jest to powszechne zjawisko. Działalność charytatywna staje się narzędziem przekonywania ludzi do mniej empatycznego, mniej solidarnego i gorzej działającego państwa.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl 5fa83ab64c

RZECZPOSPOLITA PREZESA

Oskarżając opozycję o przygotowywanie puczu, Jarosław Kaczyński próbuje odwrócić kota ogonem

Krzysztof Pilawski

Ankieterzy TNS Polska na zlecenie „Faktu" zadali 26 stycznia 2016 r. pytanie 1017 Polakom: „Kto według pana/pani rządzi w Polsce?". 54,8% respondentów wskazało na Jarosława Kaczyńskiego, zaledwie 17% na Andrzeja Dudę, choć prezydent w polskim porządku ustrojowym jest najwyższym przedstawicielem państwa, czuwa nad przestrzeganiem konstytucji, stoi na straży suwerenności i bezpieczeństwa. Jedynie co dziesiąty ankietowany stwierdził, że krajem rządzi Beata Szydło, a przecież premier – na mocy ustawy zasadniczej – kieruje pracami rządu, kontroluje pracę członków Rady Ministrów, jest zwierzchnikiem wielotysięcznej administracji rządowej. Gdyby podobny sondaż powtórzono obecnie, zapewne okazałoby się, że przekonanie o sprawowaniu władzy w Polsce przez Jarosława Kaczyńskiego byłoby jeszcze powszechniejsze. Tym bardziej że prezes PiS już nie ukrywa swoich wpływów, ale manifestacyjnie je demonstruje, jak w czasie konferencji 21 grudnia, na której pani premier oraz marszałkowie Sejmu i Senatu odegrali rolę jego świty.

PRZED BOGIEM I HISTORIĄ

Porównywanie Jarosława Kaczyńskiego do kierującego rządem Jerzego Buzka z tylnego siedzenia Mariana Krzaklewskiego, przewodniczącego Solidarności i klubu parlamentarnego AWS, nie ma sensu, bo w tamtym czasie na straży konstytucji stał wywodzący się z przeciwnego obozu politycznego Aleksander Kwaśniewski. Podobnie nietrafione jest porównanie prezesa PiS do I sekretarza KC PZPR: Polska Zjednoczona Partia Robotnicza była – jak zapisano w konstytucji PRL – „przewodnią siłą polityczną". Prawo i Sprawiedliwość jest partią rządzącą, ale ustawa zasadnicza jej nie wyróżnia.

> Prezes PiS już nie ukrywa swoich wpływów, ale manifestacyjnie je demonstruje.

Nie ma żadnej podstawy prawnej, na którą można by się powołać, uzasadniając faktyczną rolę Jarosława Kaczyńskiego w rządzeniu krajem. W przeciwieństwie do wykonujących polecenia prezesa PiS osób, których władza jest umocowana w polskim systemie prawnym, Jarosław Kaczyński odpowiada jedynie przed Bogiem i historią. I jeśli szukać analogii historycznych, znajdziemy je jedynie w II Rzeczypospolitej – Józef Piłsudski, który zdobył władzę w 1926 r. w wyniku zamachu stanu, przez lata sprawował ją, nie piastując najwyż-

eprasa.pl 5fa83ab64c

szych stanowisk w państwie. W ślad za marszałkiem Piłsudskim Jarosław Kaczyński postanowił dokonać sanacji (uzdrowienia) Polski, nie licząc się z kosztami tej operacji. W niedawnym wywiadzie dla Agencji Reutera prezes PiS oświadczył, że gotów jest zgodzić się na zmniejszenie tempa wzrostu gospodarczego, jeśli tylko będzie to sprzyjało urzeczywistnieniu jego wizji Polski.

Tę wizję prezes PiS szlifuje od początku lat 90., obszernie wyłożył ją już 14 lutego 2005 r. w referacie „O naprawie Rzeczypospolitej", wygłoszonym w tak znienawidzonej przez obóz „dobrej zmiany" Fundacji im. Stefana Batorego. Przekonywał wówczas, że głównym nieszczęściem Polski jest postkomunizm, czyli brak całkowitego zerwania ciągłości z PRL, starym aparatem państwowym i przejętą po poprzednim systemie hierarchią społeczną. Do obalenia postkomunizmu konieczny jest – głosił prezes PiS – „wolny od postkomunizmu ośrodek dyspozycji politycznej", który obejmie całą władzę wykonawczą, w tym rząd i prezydenta. Jego misją dziejową jest budowa nowego państwa, które Jarosław Kaczyński opisał jako zjawisko „ze sfery moralno-historycznej", dysponujące mocą zdolną uzdrowić zarażone postkomunizmem społeczeństwo. Narzędziami sanacji są m.in. dekomunizacja, lustracja, oparcie się na wartościach chrześcijańskich i narodowych. Już wtedy prezes PiS zakładał zredukowanie roli Trybunału Konstytucyjnego, zmiany w usytuowaniu sądów i prokuratury, likwidację samodzielnego Ministerstwa Finansów oraz oparcie edukacji na wychowaniu patriotycznym.

OBYWATEL MOŻE ODEJŚĆ

Zniszczenie Trybunału Konstytucyjnego, ponowne podporządkowanie prokuratury ministrowi sprawiedliwości, tzw. dekomunizacja przestrzeni publicznej, obniżenie emerytur i rent tysiącom funkcjonariuszy MSW i wojskowych pełniących służbę w okresie PRL, czystki w aparacie państwowym, ideologiczne podporządkowanie oświaty, które ma ułatwić reforma systemu edukacji, to przykłady działań PiS zmierzających do przebudowy ustroju Polski zgodnie z wizją Jarosława Kaczyńskiego, twórcy i niekwestionowanego szefa „ośrodka dyspozycji politycznej".

W preambule ustawy zasadniczej zapisano m.in.: „My, Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej, zarówno wierzący w Boga (…), jak i niepodzielający tej wiary". W projekcie konstytucji przygotowanej w 2010 r. przez PiS podobne zrównanie osób wierzących i niewierzących znika, preambuła zaczynała się od słów: „W imię Boga Wszechmogącego! My, Naród Polski, składając Bożej Opatrzności dziękczynienie za dar niepodległości, pomni naszych ponad tysiącletnich dziejów związanych z chrześcijaństwem (…)". To sformułowanie odpowiada poglądowi Jarosława Kaczyńskiego wyrażonemu w Telewizji Trwam: „W Polsce nie ma żadnego systemu wartości, który byłby realnie konkurencyjny dla tego, który głosi Kościół. Albo ten system wartości podtrzymujemy, albo popadamy w nihilizm". Prezes ukuł teorię tzw. porządku aksjologicznego, mówiąc prościej – narzucenia obywatelom wskazanych odgórnie wartości. W wizji PiS pluralistyczne społeczeństwo ma zastąpić wspólnota narodowa Polaków katolików, nieprzejednanych wobec PRL („komunistów") i III RP („złodziei") spadkobierców „żołnierzy wyklętych", wyznawców „prawdy smoleńskiej".

Podobne przekształcenie nie może się dokonać bez gruntownej zmiany struktury społecznej, ignorującej zapis obecnej konstytucji, że „Rzeczpospolita Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli". W wywiadzie dla Telewizji Republika prezes PiS podzielił obywateli na patriotów i zdrajców, czyli tzw. najgorszy sort: „Ten najgorszy sort właśnie w tej chwili jest niesłychanie aktywny, bo czuje się zagrożony. Wojna, później komunizm, później transformacja przeprowadzona tak, jak ją przeprowadzono, ten typ ludzi promowała, dawała mu wielkie szanse. On dziś boi się, że te czasy się zmienią, że (…) inny typ ludzi – mających motywacje wyższe, patriotyczne – będzie wysunięty na czoło i to będzie dotyczyło wszystkich dziedzin życia społecznego, także ze strony gospodarczej". Sortowanie obywateli uzasadnia wyrażane przez Jarosława Kaczyńskiego dążenie do wymiany elit.

Nie ma żadnej podstawy prawnej, na którą można by się powołać, uzasadniając faktyczną rolę Jarosława Kaczyńskiego w rządzeniu krajem.

Prezes PiS wielokrotnie mówił, że uchwalona w 1997 r. konstytucja utrwala „patologie III RP", dopiero przygotowana przez jego partię ustawa zasadnicza położy im kres. Po zwycięstwie PiS Jarosław Kaczyński z jednej strony nie mógł zaaprobować „patologicznej" ustawy zasadniczej, a z drugiej nie uzyskał większości wystarczającej do wprowadzenia własnej konstytucji. Aby wybrnąć z tej kolizji, zdecydował się na forsowanie własnych projektów przebudowy państwa wbrew barierom prawnym, opozycji i dużej części społeczeństwa. Taka strategia musi prowadzić do otwierania kolejnych frontów, wynajdywania nowych wrogów i zaostrzania napięć.

Jarosław Kaczyński postanowił dokonać sanacji (uzdrowienia) Polski, nie licząc się z kosztami tej operacji.

CZY LECI Z NAMI PILOT?

Politycy PiS zarzucają oponentom, że ci nie uznają ich mandatu do rządzenia. Chodzi jednak o coś innego – konkretnie o zapisy konstytucji, zgodnie z którymi „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym", jej ustrój „opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej", „organy władzy publicznej działają na podstawie i w granicach prawa". Jeśli rządząca partia podważa ramy konstytucji, stosuje własną wykładnię tego, co jej zdaniem jest konstytucyjne, a co nie, to nie może oskarżać oponentów o dokonywanie puczu (czyniła to już wiosną premier Beata Szydło), czyli

eprasa.pl 5fa83ab64c

podejmowanie działań niekonstytucyjnych.

Rozmiar zwycięstwa z 2015 r. nie pozwala PiS na demontowanie porządku konstytucyjnego. Co więcej, choć po raz pierwszy po 1989 r. mamy jednopartyjny rząd (jeśli jako jedną partię traktować koalicję PiS i jej prawicowych przybudówek), to procentowy wynik Prawa i Sprawiedliwości z 2015 r. był gorszy od rezultatów Platformy Obywatelskiej w 2007 i 2011 r. oraz Sojuszu Lewicy Demokratycznej w 2001 r. W 2007 r. PO poparło milion wyborców więcej niż PiS w roku 2015. PiS zawdzięcza samodzielne rządy szczęśliwemu zbiegowi okoliczności związanemu głównie z nieroztropnością lewicy oraz trikom zastosowanym w kampanii wyborczej: schowaniu plasujących się nisko w rankingach zaufania Jarosława Kaczyńskiego i Antoniego Macierewicza za szeroko uśmiechniętymi twarzami Andrzeja Dudy i Beaty Szydło. Wyborcze obietnice koncentrowały się na programie 500+, obniżeniu wieku emerytalnego, podniesieniu kwoty wolnej od podatku, pomocy frankowiczom. Nie wspominano o walce z Trybunałem Konstytucyjnym, masowej wymianie kadr, postawieniu na czele telewizji autora powiedzenia „ciemny lud to kupi", historycznym odwecie, dążeniu do przejęcia kontroli nad wszystkimi sferami życia.

Od pierwszych posiedzeń Sejmu PiS wykorzystywało swoją przewagę, uciekając się do podstępów. Aby uniknąć opiniowania, uzgodnień międzyresortowych i konsultacji społecznych projekty ustaw – faktycznie rządowych – kierowane są do laski marszałkowskiej jako projekty poselskie. Ten w zasadzie niewykorzystywany przez poprzednie rządy tryb procedowania przybrał skalę masową. Do tego doszły nocne głosowania nad kontrowersyjnymi ustawami. Szczytem arogancji PiS był brak poszukiwania rozwiązania konfliktu, który wybuchł po wykluczeniu przez marszałka Marka Kuchcińskiego posła Michała Szczerby i przeniesieniu posiedzenia Sejmu do Sali Kolumnowej. Głosowania, których legalność budzi coraz większe wątpliwości, zachwiały demokracją parlamentarną, na której opiera się porządek ustrojowy Polski. Można się spierać o zgodność z prawem blokowania sali posiedzeń Sejmu, ale trudno się dziwić stłamszonej przez parlamentarną większość i wściekle atakowanej przez media „dobrej zmiany" opozycji, że chwyta się niekonwencjonalnych form oporu i szuka wsparcia poza gmachem Sejmu. Ignorując konstytucję, PiS samo spycha opozycję poza pole prawne walki politycznej.

Jeszcze wiosną Jarosław Kaczyński mówił o zmianie konstytucji, sądził, że spełnienie przez PiS hojnych obietnic wyborczych zapewni jego partii znaczący wzrost poparcia, a to otwierałoby drogę do wcześniejszych wyborów i podążenia drogą węgierską (w 2010 r. Fidesz uzyskał przeszło dwie trzecie mandatów w parlamencie) – zmiany konstytucji. Kalkulacje prezesa PiS wydawały się logiczne: dwa miesiące po zwycięskich wyborach w 2005 r. poparcie dla jego partii skoczyło – według sondażu CBOS – z 27% do 43%. Tym razem nic takiego się nie stało, w grudniu 2016 r. Prawo i Sprawiedliwość mogłoby – zgodnie z badaniem CBOS – liczyć na głosy 36% wyborców, czyli poparcie mniejsze niż w wyborach w 2015 r. (37,58%). I to mimo wielu miliardów złotych wydanych na realizację programów społecznych, za które PiS chciało kupić przyzwolenie na realizację wizji urządzenia Polski przez swego prezesa. Decydując się na rozwiązanie Sejmu, Jarosław Kaczyński musiałby się liczyć z powtórką klęski z 2007 r., odsunięciem od władzy i utratą ostatniej być może szansy „naprawy Rzeczypospolitej" w duchu IV RP. Alternatywą dla wcześniejszych wyborów wydaje się w tej chwili jedynie tupolewizm (określenie Zbigniewa Parafianowicza z „Dziennika. Gazety Prawnej") rozumiany jako ślepe podążanie kursem wyznaczonym przez prezesa PiS.

Krzysztof Pilawski

Misją dziejową prezesa jest budowa nowego państwa, zdolnego uzdrowić zarażone postkomunizmem społeczeństwo.

Naszemu Koledze

Robertowi Walenciakowi

składamy głębokie wyrazy żalu i współczucia po śmierci

Mamy

przyjaciele z „Przeglądu"

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER

eprasa.pl 5fa83ab64c

Kto zyskał? Kto stracił, a kto rozczarował w 2016 roku?

Robert Walenciak

Powiedzieć, że rok 2016 nie był nudny, to nic nie powiedzieć. Przede wszystkim dlatego, że PiS pokazało nam swoją prawdziwą twarz. Dlatego rok 2016 ma przede wszystkim twarz ludzi PiS. Ich triumfu i ich małości.

Za to na pewno nie ma twarzy ludzi opozycji, która przykucnęła, jeszcze nie doszła do siebie po ubiegłorocznych porażkach wyborczych, co chwila zaskakiwana kolejnymi działaniami władzy.

Jadwiga Staniszkis nazywa to „infantylną dyktaturą". I owszem, przypomina ona często teatr dla dzieci, z komicznymi gestami i zawołaniami. Że pucz, że zdrada, że więzienie… Tak jakby w przedstawieniu grały dzieci, które nie znają słów na określenie stanu rzeczy. Kłopot w tym, że to się dzieje naprawdę.

W GÓRĘ

JAROSŁAW KACZYŃSKI

Najbardziej się boi, że straci władzę.

Co chwila więc ogłasza, że chcą go obalić źli ludzie. 100 osób wyjdzie na ulicę, a on już woła, że Majdan, że pucz, zamach stanu, a usłużni lokaje to powtarzają.

I tym mi imponuje. Że setki ludzi tak chętnie i z taką wiarą powtarzają jego neurotyzmy. Że tak ich sobie podporządkował.

Z usposobienia – pitbull. Zawsze w ataku, ani kroku w tył. Tak było zawsze. W początkach lat 90., kiedy jeszcze istniało PC, braci Kaczyńskich nazywano mistrzami świata w pluciu pod wiatr. Jarosławowi to zostało do dziś, myślę, że nawet się pogłębiło. Kłopot w tym, że kiedyś pluł na swój rachunek, a teraz – całego kraju.

ANTONI MACIEREWICZ

Myślę, że jest wariatem. Ja rozumiem, że nie powinienem tak mówić o ministrze obrony, o ważnym polityku, że to nieeleganckie. Ale tak właśnie myślę.

Bo co sądzić o człowieku, który pewnym siebie głosem woła, że w prezydenckim Tu-154 były trzy wybuchy, że Egipt sprzedał Rosjanom mistrale za 1 dolara albo że wojska obrony terytorialnej pokonają rosyjski specnaz? Nie ma miesiąca, by czymś szalonym nas nie poczęstował on sam albo jego zastępca. I to wszystko uchodzi mu na sucho.

Ze świata co jakiś czas dochodzą do nas informacje o różnych ekscentrycznych postaciach. A to prezydent Filipin chwali się, że osobiście zabija ludzi, a to prezydent Korei Południowej konsultuje się z wróżką… Mamy jakieś dziwne sytuacje w Wenezueli i w Zimbabwe. Ale to wszystko było gdzieś daleko, w sferze niemal baśni. A teraz to daleko przyszło do nas i wygodnie się rozsiadło.

WŁADIMIR PUTIN

Najważniejsza postać w Polsce, to wokół niego koncentruje się nasza polityka. I PiS, i opozycji.

PiS jest Władimirem Putinem zafascynowane jak małpka wężem. Pisowcy straszą nim, wołają, tak jak Antoni Macierewicz, że za chwilę zaatakuje Polskę, że stary niedźwiedź mocno śpi, ale jak się zbudzi, to nas zje. A jednocześnie jest dla nich wzorem, ideałem, jak chwycić opozycję za twarz i rządzić długo i szczęśliwie. Im bardziej go zohydzają, tym bliżej im do niego.

RYSZARD KUKLIŃSKI

Heros IV RP. Zrobili go generałem. Teraz banda szpiegów i innej rozmaitej hołoty ma swojego dowódcę.

eprasa.pl 5fa83ab64c

Przyznam, że nie rozumiem uwielbienia PiS dla Kuklińskiego. Że szkodził komunie? Wielu szkodziło bardziej. Że uratował świat przed wojną? To z kolei bzdura. Poza tym gdyby dzisiaj żył, toby go zlustrowali i zabrali mu emeryturę, bo był też agentem WSW. Miał również inne ciekawe cechy – pogardzał Solidarnością, mówił, że to nagrzane towarzystwo, no i porządnie przygotował plany jej rozwalenia… Niech więc go kochają – każda formacja ma takich bohaterów, na jakich zasługuje.

TOMASZ SAKIEWICZ

Król polowania. Ten to się urządził. Jeśli ktoś nie wierzy, niech przejrzy jego „Gazetę Polską" i policzy zamieszczone tam reklamy państwowych instytucji i firm będących w gestii skarbu państwa: Orlenu, Poczty Polskiej i innych. Sakiewicz za chwilę utopi się w kasie (państwowej, niestety), ale i tak narzeka niczym chłop za PRL. Bo nie ma TVP, bo tam rządzą inni z PiS – Kurski, Karnowscy itp. Jemu, jak na razie, Kaczyński wyznaczył rolę cerbera, by swoimi krzykami i pretensjami pilnował ich lojalności.

Innymi słowy – cieć PiS, ale dobrze opłacany.

W DÓŁ

ANDRZEJ DUDA

W zasadzie Andrzej Duda mnie nie interesuje, jest nudny, przewidywalny, zawsze powie tak, żeby nie narazić się Jarosławowi K., słowem – śmiech na sali. I nie wierzę tym, którzy mówią, że wybije się na niepodległość, że się sprzeciwi itd. Nigdy tak się nie stanie. Tak jak nigdy nie zbuntuje się przeciwko mnie mój pies.

Ale ten nudziarz (prezydent Duda) ma przecież swoje elektryzujące momenty. Nie wiem, czy rodzice Dudy spotykali się na wspólnych obiadach z rodzicami pani Agaty, w każdym razie musiały być to spotkania godne scen z „Wesela". Kiedy pan Duda (senior) mówił z zachwytem o intronizacji Chrystusa Króla albo że „lewackie i libertyńskie wstecznictwo niesie tylko rozkład, szczególnie moralny". A pani Dudowa (seniorka), że „wstaje o 5 rano i właśnie wtedy lubi się modlić". Ech, zobaczyć minę Juliana Kornhausera w takich chwilach! Bezcenne!

GRZEGORZ SCHETYNA

Wykiwał Ewę Kopacz i zabrał z jej słabnących rąk Platformę Obywatelską. Jakby było co…

Schetyna przez lata budował swoją pozycję jako facet od partyjnych struktur, od ustawiania ludzi, zarządzający gdzieś z zacisza gabinetu. Był takim Edwardem Babiuchem Platformy. No i teraz, tak jak swego czasu Babiuch, ma na głowie cały kram i musi radzić sobie sam.

Jak to mu wychodzi, każdy widzi. Tłumów nie porywa.

Czuję do niego sympatię, ale tylko dlatego, że rozśmiesza mnie jego sytuacja. Chłop myślał, że jest jak skrzyżowanie Wałęsy, Mazowieckiego i paru innych. Nadął się, a tu – na razie – wyszedł mały Edek.

MAREK KUCHCIŃSKI

Marszałek Sejmu. Nienawidzi dziennikarzy. Gdy ma coś powiedzieć do kamery, zatyka go i zmienia mu się głos. Mimo woli. Dlatego go rozumiem, ma do tej nienawiści powody.

Ostatnio w roli puczysty. Chciał wyrzucić dziennikarzy z Sejmu – więc ich zrewoltował. Chciał skopać opozycję, też ją zrewoltował. Ale może przejdzie do historii jako ten, co zabiera laskę marszałkowską i ogłasza posiedzenia Sejmu dla wybranych. W Sali Kolumnowej, w siedzibie PiS… W sumie do tego to wszystko zmierza.

Jadwiga Staniszkis mówi o nim tak: „Marek Kuchciński, ewidentnie człowiek dyspozycyjny i pionek tej infantylnej dyktatury. Aż się gotuję, jak to widzę". Nie ona jedna.

MARZENA PACZUSKA

Królowa Twittera. Nie wiem, czy jest napita, czy też za dużo czegoś nie pali, ale jej wpisy takie sprawiają wrażenie. Ciotka rewolucji w stanie wiecznej egzaltacji. PiS rzuciło ją na szefową „Wiadomości", więc ona, niczym wiejski kundel przy płocie, szczeka na wszystko, co inne.

Po śmierci Andrzeja Wajdy pisała: „Walcie się dalej", w czasie Wigilii pouczała, że Jezus nie był uchodźcą, wcześniej wykłócała się, że wizyta w programie Kuby Wojewódzkiego to wizyta w oborze itd.

eprasa.pl 5fa83ab64c

Te zapiski przypominam wszystkim psioczącym na obecne „Wiadomości", że to prymitywna propaganda, że nawet „Dziennik Telewizyjny" w czasach PRL miał więcej finezji… No, miał, bo nie miał Paczuskiej.

ROZCZAROWANIA

RYSZARD PETRU

Nieuk. Zamach majowy był według niego w roku 1935, w 1717 r. był „Sejm głuchy", po Nowym Roku jest święto sześciu króli. I tak można kontynuować.

Dlatego nie wierzę, że będzie z niego lider opozycji. Lider bankowców – tak, ale nic poza tym.

Do góry ciągną go panie z Nowoczesnej, które w Sejmie zasiadają po raz pierwszy, są odważne i wygadane i nie można im zarzucić, że kiedyś coś skręciły. Ale to za mało. Jeszcze tak w Polsce nie było, żeby panie przypominające nauczycielki z liceum coś zmieniły. Rok 2017 będzie więc dla Petru i jego partii kluczowy – albo przebije się czymś rzeczywiście istotnym, albo skończy jako druga noga PO.

BARTŁOMIEJ MISIEWICZ

Gdy zobaczyłem go po raz pierwszy w telewizji, zastanawiałem się, skąd go znam, skąd pamiętam tę twarz. Potem przyszło olśnienie – pamiętam go z apteki w Łomiankach, w której kupuję leki. Chodził po zapleczu w białym fartuchu, nosił pudła, pracownice wołały do niego: „Panie Bartku, może pan ten karton przynieść?" albo: „Niech pan to tam położy". Do kasy i do klientów go nie dopuszczano. I proszę, taki „przynieś, podaj, pozamiataj" został twarzą „dobrej zmiany".

To jest ten materiał na elitę IV RP, która ma zastąpić wcześniejszych ministrów, redaktorów, profesorów... Czapajew naszych czasów.

PIOTR DUDA

Pierwszy ormowiec IV RP.

Do niedawna lubiłem Piotra Dudę, jego instynkt związkowca. Aż przyszedł dzień, kiedy ręce mi opadły. To był ten dzień, kiedy ogłosił, że Solidarność przygotowuje się do wyjścia na ulice, żeby KOD nakryć czapkami. Innymi słowy ogłosił, że chce wyprowadzić na ulice aktyw robotniczo-chłopski, ORMO IV RP, żeby spałował kodowców. Tak jak w roku 1968 podobny aktyw spałował na Uniwersytecie Warszawskim studentów.

Taka była moja pierwsza refleksja, a potem przyszła druga – że to nie te czasy i że ten Duda (Piotr) z wyprowadzaniem tłumów zbytnio nie poszaleje. Bo kogo rzuci na te ulice? Tych pasibrzuchów zza biurek, którzy podrzemują sobie na etatach związkowych? Bo chyba nie górników, ponieważ ci dziś mogliby zlać nie tego, kogo trzeba.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

Piszę o nim trochę z przymusu, na tej zasadzie, że wiem, że jak nie teraz, to za rok już nie będzie co wspominać. Jeszcze 10 lat temu wołano, że to przyszłość lewicy, świeży umysł, przyszłość Polski itd. Lata minęły, Sławomir S. stracił trochę włosów, trochę zarobił, a poza tym bez zmian.

Zapraszają go co chwila do TVN 24, żeby komentował wydarzenia, on przychodzi i opowiada. Banalne banały.

Los Sierakowskiego niech będzie przestrogą dla tych wszystkich, którzy chcą być lewicą i za lewicowców się przebierają – granty państwowe szkodzą, unijne jeszcze bardziej, a staże w USA najbardziej. I nie warto dać się zagłaskać przez miłe media.

JACEK KURSKI

Prezes TVP. Ktoś niedawno zapytał, jak się zapisze w historii tej firmy? Zamknie ją jak Rakowski PZPR? Bardzo możliwe. W każdym razie Maciejem Szczepańskim nie bę-

eprasa.pl 5fa83ab64c

dzie, nie ten polot i rozmach. Raczej widziałbym go w klimatach Włodzimierza Sokorskiego – on wesolutki biegał za panienkami, telewizja była z dykty, a propagandę robili w niej moczarowcy. Z zawziętymi minami. To są te dzisiejsze klimaty – to tłumaczy ten wysyp tępych politruków, którzy obsiedli TVP.

Ożenił się, więc życzę mu szczęścia w pożyciu, wierności małżeńskiej i gromady dzieciątek.

NADZIEJE

LECH WAŁĘSA

Dla jednych jest misiem z Krupówek, dla drugich – złowrogim Bolkiem. Niby więc nic nie musi, ale i tak wszystko kręci się wokół niego.

Jeszcze parę miesięcy temu wydawało się, że w takiej roli dotrwa swoich dni, przez jednych kochany, przez drugich znienawidzony. A tu proszę – gdy PiS zaczęło szaleć, Wałęsa polityk poczuł krew. Parę razy się odezwał i – co tu się rozwodzić – Schetynę, Petru i jeszcze paru innych nakrył czapką.

Tak to jest w polityce, że albo ma się talent, albo nie. I że Wałęsa, siwy, gruby i po operacjach więcej daje do pieca niż 30 wymuskanych partyjnych urzędników.

JAN ŚPIEWAK I JAN MENCWEL

Dwóch szefów Stowarzyszenia Miasto Jest Nasze. Tego warszawskiego. Mam do nich wiele sympatii, bo nagłośnili sprawę dzikiej reprywatyzacji i zabójstwa Jolanty Brzeskiej. A rozgrabianie Warszawy przez kamieniczników, przez różne kancelarie prawne to plaga i patologia zarazem. Warto więc śledzić poczynania w tej sprawie, zwłaszcza że PiS zachowuje tu się dziwnie – niby gromi Hannę Gronkiewicz-Waltz, ale nie pali się jakoś do uchwalenia ustawy, która dziką reprywatyzację by zakończyła. To daje dużo do myślenia.

Celnie też komentują ostatnie protesty przeciwko PiS. Że jeżeli będą one miały twarz PO, to skończą jak karykatura i pośmiewisko. „Jeśli to, co ma przyjść po Kaczyńskim, będzie miało twarz okładek »Newsweeka«, możemy się wszyscy zacząć już pakować", mówi Śpiewak, tymi prostymi słowami tłumacząc, co brzydzi Polaków bardzo, a co bardziej.

JADWIGA STANISZKIS I KAZIMIERZ KIK

W roku 1989 Jadwiga Staniszkis była czołową postacią solidarnościowej profesury, z kolei Kazimierz Kik był czołową postacią Akademii Nauk Społecznych i zajmował się partiami robotniczymi w Europie Zachodniej. Potem przez następnych 26 lat byli dokładnie na przeciwstawnych orbitach. Staniszkis kochała premiera AWS Jerzego Buzka, Kik – SLD. Ona przerzuciła się na Jarosława K. On – na PO i Przymierze dla Polski. I oto nastał rok 2016, kiedy Jadwiga Staniszkis stwierdziła, że jest przeciw, że Kaczyński zagraża demokracji liberalnej, że ciągnie Polskę w dół. A Kik uderzył się w piersi, że przez lata był ślepy, bo PiS jest fantastyczne i najlepiej czuje Polskę i Polaków.

Tak oto historia (a my wraz z nią) zatoczyła koło i szanowna profesura znów odnalazła czasy swojej młodości.

MATEUSZ KIJOWSKI

Człowiek najbardziej przez PiS znienawidzony. Może nawet bardziej niż Tusk.

To ciekawa rzecz, bo Kijowski groźnie nie wygląda, ma kucyk, nie krzyczy, w polityce jest raczej amatorem, do takiego Schetyny mu daleko. Ale bardziej szkodzi PiS, bo zabrał mu ulicę.

Przez lata demonstracje były domeną Solidarności, Radia Maryja, PiS, narodowców. Inni siedzieli cicho. Nagle Kijowski zrobił KOD i pokazał Polakom, że tych, którzy nie chcą PiS, jest pokaźna masa. I że się nie boją. Dał przykład. Tym sposobem zmienił polską politykę.

PŁK ADAM MAZGUŁA

Powiedział, że stan wojenny to było kulturalne wydarzenie. Ja osobiście rozumiem motywy jego wprowadzenia, uważam, że gen. Jaruzelski uratował nas przed rosyjską interwencją i krwawą jatką. Ale że było to kulturalne wydarzenie, hm… nawet do głowy nie przyszło mi tak sądzić.

Przykład płk. Mazguły dowodzi, że w dzisiejszym świecie, przesyconym gadaniem byle jakim, byle tylko zaszokować, wciąż istnieją możliwości szybkiego przebicia się do głównych mediów i bicia rekordów cytowalności.

Pułkownik znalazł swoją lukę i swoich fanów. Co tylko pokazuje, jak szerokie jest spektrum społecznych poglądów i postaw i że jeszcze niejedno może nas zaskoczyć.

eprasa.pl 5fa83ab64c

NA ZERO

MATEUSZ MORAWIECKI

Mistrz autoreklamy i PowerPointa. Jeździ po Polsce i wyświetla slajdy pokazujące, jak to będzie w przyszłości. Że będzie dobrze, bo on ma plan. Wypisz wymaluj wicepremier Szałajda i plan pięcioletni.

Poza tym wielki krytyk III RP za to, że rozwijała wzrost poprzez tanią siłę roboczą i montownie. Co nie przeszkodziło mu z wielką pompą otworzyć w dolnośląskim Jaworze fabryki silników zbudowanej przez Mercedesa, która da zatrudnienie 400 osobom. Potem okazało się, że Polska dopłaci Mercedesowi 20 mln euro i zwolni go z podatków do roku bodajże 2034. Czyli za jedno miejsce pracy (i to raczej robotnicze) zapłacimy Niemcom 50 tys. euro.

Nie żebym był przeciwko takim działaniom, ale mam dziwne przeczucie, że w ten sposób Morawiecki za polskie pieniądze sfinansował niemiecką inwestycję i miejsca pracy dla ukraińskich robotników.

BEATA SZYDŁO

Matka księdza, żona Edwarda Szydły, dyrektora Szkoły Handlu i Zarządzania w Oświęcimiu. Szkoła jest szkołą z nazwy, tak naprawdę specjalizuje się w kursach i szkoleniach, za które w ostatnich 10 latach dostała z Unii Europejskiej 25 mln zł. Ale i tak Beata Szydło nie lubi Unii i krytykuje ją przy każdej okazji szczerze i z zapałem. Jak prawdziwa Polka.

Osobiście cenię Beatę Szydło za konferencje prasowe i talent aktorski. Kiedy toczy wokół groźnym wzrokiem i jękliwym, zbolałym, jednostajnym głosem, gromi opozycję za wszystkie wady świata.

Zdaje się, że do tego jej rola jako premiera się sprowadza.

STANISŁAW KARCZEWSKI

Marszałek Senatu. Chirurg. Słodka twarz reżimu. Leszek Miller naszych czasów.

Tak jak w roku 1988 młody sekretarz KC PZPR Leszek Miller zaprosił do stołówki w gmachu KC młodzież z Niezależnego Zrzeszenia Studentów, tak on 17 grudnia 2016 r. zaprosił na spotkanie dziennikarzy. Po co? Żeby pokazać, że władza jest fajna i lubi rozmawiać z obywatelami. Wtedy, za PZPR, to była nowość, symbol otwarcia. Dziś to krętactwo.

Takimi rzeczami zajmuje się dziś Karczewski, Kaczyński wysyła go w różne miejsca, żeby tłumaczył. I on tłumaczy. Nudnym językiem, jak lekarz pacjentowi przed operacją. Zanim ciachną skalpelem.

JOACHIM BRUDZIŃSKI

Mówią, że jest numerem 2 w PiS i że będzie następcą Kaczyńskiego. Uważam to za bzdurę roku. Brudzińskiemu udało się dopchać do roli Przemysława Gosiewskiego, czyli nadwornego Jarosława. I dalej nie pójdzie nawet o krok.

Jego kariera jest wskazówką, jakich ludzi najbardziej ceni Kaczyński – oddanych, brutalnych, ale niezbyt lotnych. Takich, którzy mu nigdy nie zagrożą. I nigdy nic wartościowego nie podpowiedzą… W sumie nie najlepiej to o nim świadczy.

MARIUSZ BŁASZCZAK

Sprawia wrażenie, jakby poziom IQ nie był jego najmocniejszą stroną. Ale może to umiejętność mimikry potrzebna w środowisku PiS.

Błaszczak jest tam ważną osobą, ma pod sobą MSWiA, więc awansował na stanowisko wiceprzewodniczącego partii. Obok szefa tajnych służb Mariusza Kamińskiego i szefa MON Antoniego Macierewicza. To pokazuje, co dla Kaczyńskiego jest ważne.

Robert Walenciak

FOT. MACIEJ ŁUCZNIEWSKI/REPORTER, PIOTR KAMIONKA/REPORTER, TWITTER, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER (2), JAN BIELECKI/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, ADAM ZWART/REPORTER

eprasa.pl 5fa83ab64c

ROZUM USTĄPIŁ EMOCJOM

To, czy coś jest prawdziwe, czy nie, utraciło znaczenie. Ważne jest zbudowanie takiej opowieści, która przebije się do elektoratu

Rozmawia Krzysztof Pilawski

PROF. MIROSŁAW FILICIAK

– kierownik School of Ideas Uniwersytetu SWPS, specjalista w dziedzinie nowych mediów, popkultury i kultury audiowizualnej

Określenie „postprawda" w Wielkiej Brytanii i Niemczech zostało uznane za słowo roku 2016. Wśród 40 propozycji do tego tytułu umieszczonych na liście Uniwersytetu Warszawskiego znalazły się m.in. „pięćset+", „żołnierz wyklęty", „teczka", „ekshumacja", „zamach". Postprawdy na niej nie było. Czy ona nas nie dotyczy?

– Oczywiście, że dotyczy! Niektóre z przytoczonych przez pana słów są przykładami postprawdy. „Zamach", odnoszący się do katastrofy prezydenckiego tupolewa, dobitnie potwierdza, że nawet zweryfikowane fakty są mniej ważne i mniej warte niż teorie budowane na wątłych podstawach. „Żołnierz wyklęty" należy do zasobu postprawdziwej polityki historycznej sprowadzonej do zmitologizowanych dziejów elit i wojska.

Z kolei na „teczce" zbudowano opowieść o „ubekistanie", czyli Polsce po 1989 r. Czy zatem, mówiąc językiem Nietzschego, prawda umarła?

– Nie umarła, ale traci dawne znaczenie, mało kto się o nią spiera. To być może pokłosie postmodernizmu, który głosi, że nie ma jednej prawdy. Skoro tak, to prawdę można negocjować.

CIEMNOGRÓD WYGASZA OŚWIECENIE

Przyjmując takie założenie, należałoby zlikwidować testy z pytaniem: „Prawda czy fałsz?".

– Patrząc na to, co się dzieje nie tylko w Polsce, można odnieść wrażenie, że oświecenie w ogóle się nie wydarzyło. Rozum ustąpił emocjom, nie doceniliśmy ich znaczenia. Żyliśmy w przekonaniu, że debata w przestrzeni publicznej musi się opierać na zweryfikowanych faktach i rzeczowych argumentach, że pewnych rzeczy w ogóle nie wolno negować. Tymczasem – jak pokazała komisja zajmująca się „zamachem smoleńskim" – można zakwestionować nawet prawo Newtona.

Kościół długo zaprzeczał, że Ziemia obraca się wokół Słońca.

– To potwierdza, że mamy do czynienia z powrotem do czasów sprzed oświecenia. Pocieszający jest jedynie fakt, że to zjawisko wybiega daleko poza granice Polski, nie jesteśmy jedyni, choć pewnie znajdujemy się w awangardzie postprawdy.

> Obecna władza wyciąga z ludzi to, co jest w nich najgorsze.

Czym pan to tłumaczy?

– Kontrreformacją, wpływami konserwatywnego Kościoła katolickiego, zapóźnieniem cywilizacyjnym i edukacyjnym wywołanym zaborami itd. Tradycja oświeceniowa okazała się w Polsce zbyt słaba, by powstrzymać irracjonalizm, myślenie religijne czy wręcz magiczne.

Słowo cud zostało przeniesione do dokumentów sejmowych i książek naukowych, krzyż wisi niemal w każdej szkole i urzędzie, w czasie obchodów 1050-lecia chrztu Mieszka w całym kraju – pogańskim zwyczajem – palono ogniska. Skoro emocje wypierają rozum, trudno się dziwić, że postprawda stała się skutecznym narzędziem oddziaływania na obywateli.

– Po ten instrument najchętniej sięga Prawo i Sprawiedliwość, które – odnoszę takie wrażenie – nie zabiega o poszerzenie elektoratu, lecz mobilizowanie twardego rdzenia zwolenników.

Raczej wyznawców

– Skoro mówiliśmy o wierze, to słowo wyznawca rzeczywiście pasuje lepiej. PiS, korzystając z postprawdy, podsyca emocje, buduje poczucie zagrożenia z jednej strony, z drugiej zaś – plemiennej wspólnoty zdolnej pokonać wszelkie zło.

Czy czasem postprawdy nie sprowokowała proklamowana jako „koniec historii" liberalna demokracja, która otoczyła się murem poprawności politycznej? Lud odrzucił liberalizm, liberalne elity, a wraz z nimi ich prawdę. Postprawda to dla mnie pop-prawda, prawda ludu.

– Mam problem z krytykowaniem poprawności politycznej w kraju, w którym jej tak naprawdę nie przerobiliśmy. To zjawisko można zapewne odnieść do Stanów Zjednoczonych, tam polityka tożsamości i zajmowanie się sprawami mniejszości wywołały sprzeciw milionów nisko wykwalifikowanych pracowników i przedstawicieli klasy średniej, których dochody i pozycja społeczna od wielu lat słabną. Choć odejście od polityki tożsamości wydaje mi się ryzykowne, faktem jest, że wyborcy poczuli się większością pokrzywdzoną przez mniejszości.

SZAMBO WYBIŁO

Zupełnie jak wyborcy PiS, którzy nie zawracają sobie głowy prawami kobiet, niekatolików czy osób homoseksualnych.

– To oczywiście wyborcy zapomniani przez poprzednią władzę, część społeczeństwa w dużej mierze pominięta po transformacji. Jednak jeszcze kilka lat temu sądziłem, że

eprasa.pl 5fa83ab64c

osiągnęliśmy pewien pułap cywilizacyjny: możemy spierać się, jak zadbać o sprawiedliwszą redystrybucję dóbr, ale zasadnicze kwestie związane z rasizmem, antysemityzmem, ksenofobią, nietolerancją zasadniczo mamy załatwione. Niestety, w ubiegłym roku szambo wybiło. Mam wrażenie, że obecna władza wyciąga z ludzi to, co jest w nich najgorsze. Obserwujemy powrót do przedoświeceniowej plemiennej wspólnoty. Rządzący nie wzmacniają europejskich aspiracji, one upadają. Wiele osób przestało postrzegać rzeczywistość jako płynne uniwersum, w którym można samodzielnie nawigować. To wydawało się atrakcyjne do czasu pojawienia się globalnych problemów: kryzysu finansowego, prekaryzacji pracy, wielkiego napływu uchodźców. Dziś świat zewnętrzny częściej niż dawniej kojarzy się nie z szansą, lecz ryzykiem, nie z wolnością, lecz z zagrożeniem. Stąd ucieczka od wolności do miejsca, w którym wydaje się, że jest bezpieczniej.

To nic nowego – w klasycznej piramidzie potrzeb Abrahama Masłowa potrzeba bezpieczeństwa ustępuje jedynie potrzebom fizjologicznym.

– Ta potrzeba jest szczególnie silna w niepewnych czasach, gdy ludzie ciążą w stronę stabilnych tożsamości, nawet jeśli negują one część wyznawanych przez nich wartości. Wydaje im się, że znajdą we wspólnocie bezpieczne oparcie. Dlatego tak chętnie przyjmują postprawdę kreującą prosty świat, w którym wiadomo, co jest czarne, a co białe, w którym nie ma żadnego dzielenia włosa na czworo.

Jarosław Kaczyński zaproponował ten model – nazwał go porządkiem aksjologicznym – zanim pojawiły się pojęcia „populistyczna prawica" i postprawda".

– Prezes PiS zrobił użytek z postmodernistycznej wykładni z jej płynnością i wielością perspektyw. Skoro nie ma niczego stałego i niepodważalnego, to możemy wymyśleć, co chcemy, byle tylko przekonać wyborców. To dość cyniczne zagospodarowanie nastrojów.

Postprawda jest więc tym, co „kupi ciemny lud"?

– To, czy coś jest prawdziwe, czy nie, utraciło znaczenie. Ważne jest zbudowanie opowieści, która będzie na tyle mocna, by przebić się do elektoratu. Jesteśmy bezradni wobec postprawdy. Oczywiście trzeba mówić ludziom, żeby weryfikowali źródła informacji, nie rozpowszechniali bezrefleksyjnie kompletnych bredni. Ale życie w świecie postprawdy jest po prostu wygodne.

> Mamy do czynienia z powrotem do czasów sprzed oświecenia.

Najwyraźniej ludziom nie przeszkadza „nieprawdziwa prawda". Kogo interesowały sprostowania dotyczące okoliczności katastrofy smoleńskiej? Wykazywanie Donaldowi Trumpowi kolejnych kłamstw nie odebrało mu zwycięstwa.

– To cały dramat związany z porzuceniem oświecenia.

INTERNET ODWRACA KOTA OGONEM

Nie byłoby triumfu postprawdy, gdyby przetrwały jakieś autorytety zdolne orzec, co jest prawdziwe, a co nie. Opinie ekspertów, naukowców są dziś bez wartości. Nie ma się do kogo odwołać.

– Jeśli pozostają jeszcze jakieś autorytety, to przede wszystkim oparte na sile – jak u władcy absolutnego. Prawica doskonale wykorzystała procesy rozsypywania się hierarchicznego układu społecznego, zastępowania go przez niezwiązane ze sobą nisze. Jednorodną strukturę łączyły podzielane przez wszystkich wartości i normy, które dziś zachowują

> Komisja zajmująca się „zamachem smoleńskim" pokazała, że można zakwestionować nawet prawo Newtona.

moc tylko lokalnie. Wydawało się, że będzie to mieć moc przede wszystkim emancypacyjną, ale dziś świetnie widać, że jeśli mamy wspólnie negocjować kształt społeczeństwa, niezbędne są wspólne punkty odniesienia, podstawowe standardy. Ludzie przestali się wstydzić, że nie czytają książek, nie chodzą do teatru. Dawne aspiracje do awansu społecznego zanikły. PiS nie tylko to zaakceptowało, ale stworzyło teorię obrony grup ignorujących dawne wartości i normy. Ich adwersarzy partia Jarosława Kaczyńskiego nazywa „przemysłem pogardy" posługującym się „pedagogiką wstydu". Ten radykalny populizm trafił na bardzo podatny grunt.

Jak to się stało, że z internetu wychodzi tyle ciemnoty, zabobonu, teorii spiskowych i innej postprawdy?

– Z tym pytaniem łączy się moje osobiste wspomnienie. 10 lat temu razem z Edwinem Bendykiem, Justyną Hofmokl i Alkiem Tarkowskim programowaliśmy dla Polskiego Wydawnictwa Audiowizualnego konferencję „Kultura 2.0". Brał w niej udział m.in. holenderski badacz Rob van Kranenburg, który przekonywał, że jeśli nie nastąpi jakaś radykalna ingerencja w nowe media, czeka nas nowe średniowiecze, podział na małe klany, natężenie przemocy. Patrzyliśmy na niego trochę jak na kosmitę: o czym on mówi, skoro mamy wspaniałą, wspólną przestrzeń wypowiedzi, ucierania poglądów, dochodzenia do

eprasa.pl 5fa83ab64c

Słowo wyznawca bardzo dobrze pasuje do PiS. Nz. 68. miesięcznica katastrofy smoleńskiej, grudzień 2015 r.

prawdy. Okazało się, że nasz zagraniczny gość przewidział logikę funkcjonowania mediów społecznościowych, w których ludzie coraz rzadziej ze sobą się konfrontują, spierają o jakąś prawdę, coraz częściej zaś zamykają się w skupiających osoby o tych samych poglądach niszach – nazywam je bańkami informacyjnymi. Zasilając algorytm Facebooka swoimi „polubieniami" i komentarzami, dostajemy coraz więcej tego samego. Tam nie ma miejsca na debatę, jest jedynie przekonywanie przekonanych, utwierdzanie we własnych racjach, nakręcanie się emocjami. Dla Facebooka uzasadnieniem jest zysk – z perspektywy firmy jesteśmy biomasą, z której pozyskuje się dane, a z nich pieniądze, dlatego serwis dba o taką selekcję treści, żebyśmy czuli się komfortowo. To świetnie działa na poziomie małych grup, ale okazało się niebywale toksyczne dla demokracji, bo algorytm Facebooka w coraz większym stopniu decyduje o tym, jakie informacje do nas docierają, a jakie pozostają ukryte. Jewgienij Morozow nazywa współczesny internet „spinternetem", narzędziem politycznego spinu, odwracania kota ogonem. Coraz więcej rządów odkrywa, że zamiast próbować cenzurować i tłumić sieć, lepiej zasilać ją własnymi treściami, tworząc z udawanego dialogu nie narzędzie demokracji, lecz autorytaryzmu.

> Ludzie przestali się wstydzić, że nie czytają książek, nie chodzą do teatru.

Facebook – jak wcześniej gazety, radio i telewizja – staje się głównym źródłem informacji.

– I to jest problem, bo ludzie coraz rzadziej wchodzą na portale informacyjne, tylko klikają na informacje, które selekcjonuje i podsuwa im Facebook. Trzeba wysokich kompetencji, by zapanować nad algorytmem i samodzielnie poruszać się w wirtualnym oceanie informacji – a przede wszystkim trzeba chcieć wykonać dodatkowy wysiłek. Większość użytkowników sieci nie jest specjalistami, w dodatku poprzez utratę zaufania do ekspertów i autorytetów tracimy łańcuch pośredni w dotarciu do prawdy. Do tego dochodzi tabloidyzacja myślenia wynikająca m.in. z zaniku czytania dłuższych tekstów. Gdy słyszymy, że jakiś problem jest złożony, momentalnie tracimy nim zainteresowanie. Szansę mają osoby takie jak Paweł Kukiz, które potrafią się przebić z prostym przekazem. To wszystko sprzyja postprawdzie.

> Coraz więcej rządów odkrywa, że zamiast cenzurować sieć, lepiej zasilać ją własnymi treściami.

Czy prawda jeszcze kiedyś do nas wróci?

– Wróci, kiedy ludzie poczują, że tkwienie w plemiennych wspólnotach wcale nie zapewnia ochrony przed coraz bardziej skomplikowanym i pełnym niebezpieczeństw światem. Na razie jednak trudno mi sobie wyobrazić taki reset.

Krzysztof Pilawski

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, DANIEL GNAP/EAST NEWS

eprasa.pl 5fa83ab64c

Bez uprzedzeń

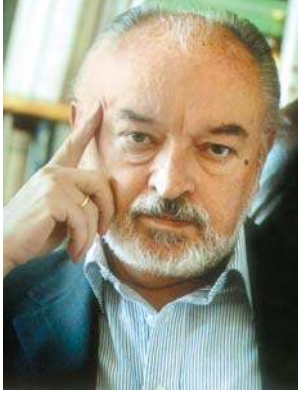

Bronisław Łagowski

ŚMIERĆ ZMARŁYM!

O ile wiadomo, usunięcie zwłok Bolesława Bieruta z dotychczas zajmowanego grobu nie zostało formalnie postanowione. Może dlatego, że nie istnieją żadne formy ani krajowe, ani międzynarodowe, które by regulowały wyrzucanie z grobu za karę. Co nie znaczy, że nie można takich operacji przeprowadzić w oparciu o procedury historyczne. Najbliższy w czasie przypadek to przeniesienie zwłok Stalina z mauzoleum do skromniejszego grobu. Był to, można powiedzieć, daleki odprysk licznych czynów tego rodzaju z okresu rewolucji. Wydarzenia pokrewne pod względem formalnym różnią się jednak bardzo, jeśli chodzi o ich postać empiryczną. Gdy chłopi białoruscy dobrali się do grobowca księcia Radziwiłła, to głównie w celach rabunkowych, a sprawiedliwość historyczną wymierzyli księciu tylko przy okazji. Lud francuski miał silniejsze poczucie *sacrum* i kierował się bardziej żądzą bluźnierczą niż chęcią zysku, demolując odwieczne grobowce i wyrzucając na śmietnik szczątki świeckich i duchownych panów swego kraju.

Niech stowarzyszenia kombatanckie i niepodległościowe uzbroją się w cierpliwość, jakiś sposób na zwłoki Bolesława Bieruta się znajdzie, jeżeli nie wymyśli rząd, to pomogą biskupi. Historia Kościoła może podsunąć niejeden pomysł. Sięgnijmy, trochę na chybił trafił, do wieku, gdy Polska przygotowywała się do przyjęcia chrztu (ale jeszcze nie była ochrzczona). Papież Bonifacy VI na stolicy Piotrowej niczym się nie zaznaczył, bo zmarł po 10 dniach panowania, co z uwagi na to, czym był, zostało uznane za przysługę oddaną Kościołowi. Rzeczywistym poprzednikiem Stefana VI był Formozus, jedyny papież tego imienia. W niesamowicie wówczas skłóconym Kościele Formozus i Stefan VI należeli do różnych partii i mimo że ten pierwszy już zmarł, Stefan nie mógł mu tej wrogiej przynależności partyjnej wybaczyć. Chorobliwa nienawiść doprowadziła go do tego, że „kazał ekshumować rozkładające się ciało poprzednika. Polecił okryć je papieskimi szatami, usadowić na tronie i urządził – pisze historyk papiestwa Jean Mathieu-Rosay – przyprawiający o mdłości, najbardziej makabryczny proces, jaki kiedykolwiek miał miejsce. (…) Formozus skazany został w majestacie prawa przez synod". Jego wybór na papieża uznano za nieważny i tym samym anulowano wszystkie zarządzenia, wszystkie święcenia i błogosławieństwa, których udzielił. „Trupowi odrąbano palce prawej dłoni – którymi błogosławił tłum, zaś szczątki doczesne skazańca rzucono do zbiorowej mogiły". Po kilku dniach ponownie ekshumowano Formozusa, by rzucić jego kości do Tybru. Kapłani wyświęceni przez Formozusa, których święcenia zostały unieważnione, zmówili się, dopadli zwyrodniałego papieża, udusili go. Formozus został zrehabilitowany, jego odnalezione kości pochowano uroczyście w Bazylice św. Piotra, ale to jeszcze nie koniec historii. Rozliczenia z przeszłością kontynuował papież Sergiusz III, który kazał wydobyć z grobowca szkielet Formozusa, odciąć czaszkę i pozostałe trzy palce prawej ręki (tej od udzielania błogosławieństw), resztę znowu rzucono do rzeki, a wszystkie jego postanowienia jeszcze raz uznano za nieważne.

Empiryczne cechy tego papieskiego rozliczania przeszłości są zbyt średniowieczne i nie do powtórzenia w naszych czasach, ale sama idea skazywania na śmierć nieżywych ma pewnie powab w świadomości ludzi, którzy Polską rządzą lub mają na te rządy wpływ. Według organizacji kombatanckich i niepodległościowych zwłoki generała Wojciecha Jaruzelskiego mają być wyjęte z obecnego grobu i ponownie pochowane na cmentarzu żołnierzy radzieckich.

Wielu pamięta powtarzaną wielokrotnie w mediach wypowiedź prezesa partii obecnie rządzącej, że Jaruzelski powinien być postawiony przed sądem (do czego doszło), skazany na śmierć, a wyrok wykonany. Cokolwiek się mówi złego lub dobrego o ludziach PiS, jednego nie można im odmówić, a mianowicie oślego uporu w dążeniu do raz obranego celu. Obecny rząd w osobie ministra obrony postanowił zdegradować pośmiertnie gen. Jaruzelskiego (i Kiszczaka też) do stopnia szeregowca. Żeby tego dokonać, trzeba mu wytoczyć proces sądowy i skazać za jakąś zbrodnię. To się da zrobić. Jednakże wykonanie wyroku śmierci napotkałoby trudności z powodu demoliberalnej rozwiązłości obyczajów.

POLSKA CHORA NA ROSJĘ

Bronisław Łagowski

Książkę można kupić, wpłacając na konto wydawcy PRZEGLĄDU 48 zł oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona.
Dane do przelewu: Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7;
nr konta 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

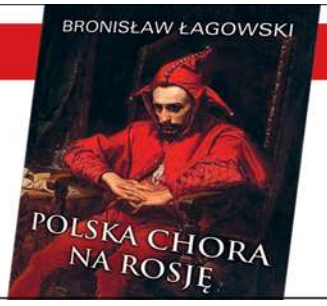

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 51a83ab04c

OBAMA RATUJE PRZYRODĘ

Wyścig o przyszłość Arktyki i Alaski

Mateusz Mazzini

Prezydencka wizyta na Alasce.

Jeśli po ogłoszeniu wyniku wyborów ktokolwiek miał nadzieję, że prezydenturę ekscentrycznego miliardera utemperują instytucje amerykańskiej demokracji, już ją porzucił. Wprawdzie do oficjalnego przejęcia władzy w Białym Domu pozostały Donaldowi Trumpowi jeszcze prawie trzy tygodnie (inauguracja nastąpi 20 stycznia), to kandydat Republikanów już pokazał, że nie ma zamiaru porzucać swoich pryncypiów. A należy do nich przede wszystkim ochrona własnych interesów. Dodajmy do tego prawdopodobnych kandydatów do rządu, wśród których są przedstawiciele wielkich korporacji, urzędnicy podejrzani o związki z Rosją, członkowie rodziny i przypadkowi politycy bez doświadczenia.

WYŚCIG Z CZASEM

Nic dziwnego, że Barack Obama postanowił porzucić wizerunek zrelaksowanego w ostatnich dniach prezydenta i w finale swojej drugiej kadencji przeszedł do legislacyjnej ofensywy. Jej celem ma być uchwalenie możliwie największej liczby aktów prawnych, które uniemożliwią Trumpowi realizację najbardziej szkodliwych i nieprzemyślanych planów. Dla Obamy rozpoczął się wyścig z czasem – nagrodą jest nie tylko jego własny sukces, ale przede wszystkim ocalenie ciężko wypracowanych rozwiązań w takich dziedzinach, jak chociażby ochrona środowiska i dyplomacja.

Pierwszym polem bitwy, na którym odchodzący urzędnicy Obamy zmierzyli się z ofensywnymi planami Trumpa, była imigracja. Zaostrzenie polityki migracyjnej, m.in. poprzez budowę muru na granicy z Meksykiem i masowe deportacje niezarejestrowanych obcokrajowców, były tematami przewodnimi kampanii republikańskiego kandydata. Zaraz po zwycięskim wieczorze wyborczym Trump dodał do tej układanki kolejny element, zapowiadając obowiązkową rejestrację wszystkich muzułmanów przebywających na terenie USA.

Ten pomysł natychmiast wzbudził falę krytyki liberalnych mediów i organizacji ochrony praw człowieka. Eksperci powoływali się na interpretacje konstytucji i naruszanie wolności wyznania, padały porównania do obowiązku rejestracji Żydów znanego z hitlerowskich Niemiec. Trump twierdził jednak, że jego zamiar ma podstawy prawne. Chodzi bowiem o ustanowiony przez George'a W. Busha Narodowy System Rejestracji Wjazdów i Wyjazdów (National Security Entry-Exit Registration System, w skrócie NSEERS). Wprowadzony w życie po zamachach 11 września system zbierał informacje o imigrantach przybywających do USA z konkretnych krajów wyszczególnionych na specjalnej liście, regularnie

Obama objął ochroną 466 tys. km kw. lądu i lądolodu na północ od Alaski.

eprasa.pl 5fa83ab64c

aktualizowanej przez zarządzające programem służby Homeland Security (odpowiednik naszego ABW). Nie byłoby w tym zresztą nic dziwnego, gdyby nie fakt, że obywatele krajów wpisanych na listę – głównie z państw Bliskiego Wschodu i Azji Środkowej – musieli w ramach programu odpowiadać na wiele dodatkowych pytań, w tym dotyczących wyznania. Pod tym względem rzeczywiście Trump miał rację, chcąc wykorzystać istniejącą legislację do celów populistycznych.

Problem jedynie w tym, że od 2011 r. program w praktyce nie działał, a Homeland Security usunęło z listy wszystkie państwa, nie dodając od tego czasu ani jednego nowego kraju. Obama wykorzystał ten fakt i na chwilę przed Bożym Narodzeniem zmobilizował przedstawicieli Partii Demokratycznej w Kongresie do całkowitego wygaszenia programu. 23 grudnia NSEERS oficjalnie przeszedł do historii, a Trump stracił prawną podpórkę jednego z bardziej przerażających pomysłów społecznych. Nie jest oczywiście powiedziane, że razem z republikańską większością nie stworzy nowego projektu legislacyjnego na wzór programu Busha juniora, wiadomo jednak, że realizacja tego postulatu będzie trudniejsza, niż się wydawało na początku.

EKOLOGIA, GŁUPCZE

O ile regulacja imigracji jest często kwestią interpretowania przepisów i może zostać zmodyfikowana, o tyle odwrócenie negatywnych konsekwencji w kwestii ochrony środowiska naturalnego tak łatwe nie będzie. A właśnie na tej płaszczyźnie Amerykanom grozi ze strony administracji Trumpa bodaj największe niebezpieczeństwo. Prezydent elekt jest znany z tego, że zaprzecza istnieniu zjawiska globalnego ocieplenia. W dodatku do swojego przyszłego rządu zaprosił m.in. Rexa Tillersona, który od dekady pełni funkcję prezesa zarządu paliwowego giganta ExxonMobile (kandydat na sekretarza stanu) oraz Ricka Perry'ego, byłego gubernatora Teksasu, jednego z udziałowców w spółce odpowiedzialnej za budowę kontrowersyjnego rurociągu Dakota Access Pipeline (kandydat na sekretarza ds. energii). Obaj panowie mają zresztą z Trumpem wiele wspólnego – nie tylko nie traktują poważnie efektu cieplarnianego, lecz także żaden z nich nie zamierza wycofać się ze swoich komercyjnych interesów w wypadku objęcia stanowiska w rządzie Stanów Zjednoczonych. Wszystko to sprawia, że wykorzystanie posiadanych przez USA zasobów naturalnych do partykularnych celów przez administrację Trumpa można uznać za pewnik najbliższej kadencji.

Szczególnie niebezpieczna i delikatna jest tu kwestia wydobywania bogactw naturalnych z obszarów Arktyki oraz Alaski, które należą do USA. Delikatna z dwóch względów – zagrożeń ekologicznych i możliwych geopolitycznych spięć spowodowanych ekspansywną polityką Rosji w tym obszarze. Dlatego skrępowanie rąk prezydentowi elektowi było priorytetem Obamy. Udało się to po raz kolejny dzięki zawiłościom amerykańskiego prawodawstwa. Odchodzący prezydent wykorzystał uchwalony przez Kongres w 1953 r. akt w sprawie Terenów Zewnętrznego Szelfu Kontynentalnego, który nadaje głowie państwa jednostronną prerogatywę wycofania dowolnego obszaru na terenie Stanów Zjednoczonych z użytkowania publicznego lub prywatnego. Dzięki temu kruczkowi prawnemu Obama objął ochroną 466 tys. km kw. lądu i lądolodu na północ od Alaski oraz niemal 16 tys. km kw. wybrzeża atlantyckiego między stanami Wirginia i Maine.

Co jednak najważniejsze, prerogatywa ta jest jednostronna, ponieważ prezydent może wycofać z użytku dowolny obszar, ale nie może go na mocy własnej decyzji do użytku przywrócić. Takie działanie wymagałoby zgody Kongresu. Oczywiście Trump będzie próbował taką decyzję przepchnąć przez parlament, jednak, jak twierdzi Annie Leonard, dyrektor wykonawczy Greenpeace USA, kongresmeni najpewniej odrzuciliby taką inicjatywę legislacyjną. Odwrotnie niż w kwestii imigracji, w ochronie środowiska konsekwencje nieudanych decyzji mogą bardzo szybko okazać się niemożliwe do odwrócenia.

Trump do przyszłego rządu zaprosił prezesa zarządu paliwowego giganta ExxonMobile.

ODWET IZRAELA?

Wreszcie ostatni cios Obama zadał Trumpowi w polityce zagranicznej. W zeszłym tygodniu Stany Zjednoczone wstrzymały się od głosu na forum Rady Bezpieczeństwa Narodów Zjednoczonych, pozwalając tym samym na przyjęcie krytycznej wobec Izraela rezolucji potępiającej politykę tamtejszego rządu, budującego coraz liczniejsze osiedla mieszkaniowe na terytorium Autonomii Palestyńskiej. Kilka tygodni wcześniej urzędnicy prezydenckiej administracji oskarżyli Izrael o szpiegostwo, a jeden z nich powiedział nawet w anonimowym wywiadzie dla „Wall Street Journal", że Izraelczycy kradną amerykańskie tajemnice bezpieczeństwa i wykorzystują je do propagandy na międzynarodowych forach.

Premier Izraela Benjamin Netanjahu natychmiast zagroził Ameryce odwetem, twierdząc, że ma dowody na antyizraelski spisek przygotowany przez Obamę w ONZ i przekaże je już nowej administracji. Nadszarpniętej relacji nie da się jednak tak łatwo odbudować. Stosunki z Izraelem były dla Trumpa jednym z priorytetów, głównie ze względu na hojne datki na jego kampanię, płynące z tamtejszych źródeł, oraz zapowiedź partnerstwa strategicznego w twardej polityce wobec państw Bliskiego Wschodu. Oczywiście Izraelczykom będzie łatwiej dogadać się z niedoświadczonymi dyplomatami Trumpa, a może nawet ich zmanipulować, jednak o zarzutach szpiegostwa trudno będzie zapomnieć, zwłaszcza biorąc pod uwagę relatywnie dużą niezależność, jaką cieszą się w Stanach służby wywiadowcze.

Oczywiście Obama nie jest w stanie powstrzymać najważniejszego elementu nadchodzącej kampanii – Trump zostanie prezydentem i będzie miał pełnię władzy nad amerykańską polityką zagraniczną, armią, dużą częścią polityki wewnętrznej i gospodarczej. Władzy, której użyje najpewniej dla własnych korzyści. Jedyną nadzieją Amerykanów jest zatem wiara w to, że korzyści prezydenta elekta pokryją się z ich własnymi. ■

FOT. AP PHOTO/EAST NEWS

eprasa.pl 5fa83ab64c

NIEMIECKIE PLANY TRUMPA

Wojciech Osiński
Korespondencja z Berlina

16 lat temu chciał wznieść w Niemczech najwyższy budynek w Europie. Na przeszkodzie stanęło prawo budowlane

Frankfurt, 2000 r. Petra Roth, ówczesna burmistrz metropolii nad Menem, jak zwykle rozpoczęła dzień od przejrzenia „Frankfurter Allgemeine Zeitung". W dziale gospodarczym jej uwagę przykuł tekst o nowojorskim miliarderze Donaldzie Trumpie, który zapowiedział, że chciałby wznieść w Stuttgarcie najwyższy biurowiec w Europie. W Stuttgarcie? Przecież takie drapacze chmur mogą powstawać tylko we Frankfurcie, jedynym bodaj mieście w Niemczech z panoramą przypominającą Nowy Jork – pomyślała Roth. Polityczka CDU postanowiła wpłynąć na plany przyszłego prezydenta USA.

NIEZWYKLE PRÓŻNY

W listopadzie 2000 r. Petra Roth wybrała się do USA na spotkanie z kolegą, ówczesnym burmistrzem Nowego Jorku Rudolphem Giulianim. Rozmawiano głównie o kwestiach bezpieczeństwa, ale burmistrz Frankfurtu chciała nawiązać kontakt z dobrym znajomym Giulianiego, przedsiębiorcą i gwiazdorem telewizji Donaldem Trumpem. Do spotkania doszło jeszcze tego samego dnia. Dzisiejszy prezydent elekt zaprosił Petrę Roth do okazałego biura przy Piątej Alei. Już wtedy całe było oklejone okładkami tygodników, na których amerykański król nieruchomości obnażał swoje białe zęby. Roth doskonale wiedziała, z kim będzie miała do czynienia, jednak to pierwsze wrażenie nieco się zatarło. – Kiedy czekałam na niego w holu i widziałam te wszystkie okładki, pomyślałam: co za próżny człowiek. Po wstępnej rozmowie byłam zaskoczona, Trump okazał się szarmancki i życzliwy, w każdym razie nie tak natarczywy, jak opisują go dziś dziennikarze – wspomina Roth. Jak zaznacza, Trump potrafi także „cierpliwie wysłuchać" rozmówcę.

Była burmistrz Frankfurtu i przyszły gospodarz Białego Domu rozmawiali ponad godzinę. Roth użyła siły perswazji, aby odwieść go od stuttgarckich planów budowy Trump Tower. – Zapraszam do Frankfurtu! – rzuciła, odlatując z Nowego Jorku.

Czy Donald Trump odkurzy swoje ambitne plany budowlane w Niemczech?

Roth twierdzi, że negocjacje z dzisiejszym prezydentem elektem USA przebiegają w zupełnie innej atmosferze niż jego kampanijne wystąpienia. Znany z umiejętności marketingowych Trump odpowiada na złożone mu propozycje mniej lub bardziej stanowczym milczeniem, by ostatecznie z chłodnym uśmiechem zwięźle sfinalizować rozmowę: „Przylecę i zobaczę". Faktycznie zaledwie kilka tygodni później Donald Trump udał się z rewizytą do „Römera", jak nazywają Niemcy ratusz we Frankfurcie, z zamiarem wyrobienia sobie własnego poglądu.

DŁUG WDZIĘCZNOŚCI

Energiczny przedsiębiorca wylądował na frankfurckim lotnisku w przekonaniu, że spłaca dług wdzięczności wobec niemieckich przodków, którzy pochodzili z Kallstadt w Palatynacie. Dziadek obecnego prezydenta elekta,

eprasa.pl 5fa83ab64c

Friedrich Trump, w 1885 r. w wieku 16 lat, wyemigrował do Stanów Zjednoczonych i zdobył fortunę w branży gastronomicznej. – Podczas pobytu we Frankfurcie Donald co rusz powtarzał, że robi to dla ojca i dziadka – opowiada Petra Roth. Trump był rzeczywiście niezwykle zdeterminowany, już wcześniej zakasał rękawy i nawiązał kontakty z wpływowymi ludźmi z niemieckiego świata biznesu i mediów. Pod koniec 2000 r. założył spółkę akcyjną TD Trump Deutschland AG, której udziałowcami zostali: hamburski potentat Marseille-Kliniken, były naczelny dziennika „Bild" Hans-Hermann Tiedje oraz były menedżer firmy Thyssen, Hans Ulrich Gruber, który został prezesem zarządu.

We Frankfurcie Donald Trump przedstawił Petrze Roth plany budowy drapacza chmur w samym sercu dzielnicy biznesowej. Według relacji Roth, biznesmen, gestykulując, opowiadał o „biurowcu, jakiego Europa jeszcze nie widziała", szklanym wieżowcu o wysokości 350 m, bezpośrednio nad rzeką, przy Wilhelm-Leuschner-Strasse, nieopodal magistrali kolejowej. Szkopuł w tym, że w tym miejscu stał już hotel InterContinental, o czym burmistrz Frankfurtu niezwłocznie poinformowała rozmówcę.

Już wtedy Trump lekceważył i odrzucał wszelką krytykę. Spojrzał więc przez okno na frankfurcką starówkę i uśmiechnął się, żeby rozbroić sytuację: – Nie widzę żadnego problemu, po prostu kupię ten hotel i zlecę jego zburzenie – odparł.

Osłupiała Petra Roth zaczęła się martwić, że prawdopodobnie już Trumpa z miasta nie przepędzi. – Próbowałam mu wytłumaczyć, że w Niemczech obowiązuje surowe prawo budowlane, zakazujące szybkich przejęć i burzenia dopiero co wzniesionych hoteli. Ale on nie chciał przyjąć tego do wiadomości – wspomina była gospodyni ratusza. Wymownym przykładem nieuległości Donalda Trumpa była jego kolejna reakcja. – Ale przecież pani rządzi tym miastem, czyż nie? – zapytał beztrosko. – Niestety, na taki plan nie będzie zgody – ucięła Roth, proponując w zamian wycieczkę po mieście.

W MARTWYM PUNKCIE

Petra Roth wybrała się z Donaldem Trumpem w miejsce, gdzie dopiero powstawała pulsująca dzisiaj życiem Dzielnica Europejska. – Chciałam pokazać działkę odpowiednią do realizacji jego planów. Jedynym warunkiem była dyrektywa, według której wieżowiec miał być częściowo okrągły lub owalny, tak jak reszta budynków przy Europa-Allee – tłumaczy Roth. Z tym Trump nie chciał się zgodzić. Gigantyczna Millennium Trump Tower miała być prostokątna, jak niemal wszystkie obiekty będące marką biznesmena z Nowego Jorku. Dyskusja utkwiła w martwym punkcie, po kolejnych wątpliwościach Roth i Trump zaczęli tracić nadzieję, że projekt się powiedzie. Zniechęcona burmistrz miała jeszcze ostatniego asa w rękawie. Nie chciała bowiem, żeby odnotowana już przez media ofensywa budowlana okazałą się fiaskiem. Kazała więc kierowcy podjechać kilkaset metrów dalej, na Emser Brücke, wtedy jeszcze do dziury w ziemi, dziś placu budowy biurowca Porsche-Design-Tower. Trump wysiadł z samochodu, obejrzał działkę i wrócił skwaszony. – Tu dookoła są inne budynki, które przysłoniłyby mój wieżowiec. To żart? – miał zapytać.

Roth i Trump wrócili do ratusza, zamienili jeszcze kilka słów, a potem miliarder długo Frankfurtu nie odwiedzał. Ale miesiącami sondował możliwości biznesowe między Odrą a Renem. Budowalnym eldorado dla amerykańskiego gościa miał być teraz dynamiczny Berlin. Trump zamierzał naznaczyć swoją obecnością śródmiejski Alexanderplatz. Jednak i w tym wypadku bez powodzenia. Przy Alexanderstrasse mogą stać budynki, których wysokość nie przekracza 150 m. Trumpowi to nie wystarczało. Postanowił odświeżyć swoje plany w Stuttgarcie.

ZATRUTA STRZAŁA

Wolfgang Schuster, który był wtedy burmistrzem Stuttgartu, ucieszył się, że Trump nie zamierza zrezygnować z drapacza chmur. I tu sprawa nabrała konkretnego kształtu. Amerykanin nabył działkę budowlaną niedaleko widowiskowego Pragsattel, a jego niemiecka spółka rozpisała konkurs na projekt. Ostatecznie wybór padł na Petera Schweigera, renomowanego architekta z Hamburga. Trump zgodził się nawet na ustępstwa. Jego wieżowiec miał być o 150 m niższy, niż zakładano, czyli sięgać 200 m, co i tak czyniłoby go najwyższym budynkiem w południowych Niemczech. Jego zwieńczeniem miała być szklana kopuła. Na parterze zaplanowano ogromne centrum handlowe dla mieszkańców miasta. Wizualnym dopełnieniem miały być podświetlane fontanny i 14-metrowy sztuczny wodospad.

Plany architektoniczne zrodziły jednak wątpliwości u członków rady miejskiej, którzy nie byli pewni, czy znajdą odpowiednią liczbę firm chętnych do wynajęcia wszystkich kosztownych biur w Millennium Trump Tower. Co więcej, po zamachach na WTC w Nowym Jorku we wrześniu 2001 r. niemieccy partnerzy niezwykle wstrzemięźliwie i krytycznie odnosili się do projektów wznoszenia wysokich budynków, potencjalnego celu ataków terrorystycznych. Plany Trumpa nie spodobały się zresztą samym mieszkańcom miasta, głównie wyborcom Zielonych, którzy – jak choćby w wypadku ciągnącego się od lat projektu Stuttgart 21 (budowy podziemnego centrum handlowego przy dworcu głównym) – w takich sprawach ostro protestują.

Nieprzyzwyczajony do porażek Trump miesiącami sondował możliwości biznesowe w Niemczech.

Ostatecznie w 2003 r. wszystkie umowy z Trumpem zostały zerwane. Ale zgodnie ze swoimi żelaznymi zasadami przyszły prezydent USA uznał, że nawet jeżeli powinęła mu się noga, to nie na tyle, żeby miał upaść. Trump nie chciał się pogodzić z decyzją władz Stuttgartu i zaskarżył ją, żądając milionowego odszkodowania. Lecz nawet ta ostatnia zatruta strzała trafiła w twardy mur niemieckiego prawa. 2005 r. to kres działalności biznesowej amerykańskiego przedsiębiorcy w Niemczech – wtedy też została rozwiązana jego spółka TD Trump Deutschland AG. Marzenie o drapaczu chmur w krainie przodków do dziś pozostało niespełnione. Czy obdarzony od stycznia 2017 r. niespotykaną dotąd władzą Donald Trump ponownie wyciągnie je z szuflady? Raczej nie. Klęska projektu budowlanego w Niemczech nauczyła go, że nad Renem porusza się po niepewnym gruncie, ale i uzmysłowiła mu, że nie należy tu mieszać polityki z biznesem. ■

FOT. WWW.KONTEXTWOCHENZEITUNG.DE

eprasa.pl 5fa83ab64c

GRANICE SĄ TYLKO W NAS

Dziesięć dni w obozie dla uchodźców

Julian Potrzebny, Artur Zaborski
Korespondencja z Idomeni

W momencie publikacji tego tekstu obóz w Idomeni już najprawdopodobniej nie istnieje, miał zniknąć zupełnie z końcem 2016 r. Na mocy porozumienia UE-Turcja przebywający w nim uchodźcy zostali rozlokowani. Większość trafiła do Turcji, ku uciesze rządów krajów Unii Europejskiej, pozbywających się w ten sposób niewygodnego balastu. Dla samych zainteresowanych to nie rozwiązanie ich problemów, tylko sprowadzenie nowych. Ale wiedzą o tym głównie ci, którzy poznali uchodźców. Wbrew pozorom takich osób było naprawdę sporo.

Do Idomeni przyjeżdżali wolontariusze z Europy, Ameryki Południowej, a nawet z Australii. Podczas dziesięciodniowego pobytu spotkaliśmy studentów z Czech, artystów z Hiszpanii, pracowników korporacji z Niemiec, lektorów z Wielkiej Brytanii, którzy tak jak my chcieli zrobić cokolwiek. Chyba wszyscy zgodnie możemy powiedzieć, że na pewno udało się nam jedno: poznać tych, o których dotąd czerpaliśmy wiedzę jedynie z mediów. Czyli mówiąc wprost: tych, o których dotąd nie wiedzieliśmy nic.

GRANICE UWAGI

To miał być zwykły wakacyjny wypad. Wypatrzona na stronach z tanimi lotami oferta: 200 zł do Aten w obie strony z lotniska w Modlinie. Żadnych zabytków, żadnych ludzi. Tylko plaża, leżenie do góry brzuchem z drinkiem z palemką w ręku. Słońce, woda, relaks. Grecja jako hasło zaczyna pojawiać się w naszych wyszukiwarkach coraz częściej. Ale zamiast atrakcyjnych nowych ofert dla turystów wyszukiwarka wyrzuca nam doniesienia o sytuacji uchodźców z objętej wojną Syrii, którzy masowo pojawiają się w tym kraju. Zamiast zdjęć oświetlonych słońcem plaż – koczowiska i zakładane na dziko obozowiska. Wreszcie wszystkie wyniki zaczynają prowadzić w jedno miejsce – do Idomeni, obozu utworzonego na granicy grecko-macedońskiej, w którym utkwili uciekinierzy głównie z Syrii, ale też z Afganistanu i Iraku. Macedonia zamknęła przed nimi granice, pochód do Europy został zatrzymany. Już wiemy, że nie pojedziemy na Peloponez, bo zamiast od słońca spalilibyśmy się ze wstydu, wiedząc, że gdy my tu się byczymy, ktoś szuka schronienia przed kulami. Decyzja zapada dość szybko: nigdzie nie jedziemy.

GRANICE POTRZEB

Kusi nas jednak, żeby pojechać do obozu, pomóc, naprawić, zbawić świat. Bałwochwalcze myśli szybko jednak ustępują miejsca racjonalizmowi: przecież kryzysem uchodźców zajmują się rządy państw, instytucje europejskie, organizacje humanitarne. My z naszą naiwną empatią na pewno byśmy tam tylko przeszkadzali. Ale jakoś nie potrafimy przestać wyszukiwać informacji na temat Idomeni.

Dla pewności dzwonimy do Polskiej Akcji Humanitarnej, wysyłamy do Syrian Refugee Relief Fund i kilku innych organizacji nieśmiałe pytanie, czy może jednak do czegoś byśmy się przydali. Odpowiedzi zewsząd nadchodzą takie same: uchodźcom najbardziej potrzeba ubrań, szczególnie butów. W obozie potrzebni są wolontariusze. Właściwie do wszystkiego. Najbardziej do segregacji ubrań i wydawania posiłków. I już wiemy, że jedziemy. Tylko skąd wziąć potrzebne rzeczy i jak je przewieźć? Dzielimy się zadaniami: jeden zajmuje się transportem, drugi zdobyciem darów. Na Facebooku wrzucamy post o planowanym wyjeździe i pytamy, czy ktoś ma do oddania ubrania i buty. Błyskawicznie rozchodzi się to po sieci. W ciągu kilku dni udaje nam się zebrać 50 kg ubrań. Szybko znajdujemy

też tani samochód w wypożyczalni w Atenach.

GRANICE SZCZODROŚCI

Z Teatru Dramatycznego wypożyczamy worki do transportu kostiumów, dzięki czemu możemy nadać paczki z ubraniami jako bagaż. Swoje rzeczy ograniczamy do bagażu podręcznego. To przecież niecałe dwa tygodnie, a jedziemy do ludzi, którzy nie mają nic. Poza górą ubrań i butów jest jeszcze miś od sześcioletniej córeczki naszej znajomej Ewy, której mama wytłumaczyła, że oddaje jej kurtki i buciki dla syryjskich dzieci. Dziewczynka kazała wyjaśnić sobie całą sytuację. Po tym, jak wysłuchała opowieści, dołożyła od siebie ukochanego misia, maskotkę, bez której

eprasa.pl 5fa83ab64c

Kolejka po dary.

przez kilka ostatnich lat nie zasypiała. Miś leci z nami w samolocie, siedzi nad kierownicą w samochodzie. Przypomina, po co to wszystko, bo wątpliwości nachodzą nas nieustannie. Najbardziej boimy się, że nie damy rady psychicznie, że nie wytrzymamy widoku skrajnej nędzy, że natychmiast udzieli nam się atmosfera miejsca wypełnionego łzami i nieszczęściem.

GRANICE STRACHU

W Atenach odbieramy wynajęty samochód. Przemierzamy nim Grecję, tak pustą i tak wyludnioną poza stolicą, że jej sceneria przypomina plan postapokaliptycznego filmu. Im bliżej obozu, tym bardziej się stresujemy. Mamy nadzieję, że jest tam zorganizowany mechanizm pomocy, że będziemy mogli przekazać ubrania jakiejś organizacji i odjechać. Na miejscu są dwie dziewczyny z kartonem z napisem „Information point". Mamy szczęście, następnego dnia już ich nie będzie. Tego dnia były tam ze względu na demonstracje wywołane pogłoskami o otworzeniu granicy. Brytyjka z punktu informacyjnego mówi, że lepiej byłoby, gdybyśmy zawieźli rzeczy do odległego o 30 km magazynu, a najlepiej sami rozdali je uchodźcom. Pytamy, kto nam pokaże, jak to robić. Brytyjka szkoli nas przez jakieś trzy minuty. Dowiadujemy się, że aby nie powodować zbiegowisk i nie wywoływać niebezpiecznych sytuacji, należy rozdawać ubrania bardzo powoli, pojedynczo wyjmując je z toreb, których nie należy mieć ze sobą więcej niż dwie. Radzi nam pójść do najstarszej, najdalszej części obozu, bo tam dociera najmniej wolontariuszy. Mamy chodzić od namiotu do namiotu, rozmawiać z ludźmi i pytać, czy czegoś nie potrzebują. Nie bardzo to sobie wyobrażamy, bo jak niby mamy się komunikować, skoro nie znamy arabskiego. Ale zabieramy po dwie torby i idziemy.

GRANICE OTWARTOŚCI

Pierwszy szok przeżywamy, kiedy przekraczamy umowną granicę obozu. Zamiast spodziewanej nędzy, łez i przygnębienia, napotykamy roześmiane, bawiące się dzieci, które witają nas słowami „Hey, mister!". Niespecjalnie się nami przejmują, pochłonięte swoimi zabawami. A zabawek mają tu bez liku: skrzynka, patyk, gałąź, worek, reklamówka. Wchodzimy dalej pomiędzy coraz gęściej rozłożone namioty. Ludzi jest mnóstwo, ale wbrew przekazywanym w mediach informacjom nie są to sami mężczyźni. Dominują rodziny: on, ona, dzieci, każde w innym wieku. Najbardziej cieszymy się, widząc starszych ludzi. Jednak nie wszyscy zostali opuszczeni w ogarniętym wojną kraju. Krążymy po obozie, nie mamy pojęcia, jak zacząć dystrybucję, nie potrafimy nawiązać kontaktu, choć coraz częściej słyszymy serdeczne: „Hi!", „Hello, my friend!", „How are you?". Dziwi nas, że nikt niczego od nas nie chce. Nikt nie prosi o pieniądze, o jedzenie, o ubrania, jakby niczego nie potrzebowali. Dysonans poznawczy jest ogromny, bo napotykamy ludzi w dziurawych butach z nowoczesnymi smartfonami. Albo młodych chłopaków i dziewczyny odstrzelonych i wypielęgnowanych, jakby szli właśnie na hipsterską imprezę w Berlinie, a ich miejscami przedziurawione ubrania wyglądają, jakby były świadectwem śledzenia trendów mody.

GRANICE NIEŚMIAŁOŚCI

Krążymy dalej. Obóz to setki małych turystycznych namiotów rozstawionych na zaoranych polach. Namioty są brudne od błota, kurzu, wzmacniane sznurkami, deskami, powiększane folią, płachtami. Zajmują cały nieczynny dworzec kolejowy, perony, torowisko. Między namiotami palą się ogniska. Można się przy nich ogrzać i ugotować coś do jedzenia. Drewno to artykuł pierwszej potrzeby, w obozie śmierdzi palonym plastikiem.

Długo krążymy pośród tego wszystkiego, rozczarowani własną niemocą, dopóki nie zauważamy smutnej dziewczynki przy namiocie, w którym siedzi najprawdopodobniej jej mama. Pokazujemy mamie misia, robimy pytającą minę i pokazujemy na dziewczynkę. Czujemy się, jakbyśmy się narzucali, ale mama uśmiecha się i kiwa głową. Dziewczynka dostaje misia, którego od razu przytula. Ośmieleni wyjmujemy ubrania z torby, ludzie zaczynają się nami interesować, podchodzą, oglądają, przebierają. Nie przychodzą po to, żeby dostać byle co, aby za darmo. Chcą czegoś konkretnego, czego naprawdę potrzebują. Dlatego kiedy mężczyźni biorą od nas coś dla żony bądź dzieci, a rozmiar albo materiał nie pasuje, szukają nas w obozie, żeby rzecz zwrócić. Tu nic się nie marnuje. Idzie łatwiej, niż myśleliśmy.

Dzielimy się zadaniami: jeden zajmuje się transportem, drugi zdobyciem darów.

eprasa.pl 5fa83ab64c

Szybko pozbywamy się rzeczy z obu toreb.

GRANICE RADOŚCI

W drodze do samochodu po kolejne ubrania zagaduje nas kobieta, krągła, dobrze wyglądająca. Pyta o buty. Mówimy, że mamy je w aucie. Idzie z nami. Gdy docieramy na miejsce, podchodzi młody mężczyzna i pokazuje nam swój but, który nie ma połowy podeszwy. Próbujemy przekonać kobietę, żeby buty dać jemu. Kobieta nie chce o tym słyszeć. Rozmawiają po arabsku. Ona jest bardzo stanowcza i dominująca, on wytrwały w swoich prośbach i tłumaczeniach. W końcu kobieta daje mu buty. Mężczyzna dziękuje jej, potem dziękuje nam, bardzo wylewnie. Stoimy osłupiali ze szczęścia i z dumy. Przydaliśmy się, pomogliśmy, uratowaliśmy świat.

Euforia trwa, dopóki nie podejdzie drugi mężczyzna. Połowa palców stopy wystaje mu przez dziurę. Nie mamy dla niego pasujących butów. Reszta ubrań znika szybko. Jesteśmy wykończeni podróżą, a powoli zapada zmrok. Uchodźcy widzą nasze zmęczone twarze, więc zapraszają nas do namiotów. Częstują tym, co mają: herbatą, wodą, skromnym jedzeniem. Nie chcemy zabierać im ostatniej kromki chleba, z drugiej strony – nie chcemy być niegrzeczni i ich obrazić. Szybko uciekamy z obozu i jedziemy kilkanaście kilometrów dalej, gdzie – jak powiedziała nam wcześniej Brytyjka – koczują wolontariusze. Koczują to dobre słowo, bo śpią albo w samochodach, albo w opuszczonym, kilkupiętrowym budynku, w którym składowane są także ubrania dla uchodźców, wysyłane z całego świata pocztą lub transportami. Śpimy w samochodzie. Następnego dnia zgłaszamy się do segregowania ubrań, ale nie możemy tam długo wytrzymać. Chcemy wracać do obozu. Prosimy o wydanie paczek z ubraniami i jedziemy z nimi do uchodźców.

Pozory normalności w obozowym życiu.

GRANICE EGOIZMU

Przez kolejne dni rozdajemy rzeczy z magazynu. Ku naszemu zdziwieniu, zauważamy na drzwiach kartkę z napisem „No more clothes accepted", bo brakuje ludzi do ich segregowania i dystrybuowania. Przez kilka dni udaje nam się rozdać ok. 200 kg ubrań i kilkaset par butów. Mamy już w obozie znajomych. Za każdym razem, kiedy nawet z daleka wypatrzy nas kilkuletni chłopiec, biegnie z wyciągniętymi rękami, krzycząc na całe gardło: „Hello, my friends!". Wpada na nas i serdecznie nas ściska, jakbyśmy byli jego najbliższą rodziną. A łączy nas tyle, że daliśmy mu prywatną bluzę jednego z nas. Nie miała iść na rozdawnictwo, ale chłopcu spodobała się do tego stopnia, że nie było mowy, by jej nie dostał. Chodzi w niej codziennie. Z dziećmi w obozie jest najgorzej, są nie do ogarnięcia, nic przed nimi nie da się ukryć.

GRANICE TAJEMNIC

Zanim wyruszyliśmy z Polski, kilkoro znajomych zapytało nas, czy zamiast ubrań może dać nam pieniądze, za które kupilibyśmy najbardziej potrzebne produkty dla ludzi w obozie. Dzięki pieniądzom opłaciliśmy kolejne bagaże na lotnisku. Zostało jeszcze na niecałe 200 czekolad i kilkadziesiąt kilogramów pomarańczy, bo Syryjczycy najbardziej tęsknią za owocami. Próbujemy je rozdawać dyskretnie, tak żeby dzieciaki nie zorientowały się, co mamy. Udaje się przez pięć minut. Później jesteśmy otoczeni przez chmarę młodszych i starszych chłopców i dziewczynek. Nie możemy się ruszyć, ich ręce są wszędzie.

W ciągu kolejnych pięciu minut po czekoladach i pomarańczach nie ma śladu. Czujemy, że może rację mieli ci, którzy podśmiewali się, że po prostu bawimy się w świętych Mikołajów, a to, co robimy, nie ma większego znaczenia. Wcześniej mieliśmy przynajmniej poczucie radości, dumy i satysfakcji, że jednak realnie udało nam się pomóc. Dopiero kiedy znikają czekolady i pomarańcze, widzimy, na jak niewiele nas stać. Wszechogarniająca bezsilność powoduje, że mamy ochotę czym prędzej wyjechać z obozu. Zwycięża jednak chęć zgłębienia wiedzy o miejscu, w którym się znaleźliśmy. Bo do tej pory wiemy głównie to, czego ci ludzie potrzebują. Aktualnie najbardziej chodliwym towarem są wózki dla

Najbiedniejsi śpią w namiotach obok najbogatszych.

eprasa.pl 5fa83ab64c

dzieci (nie mamy wózków dla dzieci) i „czanta", czyli torba (nie mamy toreb), bo uchodźcy wierzą, że w Idomeni nie będą tkwili długo. Przygotowują się do drogi, a żeby zabrać to, co dostali od ludzi, muszą w coś się spakować. Wtedy jeszcze nie wiedzą, choć już o tym się mówi, że Europa zagna ich do Turcji, której się boją. Nie mają tam nikogo, a Turcy mają zupełnie inną tradycję kulturową i religijną niż oni.

GRANICE NIEWIEDZY

Znów krążymy po obozie, topografię znamy już doskonale. Pierwszy raz, odkąd przybyliśmy, wyciągamy aparat fotograficzny. Głupio nam robić zdjęcia ot tak, dla pewności zakładamy na szyję smycze z napisem „press". Szybko okazuje się, że niektórzy z mieszkańców Idomeni sami chcą, żeby ich fotografować. Zwłaszcza dzieci pchają się przed aparat, szczerzą się, a potem chcą oglądać zdjęcia. To przecież świetna zabawa. Dorośli zaś często wołają nas z daleka, żebyśmy sfotografowali to, co napisali na swoich namiotach.

A są tam różnego rodzaju hasła i prośby, głównie o otwarcie granicy. Chcą, żeby ich pokazywać światu, żeby mówić o ich sytuacji. Liczą, że kiedy Europa dowie się, w jakim znaleźli się potrzasku, zrobi coś, żeby im pomóc. Przecież obiecała im, że zostaną przyjęci. Nie wiedzą, że Europa doskonale o tym wie. Ci, którzy zdają sobie z tego sprawę, nie pozwalają robić sobie zdjęć, bo rozumieją, że na materiale z obozu portale internetowe będą wyrabiały klikalność, a prasa sprzedaż. Nie chcą, by żerować na ich nieszczęściu.

Nikt jednak nie ma do nas pretensji za Europę, nie oskarża nas o swoją niedolę. Świadomość własnego położenia i stosunku Starego Kontynentu do ich sprawy uderza nas, bo dopiero wtedy zdajemy sobie sprawę, że w obozie znaleźli się ludzie z różnych klas społecznych, o różnym poziomie wykształcenia i różnym pochodzeniu. Wojna uczyniła ich wszystkich równymi. Najbiedniejsi śpią w namiotach obok najbogatszych, posiadacze iPhone'ów sąsiadują z tymi, którzy komórki w życiu nie mieli w ręce. Nie jesteśmy świadkami napięć między nimi.

Uchodźcy zapraszają nas do namiotów. Częstują tym, co mają: herbatą, wodą, skromnym jedzeniem.

GRANICE NORMALNOŚCI

Widzimy za to, jak obóz z dnia na dzień zaczyna się strukturyzować w miasteczko. Można w nim znaleźć kilka prowizorycznych sklepów, w których Syryjczycy handlują głównie papierosami, gumami do żucia, tanimi słodyczami i piwem. Dalej są również prowizoryczne: szkoła, w której wolontariusze z Zachodu uczą dzieci i dorosłych angielskiego, przedszkole, do którego rodzice oddają dzieci, by móc zrobić pranie i inne prace domowe (choćby zgromadzenie drewna na opał), świątynia, w której mężczyźni modlą się na sadżżadach, a także miejsce, w którym wydawane są posiłki. Jedzenia na szczęście nie brakuje, zawsze jest na czas, nikt nie chodzi głodny. Podobnie jest z pitną wodą i lekarstwami, o które można poprosić w punkcie medycznym lub w namiotach Czerwonego Krzyża. Gorzej ze szpitalem. Najbliższy jest wiele kilometrów stąd. Na miejscu są za to kordony policji i formacje militarne, które pilnują granicy.

Do zabawy wystarczy cokolwiek.

Okolica na bieżąco jest patrolowana – nikt nie może się przedostać. Podczas dziesięciodniowego pobytu nie doświadczamy sytuacji groźnej ani niebezpiecznej. Żadnych bójek, żadnych waśni, żadnych utarczek na linii uchodźcy-uchodźcy czy uchodźcy-policja. Pytamy jednych i drugich, czy takie się często zdarzają, ale obie strony utrzymują, że nie.

GRANICE KOMFORTU

Ostatniego dnia, kiedy rozdaliśmy już wszystko, wracamy z pustymi torbami do samochodu. W tych torbach przywieźliśmy swoje bagaże podręczne. Podchodzą do nas dwie kobiety, które bardzo chciałyby je otrzymać. W powrotną drogę pakujemy swój bagaż podręczny w worki na śmieci. Na lotnisku w Atenach i w samolocie polscy turyści patrzą na nas z góry. Wszyscy mają walizki na kółkach. Nie możemy oderwać oczu od tych kółek – to dopiero byłaby radość w obozie!

Julian Potrzebny, Artur Zaborski

FOT. JULIAN POTRZEBNY, ARTUR ZABORSKI

eprasa.pl 5fa83ab64c

REQUIEM DLA ALEKSANDROWA

Katastrofa lotnicza zabrała najlepszy chór męski na świecie

Bronisław Tumiłowicz

Wspaniały Chór Aleksandrowa już nie zaśpiewa. W Rosji ogłoszono żałobę, ale i u nas były tysiące miłośników tego zespołu, który dawał najlepsze świadectwo muzycznego mistrzostwa. Nie usłyszymy już ani nie zobaczymy śpiewaków w mundurach.

Zespół założył jeszcze w latach 20. Aleksandr Aleksandrow, ale pierwszym dyrygentem był Michaił Szulman, który kierował chórem do roku 1937, kiedy został aresztowany w wyniku jednej ze stalinowskich czystek. Pierwszy skład zespołu w 1928 r. liczył 12 artystów: ośmiu śpiewaków, dwóch tancerzy, akordeonistę i lektora. Po tym, jak w 1933 r. zespół po raz pierwszy wystąpił przed Józefem Stalinem, żaden państwowy koncert nie mógł się odbyć bez udziału chóru. Do roku 1935 zespół powiększył się do 135 wykonawców. Podczas wojny chór podlegający organizacyjnie Armii Czerwonej śpiewał na frontach dla żołnierzy radzieckich. Apogeum liczebności osiągnął w 1948 r. – 313 wykonawców. Od tego momentu zaczęła się też jego światowa kariera.

ZAŁOŻYCIEL

Kim był Aleksandr Aleksandrow? Wybitny muzyk wojskowy urodził się w 1883 r. Trudno powiedzieć, czy od razu stał się komunistą, wiadomo jednak, że to on skomponował muzykę do „Hymnu partii bolszewików", a na podstawie tej melodii w 1943 r. powstał hymn Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Ta sama muzyka i trochę zmienione słowa stały się następnie hymnem Rosji. Aleksandr Aleksandrow skomponował też kilka najpopularniejszych pieśni wojskowych dla swojego chóru, m.in. „Po dolinach i po górach" oraz „Swiaszczennaja wojna". Muzyk uzyskał stopień generała majora, był też profesorem moskiewskiego konserwatorium. Kierował chórem aż do śmierci w 1946 r., po nim szefem zespołu został jego syn Borys Aleksandrow, także kompozytor i generał major.

Zagraniczne wyjazdy chóru rozpoczęły się w 1946 r. występami w Polsce i w Czechosłowacji. Tu – na trzy tygodnie przed śmiercią założyciela zespołu – nagrano pierwsze płyty. W czasach pokojowych zespół umacniał znakomitą opinię i poszerzał repertuar.

Imię założyciela chór otrzymał w 1949 r. Nadal był zespołem reprezentującym armię ZSRR, a później Armię Federacji Rosyjskiej i podlegał Ministerstwu Obrony FR. W repertuarze zespołu uzbierało się ponad 2 tys. utworów, prócz pieśni wojskowych i ludowych są tu także utwory cerkiewne, kompozycje ze skarbnicy klasyki rosyjskiej i zagranicznej, pieśni różnych narodów, a nawet opracowania utworów z gatunku rocka i popu. Pełny skład zespołu to 186 osób – dziewięciu solistów, 64 chórzystów, 38 członków orkiestry i 35 tancerzy. Przy zespole działała też młodzieżowa szkoła muzyczna Młodzi Aleksandrowcy dla dzieci w wieku od 5 do 13 lat. W skład zespołu wchodziła także grupa estradowa Aleksandrow-Park, wykonująca dawne szlagiery we współczesnych aranżacjach. Obecnie oficjalna nazwa zespołu brzmi: Akademicki Zespół Pieśni i Tańca im. Aleksandrowa.

Ale i główny zespół unowocześnił swój profil muzyczny. W końcówce ZSRR do kierownictwa chóru zgłosił się lider zespołu Pink Floyd Roger Waters, który zaprosił artystów do wzięcia udziału w koncercie „The Wall Live in Berlin", podczas którego Rosjanie śpiewali m.in. „Bring the Boys Back Home" wraz z żeńską częścią chóru Bayerische Rundfunk. To sytuowało zespół w awangardzie ówczesnych przemian w Europie i podniosło jego prestiż. Jednak podstawowym zadaniem chóru, wynikającym z „wojennej tradycji", było towarzyszenie pieśnią tam, gdzie są rosyjscy żołnierze. Dlatego Chór Aleksandrowa koncertował w okręgach wojskowych, jednostkach i oddziałach armii rosyjskiej, także na obszarach działań bojowych: w Afganistanie, Jugosławii, Naddniestrzu, Tadżykistanie i Czeczenii. Teraz lecieli do bazy rosyjskich lotników w Syrii.

> Podstawowym zadaniem chóru było towarzyszenie pieśnią rosyjskim żołnierzom.

BEZPIECZNIACKA PODRÓBKA

Sława Chóru Aleksandrowa (pod taką nazwą jest on znany w Polsce) była tak wielka, że z tej marki zaczął korzystać inny zespół mundurowych śpiewaków, zorganizowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych Rosji. Podczas występów na Zachodzie prezentował się tak samo jak Chór Aleksandrowa przyznający się do pochodzenia od Armii Czerwonej. Zachodni impresariowie uważali więc, że to oryginalny i ceniony Chór Aleksandrowa, który np. w 1961 r. zdobył nagrodę Akademii Francuskiej za najlepszą płytę roku. W 2011 r. konflikt z chórem „bezpieczniaków" przybrał na sile i zmusił Chór Aleksandrowa do opublikowania na You Tube materiału „Skandal wokół zespołu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych". W oświadczeniu podano, że zespół im. gen. Jelisiejewa przypisywał sobie sukcesy Chóru Aleksandrowa, a w jego reklamach pojawiały się nawet zdjęcia z koncertów oryginalnego Chóru Aleksandrowa. Problem dotyczył głównie Francji, gdzie fałszywy chór występował aż 21 razy, a także Turcji.

Wstępując do chóru, wszyscy członkowie mieli nadawane stopnie wojskowe i byli żołnierzami zawodowymi bądź kontraktowymi armii rosyjskiej.

ALEKSANDROW A SPRAWA POLSKA

Po okresie PRL chóru nie zapraszano do Polski przez kilka lat, choć jego światowa pozycja wciąż się umacniała. Wreszcie, gdy emocje związane z dominacją ZSRR nieco opadły, zdolny menedżer Piotr Skulski zaryzykował zaproszenie zespołu w 2003 r. i był to strzał w dziesiątkę, o czym świadczy ok. 200 koncertów zespołu w całym kraju.

Ale nie obyło się bez incydentów. W 2014 r. odwołano występ w Filharmonii Krakowskiej jako efekt antyro-

eprasa.pl 5fa83ab64c

syjskich protestów społecznych w odpowiedzi na zajęcie Krymu. Podobno po tym fakcie muzycy obiecali, że nie będą występowali w Polsce w radzieckich mundurach, ale słowa nie dotrzymali, bo na kolejnym koncercie w Suwałkach byli ubrani tak samo i mieli czapki z czerwonymi gwiazdami. W 2014 r. odwołano również koncert w Szczecinie, „bo bilety się nie sprzedawały". Protestowały m.in. kluby „Gazety Polskiej": „Tak dla muzyki. Nie dla sowieckiej symboliki". Ale już rok później Szczecin przyjął Aleksandrowa mimo głosów, że „sowieckie mundury nie powinny być w Polsce oklaskiwane". W 2016 r. znów była przerwa, ale planowano zaproszenie zespołu w roku 2017.

Chór zdobywał uznanie coraz młodszych słuchaczy.

Jak wspomina Piotr Skulski, na pierwszym koncercie w 2003 r. w warszawskiej Sali Kongresowej średnia wieku na widowni wynosiła 75 lat. Kiedy zespół przyjechał do Warszawy po raz drugi, średnia wieku w Kongresowej zmniejszyła się już o 10 lat. Potem było jeszcze lepiej. Chór zdobywał uznanie coraz młodszych słuchaczy, także tych nieobciążonych żadną historyczną traumą.

Trzeba przyznać, że sukces zawdzięczał także świetnemu repertuarowi. Mimo że reprezentował armię rosyjską, a nawet radziecką, to włączał do koncertów pieśni polskie, nawet „ideowo obce" Rosjanom, a nas chwytające za serce, jak „Czerwone maki", słuchane przez publiczność na stojąco. Były też „Brunetki, blondynki" z repertuaru Jana Kiepury, „Rozszumiały się wierzby płaczące", „Hej, sokoły" wywodzące się z bliskiej nam Ukrainy czy „Róża czerwona...", czołówkowa piosenka z filmu „Jak rozpętałem drugą wojnę światową".

Podczas ostatniego koncertu w Atlas Arenie w Łodzi miało miejsce sympatyczne wydarzenie, ponoć pierwsze w 90-letniej historii chóru. Tuż przed finałowym utworem publiczność była świadkiem oświadczyn. Za zgodą chórmistrza jeden ze słuchaczy mógł poprosić o rękę swoją wybrankę. Gest mężczyzny widzowie nagrodzili owacją na stojąco. Takie chwyty tylko przysparzały zespołowi popularności.

KATASTROFA TU-154

Wadim Ananiew, zwany Misterem Kalinka, bo jest solistą tenorem w jednej z najpopularniejszych pieśni chóru, który miał lecieć ze wszystkimi, nie zgłosił się na lotnisko. 57-letniemu śpiewakowi urodziło się trzecie dziecko, syn. Został więc w domu, aby pomóc żonie.

Samolot Tu-154 wyprodukowany w 1983 r. (był remontowany dwa lata temu, specjaliści twierdzą, że samoloty tego typu mogą latać nawet 40-60 lat), należący do Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej, 25 grudnia o godz. 5.27 zniknął z radarów. Artyści lecieli do bazy wojskowej Hmeimim na noworoczny koncert dla rosyjskich lotników stacjonujących w syryjskiej Latakii. Samolot lądował w Soczi tylko w celu nabrania paliwa i spadł do morza zaraz po starcie. Była to siódma minuta lotu. Ministerstwo Obrony Rosji ogłosiło, że nikt nie przeżył katastrofy. Na pokładzie samolotu znajdowały się 92 (niektóre źródła podają 93) osoby (ośmioro członków załogi i 84 pasażerów z czego 64, a może 65, stanowili członkowie zespołu Aleksandrowa – dziewięciu solistów, chórzyści, muzycy grający na bajanach i bałałajkach – oraz rosyjscy dziennikarze. Na liście pasażerów figurowało także nazwisko nowego kierownika artystycznego zespołu Walerego Haliłowa, w stopniu generała lejtnanta i z tytułem naukowym docenta. Zginął również dyrektor departamentu kultury Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej. Szczątki samolotu znaleziono 1,5 km od brzegu na głębokości 50-70 m. Tłustą plamę, najprawdopodobniej paliwa, widać 5 km od brzegu. Mer Moskwy Siergiej Sobianin zaoferował na Twitterze pomoc dla rodzin ofiar. Ogłoszono też, że rodziny otrzymają po 3 mln rubli, a rodziny wojskowych 7,8 mln rubli.

Legendarny chór Aleksandrowa praktycznie przestał istnieć. W Moskwie zostało tylko trzech śpiewaków. Piotr Skulski jest jednak optymistą – uważa, że po szoku i okresie żałoby zespół się odbuduje. I wyjdzie z tej katastrofy jeszcze silniejszy. ■

FOT. ADRIAN GŁADECKI/REPORTER

eprasa.pl 5fa83ab64c

prezenty
bez pudła

W TYM ROKU
PODARUJ COŚ
WYJĄTKOWEGO

KUP PREZENT BEZ PUDŁA
I URATUJ ŻYCIE DZIECKA

unicef

www.prezentybezpudla.pl

eprasa.pl 5fa83ab64c

Oko w oko

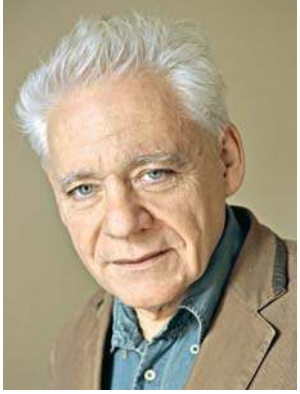

Tomasz Jastrun

NIE TYLKO ROK 2016

Jaki był ten rok? Dla mnie osobiście jego początek był koszmarem. A druga połowa roku byłaby dobra, gdyby nie gradowa chmura, która zawisła nad Polską, nad Europą, nad światem. W Polsce do głosu doszła hodowana przez nas od wieków autodestrukcja. I nagle aktualne jest to, co pisał Jan Pasek w pamiętnikach z roku pańskiego 1664... „Uprzykrzyła się nam wojna z nieprzyjacielem, zachciało się nam spróbować samym z sobą...".

Postawiono już wiele diagnoz, dlaczego doszło do prawicowego „przewrotu" w Polsce, w Stanach, czemu tak paskudzi się w Europie. Demokracja liberalna mimowolnie sprowadziła na nas dramatyczne kłopoty. Tak długo uczyliśmy wszystkich egalitaryzmu, aż wszedł w nam krew i zderzył się z nierównym podziałem dóbr, stąd bunt. Nawet bez myślenia spiskowego widać, że istnieje dyktat wielkich korporacji, jak marny sort polityków. A zbyt gwałtowne scalanie się Europy i globalizacja obudziły w narodach odruchy plemienne. Radykalny islam jest przerażony tym, że podbija ich zachodnia cywilizacja. To jak nowa inwazja krzyżowców, teraz bardziej skuteczna. Bezradność rodzi terroryzm.

W Polsce doszła do głosu hodowana od wieków autodestrukcja.

I jak mam teraz swoim dzieciom, które mnie pytają, wyjaśnić, dlaczego ktoś wjeżdża w tłum ludzi samochodem, tak by zabić jak najwięcej przypadkowych osób, w tym dzieci. My też mogliśmy tam być. Ten sam człowiek, gdyby mógł, zniszczyłby bez wahania milionowe miasto. Otwierają się tu nowe możliwości. Wkrótce będą nas atakować drony z ładunkami wybuchowymi. I pewnie niedługo uda się terrorystom wyprodukować broń atomową. Ludzkość ma więc szanse na przeżycie tylko wtedy, jeśli wszystko będzie kontrolowane i zabezpieczane. A tego nie da się zrobić w demokracji, którą znamy. To też sprzyja systemom demokracjopodobnym. Kaczyński tu też zbiera punkty.

•

Wigilia pod Warszawą, brat żony prowadzi wielkie gospodarstwo i firmę. Trzyma w ręku kilkanaście interesów. Należy do setek tysięcy biznesmenów, którzy napędzają naszą gospodarkę. Przy wigilijnym stole czytam na głos fragment Ewangelii, co mnie porusza, potem modlitwa. Tak zarządzili religijni teściowie brata mojej żony. Jest ok. 20 osób, połowa nie mówi modlitwy. Laicyzacja jednak postępuje. Dzielenie się opłatkiem. Nie całuję się z pisowskim krewnym, ale z jego żoną jednak tak, jest dobra i serdeczna. Potem wielkie żarcie (trzy czwarte tego jedzenia zostaje). Sporo rozmów o polityce. Dobra zmiana dociera już wszędzie. Naukowiec G. opowiada, jak chaos i brak kompetencji zaczynają niszczyć naukę. Biznesmen mówi o idiotyzmie nowych przepisów, jak biznesowi szkodzi 500+, jakie bzdurne kontrole mu grożą. B. opowiada, że w Ministerstwie Spraw Zagranicznych obłęd i chaos. Wszędzie pną się do góry ludzie zupełnie niekompetentni i kanalie. Fizyk i meteorolog łapie się za głowę, kiedy mówi, że minister Szyszko i cała nowa władza nie wierzą w globalne ocieplenie. Jak się zdaje, nie wierzą też w teorię ewolucji.

•

Wywiad z Andrzejem Lepperem z roku 2007, niedrukowany. Lepper wyleciał wtedy z rządu, jego Samoobrona była w koalicji z Kaczyńskim. Mówił o PiS: „To są potwory polityczne. Tam w ogóle nie ma człowieczeństwa. Zwłaszcza w Jarosławie: (...) On sobie zaplanował Polskę swoich marzeń. I się przed niczym nie cofnie, żeby się te marzenia spełniły. (...) Główne marzenie jest jedno. Żeby wszystko zostało podporządkowane jego wizji. Za wszelką cenę. A jego narzędziem są kwity. To nieraz jasno wynikało. Przede wszystkim dlatego nie chciał nas [Samoobrony] – podobnie jak wcześniej Platformy – w resortach siłowych, żeby mu nikt nie przeszkadzał w produkowaniu haków. To się odbywa między Jarosławem, Ziobrą i Kamińskim. Ta trójka o wszystkim decyduje.(...) Oni się już nie cofną. Ja dawniej myślałem, że dla nich celem jest prezydentura. Ale nie. Wiem z bliskiego otoczenia Ziobry, że im chodzi o władzę przez następne kadencje. Przynajmniej jeszcze dwie. Następne 10 lat chcą rządzić. (...) Wiem z rozmów z Jarosławem, jaka ma być Polska jego marzeń. To ma być taka Polska, w której kto jest dla niego niewygodny, ten jest odstrzelony. Kiedyś mówił nam o liście dziennikarzy, którzy go krytykują i których trzeba odstrzelić. My naprawiamy Polskę, a oni nas krytykują. Musimy się zająć ich finansami, posiadłościami. Pokażmy ludziom, kto ich finansuje, kto ich sponsoruje", mówił wtedy Lepper.

To było 10 lat temu. I wszystko aktualne. Nie był taki głupi ten Lepper. Popełnił samobójstwo, chociaż ze wszystkich polityków zdawał się ostatnim kandydatem do podniesienia ręki na siebie. Co za niespodzianka, że jego populistyczny ruch wydaje się teraz bardziej ludzki i rozsądny niż PiS dzisiaj.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 51a83ab04c

JAK JA CIĘ KOCHAM, STARY

O MĘSKIEJ PRZYJAŹNI

JACEK MASŁOWSKI

– psycholog, filozof, trener grupowy, coach oraz psychoterapeuta Gestalt, współtwórca i prezes Fundacji Masculinum

Tomasz Kwaśniewski – dziennikarz.

Rozmawia Tomasz Kwaśniewski

Masz przyjaciela?

– Jeżeli przyjaciel oznacza kogoś, komu możesz się pokazać takim, jakim naprawdę jesteś, to mogę powiedzieć, że dawno temu miałem przyjaciół, potem długo ich nie miałem, a od niedawna znowu zaczynam mieć. To jest zresztą znamienne, że kiedy jesteś chłopcem, to nie masz kłopotów z tym, żeby mieć przyjaciół. A to dlatego, że pozwalasz sobie na bycie prawdziwym w relacjach z innymi ludźmi. Co automatycznie oznacza, że pozwalasz też innym na to, by byli prawdziwi wobec ciebie. A potem niestety nadchodzi moment, w którym zaczynają pracować przeróżne stereotypy, przychodzą też określone reakcje ze świata dorosłych, które powoli nas zamykają.

A jakbyś miał opowiedzieć na to pytanie ot tak, po prostu?

– Tobym powiedział, że w całej zgrai chłopaków, kolegów, którzy mnie otaczali, miałem prawdziwego przyjaciela, na imię miał Wojtek, do dziś go pamiętam, spędzałem z nim mnóstwo czasu. My wręcz dbaliśmy o to, żeby się nie rozstawać. Wiedzieliśmy o sobie wszystko i wszystko robiliśmy razem.

A te stereotypy?

– Chodzi mi o to, że w pewnym momencie przestajesz myśleć o sobie w kategoriach, że jesteś Tomkiem, a zaczynasz: czy jestem takim, jakim być powinienem. W szczególności: czy jestem wystarczająco męski. W ogóle dziś jest tak, że większość nie tylko chłopców, ale też mężczyzn ma kłopot z poczuciem, że są rzeczywiście męscy. A to dlatego, że my dziś nie otrzymujemy takiej informacji od świata. Jeśli już, to przeważają odwrotne komunikaty.

Kiedyś otrzymywaliśmy?

– Oczywiście, w procesach inicjacyjnych – coś tam zrobiłeś, przeszedłeś jakąś ścieżkę, a w związku z tym dostawałeś od świata mężczyzn certyfikat, że teraz to już jesteś mężczyzna, możesz to i tamto.

Dziś (…) czegoś takiego nie mamy. A w związku z tym większość z nas nosi w sobie głęboką niepewność co do własnej męskości. I ona bardzo często jest przykrywana różnego rodzaju fasadami: twardziela, człowieka, który nie okazuje emocji, który nie wchodzi w bliskie relacje itd. Do tego dochodzi lęk przed byciem uznanym za homoseksualistę. A to wszystko powoduje, że w momencie gdy chłopaki zaczynają dojrzewać, pojawia się ostracyzm. (…)

A czy to w ogóle ważne, żeby mieć kontakt z tymi pierwszymi kolegami?

– Tak naprawdę to ważny jest kontakt – to jest słowo klucz. A to, że nie potrafimy go nawiązać, a jak już potrafimy, to nie umiemy go utrzymać (…), wynika przede wszystkim z braku kontaktu z ojcem. Albo innymi ważnymi dla nas mężczyznami.

Pamiętam, miałem jakieś 30 lat, gdy nagle, tak niesamowicie wyraźnie, poczułem, że w moim życiu brakuje dojrzałych mężczyzn. Takich, któ-

FOT. ALBERT ZAWADA/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl 5fa83ab64c

rzy mogliby mi trochę o swoim życiu, czyli o męskim świecie, opowiedzieć. Podzielić się swoim doświadczeniem. (…) Brakowało mi mentorów.

Czyli kogo?

– Mężczyzn, którzy by mi opowiedzieli, jak to u nich było. Jakich trudności doświadczali. Jak sobie z nimi poradzili. Ewentualnie nie poradzili i co z tego wynikło. No bo wiesz, w pewnym momencie odkrywasz, że właściwie uczysz się życia na własną rękę. Nie masz żadnych wzorców, punktów odniesienia. (…) Ta tęsknota, żeby zawiązać głębsze relacje z mężczyznami, towarzyszyła mi dosyć długo. Bo też długo nie potrafiłem takich facetów znaleźć. A jak już ich znalazłem, to nie potrafiłem na nich się otworzyć. (…)

Naprawdę szukałeś głębszych relacji z mężczyznami?

– Naprawdę.

Jak to wyglądało?

– Akurat to był czas, kiedy poznawałem dość dużo ludzi, prowadząc przeróżne warsztaty i szkolenia. Wtedy tylko biznesowe.

Myślę, że kilka tysięcy osób poznałem w tamtym czasie.

I to wyglądało mniej więcej tak, że jesteśmy na jakiejś kolacji, w jakimś hotelu, zaczynamy gadać i nagle się okazuje, że ktoś ma podobne do mnie potrzeby i dylematy. Przeważnie byli to faceci, którzy też bardzo dużo pracowali w tym korporacyjnym świecie, mieli już rodziny, a to, czego im najbardziej brakowało, to męskiego wsparcia.

Większość mężczyzn żyje dzisiaj w permanentnej emocjonalnej samotności.

Czyli?

– Dam ci przykład. Mam przyjaciela, kiedyś razem pracowaliśmy, on do mnie dzwoni, mówi: „Wiesz co, jak spotykam się ze znajomymi, to tam jest taka fajna babka, bardzo atrakcyjna, bardzo mi się podoba i mam wrażenie, że ja jej też, przynajmniej takie śle sygnały. I ja już jestem na granicy, kurczę, ale ja mam żonę, dzieci, co ja mam zrobić?”. Natychmiast się umówiliśmy i odbyła się rozmowa, której on siłą rzeczy nie mógł przeprowadzić ze swoją partnerką. No i dzięki temu, że mógł mi opowiedzieć, co go pociąga w tamtej dziewczynie, ale też o tym, jak wygląda jego relacja z żoną, doszedł do tego – sam z siebie – że tak naprawdę to on szuka realizacji tęsknot, które kiedyś z żoną miał zaspokojone, a teraz, w związku z tym, że oboje mają masę obowiązków, to w ogóle nie są w stanie się ze sobą spotkać. I pamiętam, że wtedy przy mnie wyjął telefon, zadzwonił do tej kobiety, powiedział, że już nigdy więcej się nie spotkają – to jest właśnie wymiar głębokich męskich relacji, które są niezwykle istotne w momentach kryzysowych.

Wróćmy do ciebie.

– Jak poszedłem do roboty, to straciłem kontakt z przyjaciółmi ze szkoły. Co zresztą jest dość typowe, bo cała masa przeróżnych obowiązków związanych z zaangażowaniem w pracę i życie rodzinne wybija nas z tych niezwykle nam potrzebnych, karmiących nas relacji z bliskimi nam mężczyznami. Ewentualnie zamieniamy je na relacje już tylko kumpelskie.

Różnica jest jaka?

– Zasadnicza, ponieważ relacje kumpelskie są bardzo powierzchowne – idziemy sobie w piątek na piwo albo raz w tygodniu spotykamy się na piłce nożnej. Ale trudno sobie wyobrazić, żeby w tym układzie pojawiło się miejsce na to, żeby porozmawiać o kłopotach związanych na przykład z partnerką. Albo o kłopotach ze sprawnością seksualną. Czy wychowaniem dzieci. (…)

Większość mężczyzn żyje dzisiaj w permanentnej emocjonalnej samotności. A dzieje się tak dlatego, że jesteśmy uwikłani w tysiące relacji, ale one są raczej powierzchowne.

A jak to u ciebie szło?

– No właśnie tak, że przez dość długi czas nie miałem prawdziwych przyjaciół, aż ich znalazłem w różnych miejscach Polski. I pamiętam, że był taki czas, kiedy zacząłem organizować spotkania tej naszej grupy.

Ilu was było?

– Kilkunastu, takich, którzy zgłaszali podobne potrzeby do moich.

Czyli?

– No właśnie takiego głębszego kontaktu z innymi mężczyznami.

I to wyglądało tak, że zjeżdżaliśmy się do kogoś i te spotkania miały kilka zasad. Po pierwsze zero alkoholu. Żeby się nie rozpraszać, ale też nie zamykać. Po drugie zero kobiet. Bo ich obecność sznuruje mężczyznom usta. Chodzi o to, że wraz z kobietą pojawia się obawa, że będzie się ocenionym. Poza tym zaczyna się rywalizacja o jej względy i uwagę.

Po trzecie?

– Że nie ma lidera, wszyscy jesteśmy równi. Te spotkania były dla mnie czymś niezwykłym, wręcz przełomowym. Zresztą nie tylko dla mnie. Bo wyobraź sobie, że spotykasz się z facetami, zaczynacie gotować, a to jest bardzo ważne, żeby coś robić wspólnie, dlatego że bliskość między mężczyznami, o czym już mówiłem, ale warto to przypomnieć, buduje się

Żeby mieć poczucie siły, trzeba mieć oparcie. Za tobą po prostu ktoś musi stać.

poprzez wspólne działanie, a nie tylko gadanie. Potem było jedzenie tego, co zrobiliśmy, i rozmowa. To znaczy najpierw każdy zdawał relację z tego, co się u niego dzieje, ale nie na zasadzie sztucznie wywołanej rundki, tylko to tak spontanicznie szło. A później pojawiał się jakiś istotny, zaplanowany specjalnie na to spotkanie temat. Na przykład: jak to u nas jest z miłością? Jaki mamy z nią kłopot? Jak ją rozumiemy? Czego w niej szukamy? Gdzie? Czego się boimy? Czego nie potrafimy?

Tak sobie siedzieliście i gadaliście?

– Dokładnie. I wiesz, jak ci faceci się tak pootwierali, to potem, jak to się już kończyło, to miałem wrażenie, jakbym miał nie tyle skrzydła, co silniki odrzutowe. (…)

A zdarza się, że na tych spotkaniach wy się tak jakoś do siebie przytulacie?

– No jasne, bo to jest przecież normalna sprawa, że jak czujesz bliskość, to się chcesz przytulić. (…) Przytulanie się z facetami, już ci o tym opowiadałem, to jest w ogóle jeden z podstawowych elementów mojej pracy jako terapeuty.

Ty nie masz z tym problemu?

– Musiałem się na to ponownie otworzyć. Wiesz, ja nigdy nie zapomnę zapachu mojego ojca, ale żeby go poczuć, musiałem być blisko. Czyli jako mały chłopak siadałem mu na kolanach, tuliłem się do niego. I to było bardzo mi potrzebne. Bo ja się wtedy czułem taki superzaopiekowa-

eprasa.pl 5fa83ab64c

ny. A potem jak wyjechał, to strasznie mi tego brakowało. W konsekwencji ten obszar takiej jakby miękkości, który miałem otwarty w relacji z ojcem, został otwarty dla świata. Tylko że świat nie był moim ojcem. On był obcy. Nieprzewidywalny. Niezrozumiały. A ja nie byłem jeszcze wtedy gotów, żeby z nim się zmierzyć. Zacząłem więc się zamykać. Podobnie zresztą jak wielu innych chłopców, którzy w swoim czasie nie doświadczyli fajnego, ciepłego, bliskiego kontaktu choćby tylko z ciałem własnego ojca. A w związku z tym musieli tę swoją tęsknotę schować gdzieś głęboko, przykryć, wyciąć, oblać betonem. (…)

Pamiętasz ten moment, gdy po raz pierwszy, po długiej przerwie, przytuliłeś się do mężczyzny?

– Oczywiście, i to nie było łatwe. Dlatego, że wiesz, ja nie miałem wtedy jeszcze syna, z którym mógłbym powoli odtwarzać tego rodzaju bliskość. Nie miałem też przyjaciół, do których się przytulałem. (…) Pamiętam, że to się wydarzyło, gdy studiowałem już psychologię. Pracowaliśmy wtedy w parach i nagle ten mężczyzna, z którym byłem w parze, mówi: „Potrzebowałbym, żebyś mnie przytulił".

„Jasne".

I nagle czuję, że od szyi w dół jestem zbudowany z takich jakby stalowych płyt – moje ręce się robią sztywne, klata mi się spina. A on się zbliża, mnie obejmuje, przytula i ja niby też coś takiego robię, ale mam wrażenie, jakby pomiędzy nim a mną – chociaż czuję go na skórze – było trzy metry odległości. Tak byłem głęboko schowany za tym pancerzem własnego ciała. Dużo czasu minęło, nim moje ciało rozmiękło, pozwoliło na swobodny kontakt z innym męskim ciałem.

Ćwiczyłeś?

– Jasne. Właśnie w ten sposób, że zacząłem sobie z kumplami, na powitanie, strzelać „misia". I muszę ci powiedzieć, że niewielu jest facetów, którzy coś takiego robią. (…)

Nie masz wrażenia, że kobietom łatwiej nawiązać przyjaźń? Że one po prostu potrafią mieć przyjaciółki. A nawet przyjaciół.

– A to dlatego, że dziewczynki od momentu, jak się rodzą, do momentu, jak umierają, są w zasadzie permanentnie w otoczeniu kobiet. Przynajmniej ja, poza superekstremalnymi przypadkami, nie znam kobiety, która by była w swoim życiu pozbawiona środowiska kobiecego. Natomiast znam wielu mężczyzn, którzy są pozbawieni środowiska męskiego.

Ale my przecież cały czas na swojej drodze spotykamy innych mężczyzn. W pracy, na siłowni, w knajpie…

– Tak, tylko ja, mówiąc o kobietach, mam na myśli środowisko, w którym są relacje, a nie interakcje.

Mężczyzna, który wytnie się z relacji z kumplami, zaczyna gasnąć. Jakby odciął się od prądu.

Nie rozumiem.

– Relacja to jest coś, w czym możesz zaistnieć jako osoba, a nie jako rola. I takich właśnie relacji kobiety mają więcej. Brak umiejętności inicjowania relacji u facetów zaczyna się właśnie wtedy, kiedy zaczyna brakować ojca. Albo jakiegoś innego sensownego męskiego opiekuna.

No dobra, ale niektórzy z nas takie relacje jednak mają. A potem, jak już wchodzimy w relację z kobietą, to czasem się zdarza, że to ona zaczyna dążyć do tego, żeby nas z tych naszych kumpelskich relacji wyjąć.

– „Ty nic, tylko z tymi swoimi kumplami". Tak, masz racje, jest taka tendencja.

Dlaczego?

– Rozmawiałem z kobietami na ten temat i powiedziały mi, że tu przede wszystkim chodzi o zazdrość o faceta. Że on ma jakąś swoją męską aktywność, taki swój męski obszar, do którego one nie mają dostępu, przez co nie mogą go też kontrolować. Niestety wielu facetów pod wpływem nacisku ze strony kobiet rezygnuje z tej części siebie, a rezultat tego jest taki, że ich relacja mocno na tym traci.

Mężczyzna, który ulegnie kobiecie w ten sposób, że wytnie się z relacji z kumplami, to jest tak, jakby odciął się od prądu. Zaczyna gasnąć. A w związku z tym jego relacja z kobietą też traci zasilanie. Poza tym jeżeli mężczyzna zrezygnuje z tego, co do tej pory było dla niego ważne, wycofa się z przeróżnych swoich aktywności, przyjaźni, znajomości i skoncentruje się wyłącznie na partnerce, na pracy, na dzieciach, to za chwilę wszystkimi swoimi problemami, kłopotami, emocjami obciąży tę żonę, te dzieci. Wszystko przyniesie do domu. I tym wszystkim będzie musiała się zająć ona i dzieci.

A jak nie będzie chciała?

– Najczęściej tak właśnie jest, że nie chce. Ale nawet jakby chciała, to i tak nie da rady. Dlatego właśnie mamy wiele relacji z różnymi ludźmi, żeby ten ciężar jakoś się rozkładał.

I co się dzieje w takiej sytuacji?

– Zaczyna się frustracja, trudności, ocenianie, walka, wykluczenie. W ogóle cała masa różnych kiepskich rzeczy. Choć na początku to może wyglądać wręcz fantastycznie, bo przecież ona jest najważniejsza, a on się zmienił.

„Zobacz, zostawił tych swoich kumpli i teraz ze wszystkim przychodzi do mnie". Problem w tym, że ty za chwilę tego nie pomieścisz. Mało tego! Facet, który rezygnuje ze swojego środowiska albo ze świadomego budowania nowego środowiska, skazuje się na to, że będzie przegrywał właściwie w każdym konflikcie, w którym chodzi o relację. A to dlatego, że kobieta zawsze ma jakieś wsparcie w postaci koleżanek, przyjaciółek, ciotek itd. Natomiast mężczyzna najczęściej zostaje sam.

Weźmy taką sytuację: syn dzwoni do ojca. Ten odbiera telefon, mówi: „Daję ci matkę". I to jest właśnie przykład tego, że my jesteśmy pozbawieni takich relacji, które nam dają poczucie siły. Bo żeby mieć poczucie siły, trzeba mieć oparcie. I to nie tylko we własnych nogach, ale za tobą po prostu ktoś musi stać. (…)

Skróty i ilustracja pochodzą od redakcji

Fragmenty książki Tomasza Kwaśniewskiego i Jacka Masłowskiego, *Czasem czuły, czasem barbarzyńca*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2016

eprasa.pl 5fa83ab64c

MASAKROWANIE WE WŁAŚCIWYM KIERUNKU HISTORYCZNYM

Edward Mikołajczyk

W kalendarzu ojca Ubu, przyswojonym Polakom przez Jana Gondowicza jakieś 10 lat temu, na 1 stycznia przypada WYMÓŻDŻENIE, przy czym w najmniejszym stopniu może tu chodzić o skutki alkoholizowania się poprzedniej nocy.

Machina do Wymóżdżania to ulubiony gadżet Ubu, występuje nawet w spisie osób dramatu „Ubu Król". Wbrew zapowiedziom spisu, Machina nie jest kimś, można nawet powiedzieć, że jest nikim. Jaką przyjmuje postać, zależy od wyobraźni reżysera, który weźmie do ręki nieśmiertelny tekst Alfreda Jarry'ego, genialnego francuskiego smarkacza. Kto wie, czy nie od Machiny zaczyna się myślenie o każdym nowym królu Ubu w teatrze, bo wciąż przyciąga uwagę jej *know-how* i jej siła zdolna wynieść do władzy paranoję. W Polsce, czyli wszędzie, też.

Kalendarz, o czym zapomniałem na początku, jest na rok 1901!

Do przedstawienia własnej sztuki w roku 1898 w paryskim teatrze lalek, Jarry sam wymodelował tytułowego bohatera. Pisze Jan Gondowicz, że postać była „zaskakująco podobna do Włodzimierza Sokorskiego". Stało się tak, mimo że Sokorski urodzi się dopiero dziesięć później, i to w znacznej odległości od Paryża.

Uczepię się tego nazwiska, bo Włodzimierz Sokorski, człowiek wielu talentów, przeszedł już do historii jako herold doktryny realizmu socjalistycznego (w skrócie: nie dostaniesz stypendium, jak nie będziesz opiewać lub malować człowieka socjalistycznego trudu) w Polsce i pierwszy przewodniczący Komitetu do spraw Radia i Telewizji, mówiąc po ludzku: pierwszy prezes telewizji, radia zresztą też.

On pierwszy podniósł sztandar partyjny i rozpoczął bieg sztafety propagandowej w telewizji. Nauczył naród gromadzenia się o godz. 19.30 przed telewizorami, jak dawniej przed kołchoźnikami. Nauczył dziennikarzy podstaw nowomowy i tak zaczęło się odmóżdżanie. Telewizja, która dotąd nie wiedziała, w którą stronę się zakręcić – kina, teatru czy widowiska, znalazła się nagle i może na zawsze w ideologicznym kieracie.

Nudę partyjnej harówy prezes zabijał kompulsywnym zainteresowaniem potrzebami dziewcząt.

Oczywiście Sokorski wybrany został na stanowisko prezesa w procedurze konkursowej, podobnie jak jego następca Maciej Szczepański, tyle że przewodniczącym sądu konkursowego był już inny pierwszy sekretarz komitetu centralnego rządzącej partii. Szczepański przekształcił odziedziczony radiowęzeł w wielką i sprawną machinę, w czym trochę dopomógł mu przewrót technologiczny w rejestrowaniu obrazu. Dwa kwadranse sukcesów pokazywanych o godz. 19.30 w dzienniku telewizyjnym urosły pod jego ręką do pełnej godziny dobrobytu w „Wieczorze z Dziennikiem". Kopalnie zaczęły wydobywać więcej węgla na ekranie, dymiły wielkie piece, przez całą dobę walcowano blachy na zimno i na gorąco.

Serwis nieodmiennie zaczynał się od słów: „Pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej towarzysz…". Gospodarskie wizyty Edwarda Gierka, naznaczone jego troską, by Polska rosła w siłę, oraz entuzjazmem ludzi, którym żyje się dostatniej – taka była istota kontentu telewizyjnego za Szczepańskiego. On sam jako autor doktryny propagandy sukcesu charyzmatycznie odczytywał z oblicza wodza, sprawcy dobrej zmiany, wszelkie zamiary i znaki jego wizji silnej Polski. Naród poczuł, że sztandar partyjnej sztafety po tej zmianie znalazł się w mocniejszych rękach. To był już nie tylko sztandar, ale także pochodnia.

Jednostajną robotę w partyjnym kieracie ten prezes z nudów przepijał.

O Szczepańskim już za jego rządów w telewizji mówiono „krwawy Maciuś". Pierwszy, o ile pamiętam, wyleciał z radia redaktor F. Na zebraniu partyjnym podobno opowiedział dowcip, „Jaka jest różnica między Gierkiem a Gomułką? – Nie ma żadnej, tyle że Gierek jeszcze o tym nie wie". To z pewnością świństwo wyrzucać z roboty za takie coś, ale kto prezesowi zabroni.

Nie wiem, czy ktoś detalicznie policzył „krwawy" dorobek Macieja S., ale nie sądzę, by liczba ofiar jego długich rządów przekroczyła 50 osób. Jest, lekko licząc, trzy do czterech razy mniejsza od ciągle otwartej listy ofiar najnowszego, urzędującego od roku prezesa. Jest, nie przymierzając, między oboma panami tak, jak było między trochę ważniejszymi w historii paniami – Marią Tudor, która zarobiła na przydomek krwawej Mary, a jej następczynią Elżbietą, która ścięła trzy razy więcej głów niż Maria, a nikt nie nazywa jej choćby okrutnicą. Taka jest korzyść masakrowania we właściwym kierunku historycznym – piszę za Józefem Henem, a on cytuje francuskiego historyka.

Prezes Jacek Kurski jest, oczywiście, z tego samego konkursu, co Szczepański i Sokorski, najbardziej dotąd zasłużeni chorążowie sztandarów partyjnych w Telewizji Polskiej. Jak jego poprzednicy zaczyna narodowe wymóżdżanie o godz. 19.30.

Jeszcze nie przechodzi do historii, nie wiadomo więc, czy jego manipulacje propagandowe będą też okraszone jakimiś ludzkimi słabostkami, którymi jego wielcy poprzednicy i stróże linii partyjnej urozmaicali sobie partyjną mękę. W telewizji już nie opowiada się dowcipów. ■

RYS. MAŁGORZATA TABAKA

eprasa.pl 5fa83ab64c

PRZEDWCZESNA PRÓBA KOMPROMISU

Zanim doszło do Okrągłego Stołu, zbierała się Rada Konsultacyjna

Krzysztof Wasilewski

„Rozumiem, że nie można rozmawiać z Wałęsą, ale są przecież inni ludzie, bardzo różni i podzieleni. Brak rozmów i zbyt globalny stosunek do Solidarności ułatwia działanie skrajnej opozycji, bo wszyscy traktowani są tak samo", przekonywał kard. Józef Glemp członka Biura Politycznego KC PZPR Hieronima Kubiaka na spotkaniu w maju 1986 r. Był to wyraźny sygnał, że Kościół jest gotowy prowadzić „podwójną grę", tzn. pozostając pozornie zdystansowany wobec bieżącej polityki, aktywnie uczestniczyć w rozmowach z władzą.

W tym oświadczeniu prymasa Glempa i stanowisku gen. Wojciecha Jaruzelskiego oraz jego najbliższych współpracowników należy upatrywać powstania Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa, która po raz pierwszy zebrała się 30 lat temu, 6 grudnia 1986 r. Rozmowy prowadzące do jej powołania oraz sama jej działalność stały się wstępem do porozumienia przy Okrągłym Stole.

NIEMOŻLIWY POWRÓT

Ekipa przewodniczącego Rady Państwa Wojciecha Jaruzelskiego była świadoma, że powrót do sytuacji sprzed 13 grudnia 1981 r. był niemożliwy. Stosunek przywódców rozbitej Solidarności do władzy doskonale wyraził Adam Michnik, który na propozycję wyjazdu za granicę odpisał gen. Czesławowi Kiszczakowi: „Nie znam przyszłości i wcale nie wiem, czy dane mi będzie dożyć zwycięstwa prawdy nad kłamstwem, a Solidarności nad obecną antydemokratyczną dyktaturą. (…) Bo was niepokoi sam fakt istnienia ludzi, którym myśl o Polsce nie kojarzy się z ministerialnym stołkiem, a z więzienną celą; ludzi, którzy przedkładają święta w areszcie śledczym nad ferie na Lazurowym Wybrzeżu".

Słynny list, szybko upubliczniony m.in. przez Radio Wolna Europa, jeszcze bardziej usztywnił partyjnych konserwatystów.

Szczęśliwie dla reformatów z obozu Jaruzelskiego – Kazimierza Barcikowskiego, Mieczysława Rakowskiego, Stanisław Cioska, Czesława Kiszczaka i innych – bardziej skory do dialogu okazał się Kościół katolicki. Podczas rozmowy z abp. Bronisławem Dąbrowskim i ks. Alojzym Orszulikiem, zorganizowanej 19 października 1983 r. w siedzibie Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, gen. Kiszczak przekonywał: „Jesteśmy gotowi rozmawiać z Kościołem. Macie przecież także rozsądnych ludzi, takich jak Siła-Nowicki, Olszewski, Wielowieyski, Chrzanowski, gdyby ci chcieli się zaangażować". Zdając sobie sprawę, że po obu stronach znajdowali się przeciwnicy wszelkich rozmów, Kiszczak dodawał: „Proszę, by sprawa pozostała między nami, bo inaczej spotkamy się z kontrakcjami. Musi być zachowana pełna poufność".

Dwustronne rozmowy przeważnie odbywały się poza protokołem. Jak wspominał Stanisław Ciosek, którego do spotkań z hierarchami delegował gen. Jaruzelski: „Dyskutowaliśmy o sprawach kraju, o niedostatkach systemu, o możliwościach zmian. Nie musiałem do tych rozmów mieć żadnego szczególnego upoważnienia czy mandatu, bowiem nie wywoływały one jakichkolwiek skutków politycznych. (…) Wiedziałem, o co chodzi Jaruzelskiemu, więc w ramach bardzo ogólnych uprawnień i własnych przekonań bez skrępowania poruszałem się w obrębie różnych zagadnień".

Mimo dalszych spotkań rozmowy przedstawicieli obozu władzy i Kościoła tkwiły w martwym punkcie. Ci pierwsi nie byli w stanie pójść na dalekie ustępstwa, co argumentowali naciskami wewnątrzpartyjnymi i zewnętrznymi – z ZSRR. Z kolei hierarchia kościelna niechętnie angażowała się

Wydanie specjalne

RADA NARODOWA

21.3.1987

Cena 100 zł

Inauguracyjne posiedzenie RADY KONSULTACYJNEJ przy Przewodniczącym Rady Państwa

6 grudnia 1986 roku odbyło się w Belwederze spotkanie poświęcone utworzeniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa. Uczestniczyły w nim osoby imiennie zaproszone przez Wojciecha Jaruzelskiego.

W całodziennej dyskusji uczestnicy spotkania poparli inicjatywę Przewodniczącego Rady Państwa powołania Rady Konsultacyjnej. Dyskusja miała charakter otwartej nieskrępowanej wymiany poglądów na temat najważniejszych spraw narodu i państwa. Wypowiedziała się w niej większość uczestników spotkania. Omówiono tryb i zasady działania Rady, jej charakter i zakres problemów, którymi powinna zająć się w bliższej i dalszej perspektywie.

Uwzględniając wyniki dyskusji Przewodniczący Rady Państwa powołał Radę Konsultacyjną, w której [illegible] na spotkanie osoby.

epras

Michaił Gorbaczow był gościem honorowym X Zjazdu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej zorganizowanego na przełomie czerwca i lipca 1986 r.

w pertraktacje z pominięciem przedstawicieli rozwiązanej Solidarności. Z jednej strony Kościół zabezpieczał się w ten sposób przed oskarżeniem o „kolaborację z PZPR", z drugiej bał się wziąć sam odpowiedzialność za ewentualny kompromis.

SYGNAŁY Z MOSKWY

Sytuacja uległa zmianie w 1985 r. W marcu zmarł Konstantin Czernienko, sekretarz generalny KC KPZR, którego na tym stanowisku zastąpił młodszy i mniej dogmatyczny Michaił Gorbaczow. Jesienią w Polsce odbyły się wybory do Sejmu. Dla władzy stały się pretekstem do przemeblowania rządu. Wojciech Jaruzelski zrezygnował z funkcji premiera, a na jego miejsce powołano katowickiego ekonomistę prof. Zbigniewa Messnera. Niebudzący kontrowersji Messner dawał władzy czas na odbudowanie sił. Wcześniej, bo w 1984 r., powołano Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych, którego szeregi szybko rozrosły się do niemal 5 mln członków. Z kolei w podziemnych strukturach wywodzących się z Solidarności działało nie więcej niż 24 tys. aktywistów i sympatyków, w większości w dużych miastach.

W tej sytuacji w 1985 r. ukazał się tekst Adama Michnika „Takie czasy… Rzecz o kompromisie". Wydany w Londynie, szybko stał się dostępny także w kraju, a co najważniejsze – dotarł także do Biura Politycznego PZPR. Zapewne do tego grona Michnik kierował słowa: „Dlatego też nie wyrzekając się działań na rzecz budowy podmiotowego i pluralistycznego społeczeństwa – nie odrzucamy żadnych rozwiązań i dróg pośrednich. Byle tylko były to autentyczne drogi wiodące do autentycznych porozumień". Również inne środowiska, również emigracyjne, wystosowywały w tym czasie mniej lub bardziej otwarte propozycje współpracy z władzą.

O możliwościach podjęcia dialogu z opozycją dyskutowano w kuluarach zorganizowanego na przełomie czerwca i lipca 1986 r. X Zjazdu PZPR. Gościem honorowym był Michaił Gorbaczow, który – jak zanotował Kazimierz Barcikowski – „w sposób wręcz demonstracyjny podkreślał przyjazny stosunek do Polski oraz do Wojciecha Jaruzelskiego i jego linii politycznej". Wybrane Biuro Polityczne składało się z przedstawicieli różnych opcji, choć zabrakło w nim zarówno największych dogmatyków, jak Albin Siwak, jak i liberałów pokroju Hieronima Kubiaka.

Rada Konsultacyjna przy Przewodniczącym Rady Państwa po raz pierwszy zebrała się 30 lat temu, 6 grudnia 1986 r.

Decydując się na ożywienie dialogu z opozycyją, ekipa Jaruzelskiego wychodziła przed szereg państw socjalistycznych. Podczas narady Biura Politycznego KC KPZR Gorbaczow wprost stwierdził, że nie zamierza rezygnować z interesów strategicznych ZSRR, gdyż „jeśli nie utrzymamy Polski, to nie możemy też utrzymać NRD". Sam Jaruzelski czuł się więc w obowiązku konsultować najważniejsze decyzje z Kremlem, unikając tym samym groźby zaostrzenia dwustronnych relacji.

Za wiedzą Gorbaczowa władza odpowiedziała na pojawiające się wśród opozycjonistów hasła kompromisu, ogłaszając 17 lipca 1986 r. amnestię. Zastosowano ją wobec 115 osób

W skład Rady weszło 56 osób. Wśród nich m.in.: Władysław Baka, Stanisław Kwiatkowski, Zdzisław Sadowski, Julian Auleytner, Andrzej Święcicki, Krzysztof Skubiszewski, Władysław Siła-Nowicki, Janusz Zabłocki, Kazimierz Dejmek, Aleksander Gieysztor, Gerard Labuda, Wiesław Myśliwski, Jan Szczepański i Jerzy Trela.

eprasa.pl 5fa83ab64c

– 74 tymczasowo aresztowanych i 41 skazanych. Wobec dalszych ponad 100 osób umorzono postępowania.

Także opozycja podjęła pewne koncyliacyjne kroki. Pod koniec września 1986 r. utworzono Tymczasową Radę NSZZ Solidarność, którą Bronisław Geremek definiował jako „zespół mający możliwość podejmowania działań negocjacyjnych". Z kolei 10 października Wałęsa oraz jego współpracownicy zaapelowali do władz USA o zniesienie sankcji ekonomicznych wobec PRL, co było sygnałem, że opozycja również dąży do porozumienia z władzami.

ROZMOWY W KULUARACH

Równocześnie trwały rozmowy na temat powołania Społecznej Rady Konsultacyjnej. Po raz pierwszy o utworzeniu takiego ciała dyskutowano w kuluarach X Zjazdu PZPR, choć była to wówczas jedynie luźna koncepcja. Jej powodzenie zależało przede wszystkim od hierarchii kościelnej, którą władza uznała za najważniejszego partnera. Po rozmowach z gen. Kiszczakiem abp Dąbrowski zorganizował 10 października 1986 r. spotkanie ze świeckimi katolikami. Wśród zaproszonych znaleźli się przedstawiciele różnych nurtów i postaw, m.in. Andrzej Święcicki, Krzysztof Skubiszewski, Andrzej Wielowieyski, Jerzy Turowicz, Krzysztof Kozłowski, Janusz Zabłocki i Julian Auleytner.

Trwająca ponad pięć godzin dyskusja uwidoczniła podziały wewnątrz środowiska świeckich katolików. Początkowo przeważały głosy wątpiące w powodzenie tego typu inicjatywy. „Grupa bankrutów polityczno-gospodarczych próbuje się ratować podpórką w postaci Rady i Rada może razem z tą grupą utonąć. Taka Rada nic nie doradzi, bo nikt nie słucha żadnych rad, funkcja społeczna wątpliwa, a ryzyko ogromne", stwierdził Kozłowski.

Zarazem jednak krakowski intelektualista dodawał: „Utworzenie dobrej Rady mogłoby być elementem powstrzymującym od rzeczywistej katastrofy. Rada będzie potrzebna w świetle czarnych perspektyw tu zarysowanych. Jeden jest niezbędny warunek, aby ta Rada zaistniała jako swobodny i niezależny czynnik społeczny".

Pozostali uczestnicy spotkania byli mniej stanowczy w swoich opiniach. Wielowieyski stwierdził wręcz, że „od pierwszego spotkania ze stroną rządową widać było chęć pewnych rozmów z przedstawicielami niezależnej opinii społecznej, niezależnych środowisk". Natomiast zdaniem Skubiszewskiego „partycypacja nasza w Radzie jest konieczna, aby mieć możność pewnego oddziaływania. Jakie to może być oddziaływanie, jest obecnie pewną niewiadomą". Ostatecznie zdecydowano, że Episkopat nie będzie nikogo oficjalnie zgłaszał, lecz jedynie wskaże, do jakich osób ma zaufanie.

Jeszcze 18 października 1986 r. Kazimierz Barcikowski i Stanisław Ciosek spotkali się z Andrzejem Święcickim, Jerzym Turowiczem i Andrzejem Wielowieyskim. Rozmowa przebiegała bez udziału hierarchów kościelnych. Jednym z dyskutowanych punktów był udział w Radzie Lecha Wałęsy. Po raz pierwszy pomysł ten podsunęli gen. Jaruzelskiemu jego doradcy, sugerując, że pozwoli to kontrolować przywódcę Solidarności, zwłaszcza w perspektywie planowanej na 1987 r. pielgrzymki Jana Pawła II do Polski. Jednak po październikowym spotkaniu ostatecznie zrezygnowano z tego zamiaru.

PIERWSZE POSIEDZENIE

Sprawa Rady Konsultacyjnej zaistniała także 28 listopada 1986 r. na posiedzeniu Komisji Wspólnej przedstawicieli rządu i Konferencji Episkopatu Polski. Reprezentujący stronę rządową Kazimierz Barcikowski stwierdził, że „dawno już nie mieliśmy takiej zgodności w sprawach trudnych". Jak jednak zaznacza prof. Garlicki, „z uczestników dyskusji u abp. Dąbrowskiego znaleźli się w Radzie jedynie Andrzej Święcicki i Krzysztof Skubiszewski". Nie zważając na mniejszy od oczekiwanego udział katolików świeckich w nowej instytucji, podczas posiedzenia Rady Krajowej PRON zwołanego 5 grudnia 1986 r., gen. Jaruzelski poinformował zgromadzonych o powołaniu Rady Konsultacyjnej przy Przewodniczącym Rady Państwa.

Pierwsze posiedzenie Rady zwołano już następnego dnia, 6 grudnia 1986 r. W inauguracyjnym przemówieniu gen. Jaruzelski zapewniał: „Zależy mi na tym, aby wszyscy tu obecni mieli pełną jasność, że nie dążymy do budowania ozdobnej fasady, nie chcemy hodować rośliny tylko po to, aby dostarczała listków figowych. Rada będzie taką, jaką sama będzie chciała być".

W skład Rady weszło 56 osób, oficjalnie reprezentujących różne nurty w polskim społeczeństwie. Stronę partyjno-rządową tworzyli bliscy współpracownicy gen. Jaruzelskiego, zazwyczaj utożsamiający się z liberalnym (gospodarczo i politycznie) skrzydłem PZPR. Wśród nich m.in. Władysław Baka, Stanisław Kwiatkowski i Zdzisław Sadowski. Katolików świeckich reprezentowali zaś Julian Auleytner, Andrzej Święcicki, Krzysztof Skubiszewski, Władysław Siła-Nowicki oraz Janusz Zabłocki. W Radzie znalazło się

Solidarność w 1986 r. nie była skłonna do dialogu z władzą, bardziej koncyliacyjny był Kościół katolicki.

Decydując się na ożywienie dialogu z opozycją, ekipa Jaruzelskiego wychodziła przed szereg państw socjalistycznych.

eprasa.pl 5fa83ab64c

ponadto wielu wybitnych przedstawicieli świata nauki i kultury: Kazimierz Dejmek, Aleksander Gieysztor, Gerard Labuda, Wiesław Myśliwski, Jan Szczepański i Jerzy Trela.

Wśród katolików świeckich zabrakło osób związanych z „Tygodnikiem Powszechnym" czy „Więzią". Turowicz, Wielowieyski i cytowany wcześniej Kozłowski zrezygnowali z udziału w Radzie, chociaż mieli „zaufanie" Episkopatu. Inaczej zachował się Krzysztof Skubiszewski. Co prawda profesor nie posiadał zaplecza porównywalnego ze środowiskiem krakowskim, jednak przez cztery lata działał w Prymasowskiej Radzie Społecznej i wciąż pozostawał jednym z najbliższych współpracowników kościelnych hierarchów. Z kolei Janusz Zabłocki był wieloletnim posłem na Sejm PRL z ramienia Znaku oraz prezesem Polskiego Związku Katolicko-Społecznego. Bogatą biografię miał także mecenas Władysław Siła-Nowicki, żołnierz września 1939 r., członek AK i Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość", współpracownik KOR. Andrzeja Święcickiego udział w Radzie kosztował utratę prezesury w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej.

DIALOG I USTĘPSTWA

Przedstawicieli środowisk katolickich w Radzie łączyły dobre i bliskie kontakty z hierarchami kościelnymi oraz pewien dystans do Solidarności. Od dawna także głosili potrzebę dialogu z władzą, nawet za cenę ustępstw. Władysław Siła-Nowicki był jednym z sygnatariuszy listu otwartego z 4 sierpnia 1982 r., skierowanego do gen. Jaruzelskiego, Lecha Wałęsy oraz prymasa Józefa Glempa z apelem o wspólne poszukiwanie wyjścia z kryzysu.

Posiedzenia Rady zwoływano co kilka miesięcy, aż do lipca 1989 r. Warto dodać, że każde posiedzenie trwało do późnych godzin wieczornych, a we wszystkich uczestniczył gen. Jaruzelski. To dowód na jego determinację w doprowadzeniu do porozumienia między władzą a opozycją – lub przynajmniej jej częścią. Jak podaje prof. Garlicki, „stenogramy publikowane były bez żadnych ingerencji cenzury w czasopiśmie »Rada Narodowa«, w nakładzie 30 tys. egz., z czego rozchodziło się ok. 21 tys. egz. Jeszcze kilka lat wcześniej byłoby to wielkie wydarzenie polityczne".

Chociaż Rada Konsultacyjna nie doprowadziła do przełomu w rozmowach między władzą a opozycją, była niewątpliwie istotnym krokiem ku porozumieniu narodowemu. Zdaniem prof. Antoniego Dudka „już w 1986 r. brano pod uwagę możliwość odbudowy koncesjonowanej opozycji w oparciu o środowiska katolików świeckich oraz wykorzystanie hierarchii kościelnej jako gwaranta »niekonfrontacyjności« tego procesu". Jednakże ani strona partyjno-rządowa, ani kościelno-opozycyjna nie były wówczas na takie rozwiązanie gotowe.

Obie strony traktowały Radę Konsultacyjną przy Przewodniczącym Rady Państwa jako swoiste laboratorium, w którym badano granice kompromisu. Teza, że bez Rady nie byłoby Okrągłego Stołu, jest być może zbyt daleko idąca, jednak zapoczątkowała ona demontaż muru między władzą a opozycją, postawionego 13 grudnia 1981 r., a zburzonego w 1989 r.

Chociaż środowisko katolickie reprezentowane podczas rozmów w 1989 r. było już zupełnie inne niż trzy lata wcześniej, nie sposób nie docenić wysiłków Skubiszewskiego, Święcickiego, Zabłockiego czy Siły-Nowickiego. Ten ostatni jako jedyny z wymienionych zasiadł trzy lata później przy Okrągłym Stole, choć jako reprezentant strony koalicyjno-rządowej. Na jego udział z ramienia opozycji nie chciała zgodzić się Solidarność. Udział w Radzie Konsultacyjnej wymagał odwagi cywilnej, podczas gdy udział w obradach Okrągłego Stołu był przepustką do dalszej kariery.

Stenogramy z posiedzeń Rady publikowane były bez ingerencji cenzury w czasopiśmie „Rada Narodowa", w nakładzie 30 tys. egzemplarzy.

Krzysztof Wasilewski

Bibliografia:

Dudek A., *Reglamentowana rewolucja*, Kraków 2004.

Garlicki A., *Karuzela*, Warszawa 2003.

Raina P., *Rozmowy z władzami PRL. Arcybiskup Dąbrowski*, Warszawa 1995.

Generał Wojciech Jaruzelski w rozmowie z Janem Osieckim, Warszawa 2014.

Polecamy Historia bez IPN

Gdyby nie Październik '56, stalinizm trwałby o wiele dłużej, Gomułka byłby nadal izolowany, a prymas Wyszyński internowany. „Przełom Października '56" to historia zrywania Polski ze stalinizmem oraz stenogram dramatycznych rozmów, które w Belwederze prowadzili Gomułka z Chruszczowem.

KSIĄŻKĘ MOŻNA KUPIĆ:

- wpłacając 47 zł na konto wydawcy PRZEGLĄDU:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7, oraz podając dokładny adres (z numerem kodu), pod który ma trafić przesyłka polecona
- przez sklep internetowy: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Więcej informacji: tel.: (22) 635 84 10 wew. 120, e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

FOT. WOJTEK ŁASKI/EAST NEWS, WIKIPEDIA, LECH ZIELASKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 5fa83ab64c

Bronisław Tumiłowicz

CZAS TO PIENIĄDZ ROM

NOWY REKORD NA POLSKIM RYNKU SZTUKI

Roman Opałka w łódzkim Atlasie Sztuki, 2003 r.

2,3 mln zł – to rekord ceny sprzedaży dzieła sztuki współczesnej w Polsce. Padł 15 grudnia w domu aukcyjnym DESA Unicum, gdy sprzedawano „Detal 3065461-3083581" Romana Opałki.

Wiadomość ta nie zawiera opisu sprzedanego dzieła ani próby oceny jego wartości artystycznej, nie mówi nam nic o życiu artysty ani jego koncepcjach twórczych. Nie wiadomo też, że chodzi o obraz malowany na płótnie. Naszą wyobraźnię ma kształtować fakt, że ktoś wydał ponad pół miliona euro na jedną rzecz.

ROMAN W DRODZE DO ROMY

A fakt, że padł rekord sprzedaży dzieła tego współczesnego artysty, dla znawców sztuki nie powinien być zaskoczeniem. Zanosiło się na to od prawie pół wieku. Co więcej, jest prawie pewne, że niebawem padną kolejne rekordy, bo dzieła sztuki współczesnej w Polsce, a tym bardziej prace Opałki, są niedoszacowane. W ekspresowym tempie przybywa też kolekcjonerów, którzy będą konkurować, podbijając kolejne ceny. Eksperci oszacowali, że liczba rodzimych kolekcjonerów zwiększa się co roku o 20%.

Kim był Roman Opałka? Był, bo odszedł od nas już pięć lat temu. Jego biografia nie jest typowa. Urodził się 27 sierpnia 1931 r. w Abeville we Francji, a zmarł 6 sierpnia 2011 r. w Rzymie, kilka dni przed 80. urodzinami. Jednak sporą część życia spędził w Polsce i tu zdobył wykształcenie. Jego rodzina w 1935 r. wróciła do Polski. Po wkroczeniu hitlerowców zostali deportowani do Niemiec, skąd po zakończeniu wojny przenieśli się do Francji. W 1946 r. wrócili po raz kolejny do Polski. Roman Opałka już jako dojrzały artysta wyjechał z kraju w roku 1977 i zamieszkał we Francji, ale ojczyznę odwiedzał dosyć często. Już wtedy był najdroższym polskim artystą.

MALARZ Z URODZENIA

Zawód artysty był jego pierwszym wyborem. Po przyjeździe do Polski w 1946 r. 15-letni Roman kształcił się w dziedzinie litografii i grafiki w Wałbrzychu. Studia wyższe odbywał w latach 1949-1950 w łódzkiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych u Władysława Strzemińskiego, a następnie w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Aż do roku 1958 rysował i malował realistycznie. Później zajęło go malarstwo materii, w czym też nie był specjalnie oryginalny. Wówczas jednak z dużym wyczuciem tworzył monochromatyczne kompozycje, których pobrużdżona faktura zachwycała wyrazistością. W tym samym czasie powstawały abstrakcyjne rysunki mające charakter studiów kolorystycznych. Wówczas Opałka zaczął eksperymentować z kolorem i badać rozbielane barwy. Owo rozbielanie doprowadzone do perfekcji stało się jedną z jego głównych metod malarskich.

Karierę międzynarodową zaczął robić Opałka jeszcze w latach 60. Zdobywał nagrody na wielu konkursach. Bardzo wysoko oceniano jego prace graficzne z cyklu „Opisanie świata" (Grand Prix na 7. Międzynarodowym Biennale Grafiki w Bradford za otwierający serię kwasoryt „Adam i Ewa", 1968; Grand Prix na 3. Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie, 1969).

Przełom w jego twórczości nastąpił w 1972 r. Artysta miał wówczas 41 lat. Podczas wystawy w londyńskiej William Weston Gallery zerwał z dotychczasową twórczością, jakby unieważnił dotychczasowy dorobek. Ciekawe

eprasa.pl 5fa83ab64c

ANA OPAŁKI

Na początku nikt nie rozumiał tego, co robię. Nawet żona uważała, że zwariowałem.

i wysoko cenione grafiki demonstracyjnie rozłożył na podłodze, a na ścianie zawiesił – jako jedyne ważne dla niego dzieło – jeden z „Obrazów liczonych". Ten gest rozpoczął jego dalszą drogę trwającą do końca życia.

Jeszcze w latach 60. Opałka doskonalił nie tylko stronę techniczną malowania, ale pracował także nad swoją ogólną koncepcją artystyczną i życiową. Świadectwem tego jest stwierdzenie, że utożsamia sztukę z życiem. W roku 1965 zaczął żyć i tworzyć zgodnie z zasadą harmonii i systematyczności. Żelazna reguła i pedanteria zdominowały wszystko, co robił. Przybrały postać „idei progresywnego liczenia".

Od chwili gruntownej zmiany stylu artysta, który zaczynał od malowania martwych natur, pejzaży, portretów, aktów, a później abstrakcji, postanowił zamanifestować stosunek do dotychczasowego dorobku. Ten czas wspominał niechętnie. Z tego okresu zachowało się zresztą niewiele jego prac, część Opałka zresztą sam zniszczył w 1986 r., kiedy nie pozwolono mu wywieźć ich za granicę.

Dlaczego Roman Opałka zaczął liczyć kolejne chwile życia? Być może przejął go proces starzenia się ciała, wizerunku, głosu, wzroku?

W TYM KONKURSIE NIKT NIE WYGRYWA

Romana Opałkę wstawiono do szufladki nazywanej konceptualizmem. On bowiem precyzyjnie wykoncypował od początku do końca kierunek swojej twórczości. Zgodnie z wymyśloną zasadą od 1965 r. malował białą farbą szeregi liczb. Początkowo używał czarnego płótna, zmienił je następnie na szare i od 1972 r. stopniowo rozjaśniał tło. Aby owo rozjaśnianie nie było zbyt gwałtowne, ale idealnie równomierne, a zarazem maksymalnie powolne, zastosował nowoczesne komputerowe techniki obliczeniowe. Hipotetycznie ustalił więc czas pozostały do końca życia i kazał komputerowo policzyć, jaką porcję białego barwnika ma dodawać do szarego podłoża na każdym kolejnym etapie, aby przy końcu życia malować już tylko białe cyfry na białym tle. Pomysł z lekka szalony zaczął przynosić wymierne skutki, także finansowe. W ten sposób bowiem udało się sprzedać wszystkie obrazy, także te, które jeszcze nie powstały.

Oryginalna koncepcja malowania upływu własnego życia spodobała się kolekcjonerom sztuki i muzeom na całym świecie, zwłaszcza że artysta dorobił do tego rozbudowaną ideologię i zaczął gromadzić „dokumentację" starzenia się. Nie poprzestał wyłącznie na malowaniu obrazów liczonych. Po kilku latach od rozpoczęcia monumentalnego cyklu „ Opałka 1965. Od jednego do nieskończoności" dołączył do prac ścieżkę dźwiękową – czytane przez siebie kolejno malowane liczby. Wreszcie wzbogacił prace własnymi fotografiami, które pokazują zmienność i proces starzenia się.

Odbiorcy sztuki pragnęli się dowiedzieć więcej. Opałka cierpliwie tłumaczył, skąd się wzięła koncepcja, której jest wierny przez tyle lat. Twierdził, że traktuje kolejne obrazy liczone jak konkurs, w którym współzawodniczy sam ze sobą. – To jest konkurs bardzo trudny, którego się nie wygrywa, on jest ciągle przegrany – mówił.

KAŻDY „DETAL" TO MAJĄTEK

Determinacja, z jaką Opałka trwał przy swojej idei, spotkała się i z podziwem, i z negacją. Dość przypomnieć skrajne opinie krytyków krajowych. Bożena Kowalska uważała Opałkę za niezwykłą osobowość, natomiast Andrzej Osęka pisał przed laty, że od obrazów artysty bardziej interesująca jest również pełna liczb książka telefoniczna. Trudno rozstrzygnąć, kto miał rację, z pewnością jednak świadectwo zmieniającego się wizerunku i głosu zostało podniesione do rangi uniwersalnego *memento mori*. Tak prosty komunikat – pamiętaj o śmierci – zapewnił artyście międzynarodowy sukces.

Pierwszy obraz namalowany w ramach tego projektu, nazwany przez twórcę „Detalem", znajduje się w Muzeum Sztuki w Łodzi. To czarne płótno o wymiarach 193 na 135 cm pokryte białymi liczbami od 1 do 35327 namalowanymi cienkim pędzelkiem, zapisanymi kolejno w ciasnych poziomych rzędach. Następne obrazy – kolejne „detale" – są kontynuacją pierwszego.

– Moja idea jest prosta jak życie, rozwija się od narodzin do śmierci – tak Opałka mówił o swoim projekcie. – To zadanie na całe życie, bo ostatnia liczba, którą kiedyś namaluję, będzie oznaczać kres mojego istnienia. Próbuję namalować coś, co nie było jeszcze namalowane. Namalować czas trwania jednej egzystencji – tłumaczył. Porównywał też swój projekt do zakładu Fausta z diabłem, zaznaczając, że nie chodzi jednak o wieczną młodość, lecz „o dzieło naprawdę skończone".

Opałka zdecydował, że poświęci się tylko projektowi zapisywania czasu. W 1970 r. zaczął nagrywać na magnetofonie liczby wymawiane przy malowaniu (później taśmy zastąpiły płyty CD). W 1972 r. począł rozbielać tła obrazów, tak że każdy następny był dokładnie o 1% jaśniejszy od poprzedniego. – Dążę do bieli mentalnej – zaznaczał. W efekcie po ok. 35 latach rozjaśniania obrazów zaczął umieszczać białe liczby na białym tle. Natomiast na zdjęciach ubrany był zawsze tak samo w białą koszulę, miał ten sam obojętny wyraz twarzy i był tak samo uczesany.

eprasa.pl 5fa83ab64c

Malarz spotkał się nawet z przejawami agresji, na wystawie w Budapeszcie ktoś napluł na jego obraz. – Na początku nikt nie rozumiał tego, co robię – tłumaczył. – Nawet żona uważała, że zwariowałem.

Bronił jednak projektu. – Ja nigdy się nie powtarzam – konkludował. – Najważniejsze w tej historii jest pojęcie czasu jednostkowego życia. Nie tylko mojego. Każdy artysta jest sakralną wartością, całym uniwersum. Liczby, cyferki, „książka telefoniczna" także, ukazują to najlepiej. Nie ja wymyśliłem ten porządek, progresję liczb. Ja tylko zrozumiałem, że tą logiką można zbudować to, co my nazywamy czasem nieodwracalnym. Bo my w nim żyjemy, w fatum jednego istnienia – powiedział w jednym z wywiadów.

CENY, CENY...

Ku zdziwieniu niektórych krytyków prace Opałki znalazły się w najbardziej prestiżowych kolekcjach m.in. Muzeum of Modern Art i Guggenheim Museum w Nowym Jorku oraz w Centre Georges'a Pompidou w Paryżu. Gdy w 1995 r. Opałka pokazywał prace w polskim pawilonie na biennale w Wenecji, przed wejściem gromadziły się tłumy. Choć sam artysta wolał, by widzowie oglądali obrazy w samotności, tak mogli powtórzyć swoistą medytację, która towarzyszyła zapisywaniu liczb. Na weneckim biennale Opałkę prezentowano zresztą aż siedem razy – to również swoisty rekord. A w Polsce, gdy stało się jasne, że za granicą mieszka tak wysoko ceniony polski artysta, posypały się wyróżnienia. Odznaczono go Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis (2009) oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski (2011).

Malował tylko do pięciu obrazów rocznie, posuwając się w nich za każdym razem o kilka tysięcy liczb. Łatwo policzyć, że każdego dnia musiał namalować ok. 50 kolejnych liczb. Poza domem, by nie przerywać pracy, malował „kartki z podróży" – rzędy liczb tuszem na brystolu.

Śmierć dopadła artystę we Włoszech, być może wcześniej, niż się spodziewał. Jego przyjaciel Sławomir Boss zdradził, że 27 sierpnia miało się odbyć w Wenecji przyjęcie z okazji 80. urodzin Opałki.

Cena, którą osiągnęła praca Romana Opałki w 2016 r. w warszawskiej Galerii DESA Unicum, wcale nie jest najwyższa. Sześć lat wcześniej nieznany nabywca kupił na aukcji w londyńskim Sotheby's trzy „Detale", płacąc za nie aż 713 250 funtów, czyli prawie 3,3 mln zł. Czas zakrzepły na płótnach Opałki, a właściwie świadectwo jego wytrwałości i skrupulatności, sprawia, że nie można stosować do tych prac zwykłych kryteriów piękna. Z pewnością szeregi cyfr napisane na płótnie starannym charakterem dowodzą manualnej sprawności i opanowania techniki malarskiej. Tylko tyle i aż tyle.

Może zabrzmi to okrutnie, ale w kolekcji „detali", ten ostatni, niedokończony jest najdroższy. Nie wiemy, jak wygląda, jest w rękach prywatnego kolekcjonera, który kupił go jeszcze za życia artysty. Do niedawna mieliśmy nadzieję, że obraz przedostatni, w pełni dokończony, będzie własnością Muzeum Sztuki w Łodzi.

Próbuję namalować coś, co nie było jeszcze namalowane – czas trwania jednej egzystencji.

POWRÓT DO ŁODZI

W 2000 r. artysta odebrał doktorat honoris causa łódzkiej Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego. Osoba Opałki wiąże się także z działalnością łódzkiej galerii Atlas Sztuki, jednej z najważniejszych prywatnych galerii w Polsce. 10 października 2003 r. wystawa prac artysty zainaugurowała działalność Atlasa Sztuki. Obrazy wystawione były w oktogonie, specjalnie zaprojektowanym ośmiokątnym pomieszczeniu. Prezes galerii Jacek Michalak miał okazję kilkakrotnie spotkać się z artystą i współpracować z nim przy realizowaniu instalacji.

Łódź skorzystała z doświadczenia Romana Opałki także w 2008 r., gdy artysta był honorowym przewodniczącym sądu konkursowego, który wybrał projekt budynku Specjalnej Strefy Sztuki. Artysta zawarł też umowę z łódzkim Muzeum Sztuki, zapewniającą placówce przedostatni ukończony obraz liczony. W budynku ms^2 – filii muzeum, znajduje się osobna przestrzeń poświęcona twórczości Opałki. Własnością muzeum jest pierwszy obraz z całego cyklu czyli „1965/1-?, Detal-1-35327" oraz „1965/1-?, Detal 539716-563934". Zgodnie z obietnicą artysty miał dołączyć do nich przedostatni obraz, przedstawiający liczby powyżej pięciu milionów sześciuset tysięcy – do takich wielkości przyznał się Roman Opałka w ostatnim wywiadzie dla polskich mediów. Stało się inaczej. Do Łodzi ten obraz nie trafi, bo na skutek niedokładności w umowie z Muzeum Sztuki stał się własnością tego samego kolekcjonera, który kupił ostatni obraz. W polskich muzeach mamy więc stosunkowo niewiele „obrazów liczonych", trzy w Łodzi i jeden w Poznaniu. Natomiast warszawska Galeria Boss należąca do Sławomira Bossa reprezentuje Romana Opałkę i może pośredniczyć w sprzedaży malarstwa, rysunków i fotografii artysty.

Zainteresowanie twórczością artysty jest z pewnością uzasadnione. Pomysł projektu, który przybierał już różne nazwy (np. „Opałka 1965 od 1 do nieskończoności" albo „Opałka 1-Infinity"), działa na wyobraźnię i unaocznia oczywistą prawdę, że życie każdego upływa stopniowo – choć czasem kończy się gwałtownie – ale wszystkich czeka ten sam koniec. U Opałki koniec staje się jasnością, absolutną bielą. Przesłanie malarza jest oczywiste, ale mało odkrywcze. Od artysty, który przecież widzi i czuje więcej niż inni, chcielibyśmy jakiejś wizji, np. co z nas zostanie po śmierci. Czy tylko biel, czy może jeszcze coś? Pytanie wciąż aktualne i – jak się okazuje – bezcenne.

Bronisław Tumiłowicz

FOT. DZIĘKI UPRZEJMOŚCI PANA JACKA MICHALAKA, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5fa83ab64c

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

LEPIEJ BYĆ NIE MOŻE

Zdziesiątkowane bakcylami rodziny włóczą się blade po supermarketach. Jedni wyglądają jak białe kiełbaski, drudzy jak zwiędłe suszki. „Niechże pan się o mnie oprze, pan tak więdnie, panie koprze". Bo czy słońce da się suplementować? W każdym razie na tej półkuli naprawdę po nas widać zimę. Cera tzw. ziemista, jelito nadwątlone przez antybiotyk, włos skołtuniony na wietrze sterczy niczym wesołe grabie. Jednak prawdziwy optymista zawsze wymyśli jakiś atut, zawsze w błocku znajdzie pieniążek, w złym filmie jeden piękny kadr. I tak prawdziwy optymista postanawia wykorzystać okresy pomroczności na autoterapię arteterapią. Wybierze w tym celu narzędzie podstawowe, niezawodne: książkę. Wie, że książka zadziała, pokrzepi, rozwinie. Do tego wybór lektur jest praktycznie nieograniczony. Satysfakcja gwarantowana.

Postanowiłam, że w tym roku na święta też będę taką optymistką. Udałam się do biblioteki i – w akcie cywilnej odwagi oraz obywatelskiego nieposłuszeństwa – poprosiłam o książkę najgrubszą, najpokaźniejszą i najstraszliwszą. Dostałam „Odkrycie nieba" Harry'ego Mulischa. Stron 776. Nie do końca pewna poziomu swojego optymizmu zadbałam jednak o plan awaryjny, suplement. W antykwariacie wyszperałam najdrobniejsze woluminiątko, jakie mieli. „Urodziny" Carlosa Fuentesa. Czytając cienką, będę tęsknić do grubej, pomyślałam. Biegnąc przez grubą, będę chciała kontemplować cienką. Dwie zmiksowane, osadzające mnie w kontrapunkcie dadzą mi dystans do zimy i siłę – kombinowałam. – I pozwolą przetrwać święta, święta, i po świętach się ocknąć w lepszym świecie. Uporządkowanym, ubogaconym, piękniejszym.

Zaczęło się nieźle. W pierwszej książce facet spotkał w antykwariacie cudną dziewczynę grającą na wiolonczeli. „To zawsze są historie o mężczyznach i kobietach". Więc jej białe udo, jego zgrabna pupka, trochę muzyki, dziwne mieszkanka i mamy *love story*. To nic, że ona wkracza nago do pokoju akurat przy dźwiękach muzyki Wagnera. Tego typu zbiegi okoliczności nikomu jeszcze nie zaszkodziły. Jak raz – myślę – lektura na zimę. Dobrze trafiłam! Sięgam do cienkiej książki. Równie dobry początek: jakaś kobieta (wprawdzie rozczochrana i w ciąży) nuci staruszkowi piosenkę „podchwyconą latem na którymś z festynów w wiosce bez nazwy". Nic tak nie koi zimą, jak odrobina liryzmu. Nóżki wyciągam, się – jak to mówią – rozpieram i jadę dalej. Czarnulka od wiolonczeli zachodzi w ciążę, ale nie wie z kim. Ma wypadek i zapada w śpiączkę. Jeden z jej facetów dyma jej matkę (tajemniczy dopisek: jej macica nocą była pompą ssącą). Robią jej cesarkę, lecz ona się nie budzi. Rodzi się tajemnicze dziecko, które nic nie mówi. Przez kolejne dwa lata. A jego pierwszym słowem jest, no? Mama? Tata? Naczelnik? Nie, kurwa, obelisk. Zdrowy na umyśle optymista w tym miejscu wyczuje nadciągający front pesymizmu. Zda się na ślepy los ucieczki w nieznane, a książkę odłoży na święte nigdy więcej. Ale nie optymista, który ma plan, wiarę w potęgę księgi i święta za pasem. Zresztą, nie po to optymista jest optymistą, żeby tak łatwo się poddawać. Brniemy! Zapinamy pasy, dopisujemy na marginesie kąśliwe *„oh, really?"* lub rozpaczliwe „serio"? I dalej z coraz bardziej zaciśniętymi ustami wzruszamy się losem bohaterów. Ale kiedy na kolejnych stronach syn po raz pierwszy odwiedza matkę w śpiączce i pyta: „Tato, czy możemy zobaczyć jej oczy?", a potem po tajniacku podnoszą jej powiekę, następnie wiolonczelistka w śpiączce dostaje raka, w jednego z ojców trafia meteoryt, a drugi postanawia zostać pustelnikiem – nawet optymista ma ochotę zrobić sobie przerwę.

Postanawiam nie wychodzić z domu do wyborów. Bo będą jeszcze kiedyś wybory, prawda?

Udaję się do przestronnej nowiuśkiej łazienki, zbryzguję twarz zimną wodą i odsuwam od siebie zwątpienie. Jest jeszcze przecież druga, cieniutka książeczka, będzie dobrze. Czytamy. Pojawia się jakieś dziecko, które ssie pierś kobiety, jednocześnie patrząc złowrogo na przybysza. Przybysz okazuje się widmem dziecka, więc właściwie go nie ma (to się jednak rzadko zdarza głównym bohaterom literackim). Dziecko wciąż podciąga rękawek i okazuje swoje rany. „Przestań pokazywać mi to ramię. Podrapał cię kot". „Nieprawda, wiesz przecież, że kiedy wraca, odnawia mi się rana". Im dalej w las, tym więcej wilków. To znaczy dzieci. Nawiedzonych, rannych, boskich lub szatańskich. Wychodzę się przewietrzyć, taszczę śmieci w miejsce przeznaczenia i wtedy widzę na parterze w wielkim oknie balkonowym ślicznego chłopca, zaspanego jak morska świnka, z rączkami przyklejonymi do szyby. Odskakuję od okna nerwowo, przyspieszam kroku, chowam się w śmietniku. Lektury zrobiły swoje. Wracam, chowam książki do szuflady. Włączam „Cztery wesela i pogrzeb". W porządku, tym razem źle wybrałam, źle trafiłam. Następnym razem będzie lepiej.

Postanawiam nie wychodzić z domu do wyborów. Bo będą jeszcze kiedyś wybory, prawda?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 51a83ab04c

Głośny apokryf „Według Judasza" przyniósł Henrykowi Panasowi sławę, ale i przykrości, nie tylko ze strony środowisk kościelnych

Marek Książek

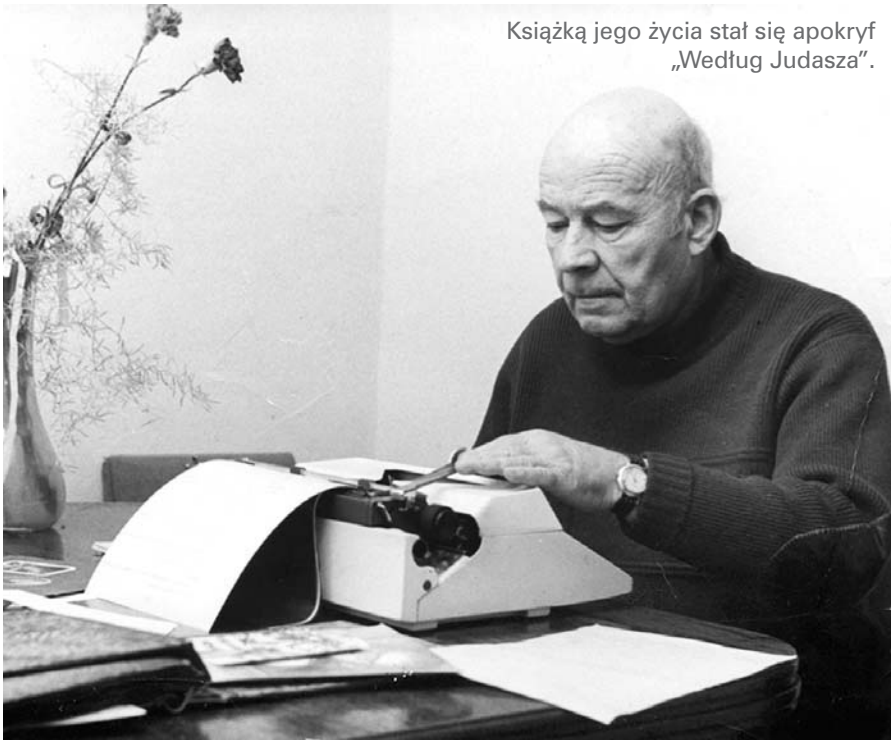

Książką jego życia stał się apokryf „Według Judasza".

JUDASZ WEDŁUG

Dzieło mieszkającego w Olsztynie autora mógł do dziś kryć kurz zapomnienia, gdyby nie recenzja Jarosława Iwaszkiewicza. Prezes Związku Literatów Polskich, redaktor naczelny „Twórczości", w 1973 r. napisał o dziele Panasa, że zwraca ono nasze oczy na tzw. teren, gdzie „dzieją się tak piękne sprawy literackie". Po takiej reklamie wszyscy rzucili się na „Judasza", który wywołał dyskusje, przynosząc pisarzowi popularność, nagrodę warszawskiej „Kultury" i przekłady na sześć języków, z japońskim włącznie. Niektórzy doszukiwali się w powieści wątków biograficznych.

ROZSTAWANIE Z BOGIEM

„Według Judasza. Apokryf" – bo tak brzmi pełny tytuł utworu – nie wyszedł spod pióra Panasa przypadkiem. Dzieło jego życia powstawało niemal 40 lat. Kiedy je wydał, przekroczył już smugę cienia. Urodził się we Lwowie jeszcze pod zaborem austriackim (1912) jako najstarszy z trzech synów zamożnego rzeźnika, a do polskiej już szkoły powszechnej poszedł jako sześciolatek. Jego religijni rodzice stosowali surowe zasady wychowawcze, wśród których mieścił się obowiązek odmawiania modlitw porannej i wieczornej. Henryk buntował się, zwłaszcza gdy pacierze musiał odmawiać na głos w obecności służącej.

Na dodatek wychowanie religijne w tamtych czasach było sprawą państwową. „Jeden z jego elementów stanowiło obowiązkowe nabożeństwo szkolne, połączone z egzortami, czyli naukami prowadzonym nie z ambony w kościele, tylko w szkole", notował Panas we wspomnieniach. Po egzortach uczniowie rzymskokatoliccy, czyli prawie wszyscy, szli do pobliskiego kościoła św. Elżbiety, gdzie zimą od kamiennej posadzki ciągnął mróz, więc Henio i odważniejsi koledzy wychodzili, by przeczekać w cieplejszym miejscu. Nastolatkowi nudziło się także w barokowym kościele św. Marii Magdaleny, dokąd prowadzali go rodzice. To tam podczas długich nabożeństw zaczął rozstawać się z Bogiem.

NAJLEPSZY ZNAWCA BIBLII

Oprócz prozaicznych powodów, jak nuda, dochodziły przesłanki racjonalne. Panas od najmłodszych lat był rozmiłowany w historii, zwłaszcza starożytnej, więc dotarł i do Biblii. Wielokrotnie ją przeczytał, przeanalizował i niektóre fragmenty znał na pamięć. Gdy na religii katecheta przerywał wykład słowami: „Albowiem napisane jest w Piśmie Świętym...", zwykle biblijne cytaty podrzucało mu dwóch uczniów. Jednym z nich był Henryk, który na głowę bił kolegę (ten później został księdzem). Tymczasem to on miał kłopoty na religii, bo nie chciało mu się wykuwać „na blachę" sztywnych formułek. Już wtedy przykładał do biblijnych historii miarkę racjonalizmu, podważając realność bytu Boga i boskość Jezusa.

Dzieło życia Panasa powstawało niemal 40 lat.

Z czasem jego wiedza na ten temat rozszerzyła się o lekturę spoza kościelnego kanonu. W tym o wypożyczone nieopatrznie przez matkę „Pamiętniki Pana Boga" Giovanniego Papiniego i „Żywot Jezusa" Ernesta Renana, francuskiego filozofa i badacza chrześcijaństwa. W tej drugiej rozprawie natknął się na wątpliwości dotyczące roli Judasza Iskarioty. Renan nie przeczył, że ten apostoł przyczynił się do pojmania Jezusa, jednak klątwy spadające na jego głowę uznał za niesprawiedliwe. Jeśli nawet żądza posiadania 30 srebrników pomieszała zmysły biednemu Judaszowi, to nie był on pozbawiony uczuć moralnych, skoro żałował błędu i się powiesił, jak zapisano w Nowym Testamencie. Pewnie to te słowa wywołały w nastoletnim Panasie potrzebę wgłębienia się w judaszowy temat.

Już w gimnazjum zaczął pisać powieść o życiu Jezusa. Jednak z braku gruntownej wiedzy o kulturze epoki nie skończył „dzieła", choć zachowały się jego fragmenty. Gimnazjalista, jeszcze jako wojujący ateista, podej-

eprasa.pl 5fa83ab64c

mował też polemikę na tematy biblijne z jednym z profesorów. Z czasem stał się „tylko" agnostykiem uznającym, że wszelkie rozmowy niedowiarka z wierzącym są pozbawione sensu. Obaj mówią różnymi językami i nie są w stanie siebie pojąć. Nie ma dowodu na istnienie Boga, tak jak nie ma dowodu, że Boga nie ma, więc to kwestia wiary. Panas do końca życia pozostał niewierzący.

BURŻUAZYJNY AGENT LEWICOWYM DYSYDENTEM

A bywał w sytuacjach na tyle dramatycznych, że mógł liczyć tylko na ratunek Opatrzności. Po skończeniu filozofii „w zakresie historii" na Uniwersytecie Jana Kazimierza został nauczycielem gimnazjalnym i komendantem przysposobienia wojskowego. Wkrótce wybuchła wojna, więc zostawił w domu żonę i trzyletnią córkę, by w stopniu podporucznika walczyć w obronie Lwowa. Kiedy Armia Czerwona zajęła miasto, jak prawie wszyscy nauczyciele wrócił do pracy i po dłuższym ociąganiu się przyjął paszport obywatela ZSRR. Uchroniło go to przed wywózką na wschód, ale i tak w sierpniu 1940 r. został aresztowany pod zarzutem prowadzenia antysowieckiej agitacji, jak większość zatrzymanych przez NKWD polskich „agentów burżuazji międzynarodowej". W więzieniu „na Łąckiego" siedział ponad 10 miesięcy, następnie został skazany na osiem lat łagru.

Wyrok zapadł 21 czerwca 1941 r. i tego dnia Panas znalazł się w transporcie do więzienia etapowego w Starobielsku. Gdyby pozostał we Lwowie jeszcze dwa-trzy dni, nie czytalibyśmy żadnej jego powieści. Dzień po wyroku, 22 czerwca, Hitler napadł na Związek Radziecki i Beria wydał rozkaz rozstrzelania wszystkich aresztowanych za dywersję, działalność kontrrewolucyjną i antysowiecką.

Miesiąc później Panas znalazł się w Workucie, ale znów miał szczęście. Po podpisaniu układu Sikorski-Majski więźniowie polityczni skorzystali z amnestii i w większości trafili do armii Andersa. Przeszedł z nią cały szlak bojowy, choć pojęcie bojowy w jego przypadku jest naciągane, czego sam nie ukrywał w wydanych już po śmierci wspomnieniach „Jak mi było u Andersa". W 2. Korpusie pełnił funkcje kulturalno-oświatowe i choć został ranny pod Monte Cassino, to w przeddzień szturmu na klasztor i tylko odłamkiem skały. Nauczał też żołnierską brać w szkole wojskowej, ale... matematyki. Jak tłumaczył, brakowało nauczycieli tego przedmiotu, lecz ważniejszy był chyba inny powód – lewicowe przekonania i materialistyczny światopogląd porucznika. Do tego stopnia, że interesował się nim nawet wojskowy kontrwywiad. Sam Panas uznawał się za lojalistę, szanującego porządek prawny państwa, niezależnie od tego, kto sprawuje władzę. Poza tym szanował gen. Sikorskiego bardziej niż gen. Andersa, co również wytykali mu później prawdziwi patrioci.

Z ŁATKĄ ŻOŁNIERZA ANDERSA

Poza zajęciami kaowca Panas próbował sił w literaturze. Jako żołnierz 2. Korpusu zadebiutował w periodyku „W Drodze", który ukazywał się w Jerozolimie. Jego wojenne opowiadanie „Ucieczka" przygotował do druku redaktor techniczny Władysław Broniewski. Palestyna frapowała Panasa przede wszystkim jako miejsce biblijnego pobytu Jezusa, którego pisarz uważał za postać autentyczną, choć nie w religijnym znaczeniu. W Jerozolimie i innych miejscach Ziemi Świętej kontemplował więc zdarzenia z przeszłości i tworzył obrazy przyszłej powieści. Znał już przekaz św. Ireneusza o apokryficznej ewangelii Judasza, której manuskrypt odnaleziono w 1978 r., a tekst opublikowano dopiero w roku 2006. Miesiąc spędzony w Palestynie dał Panasowi impuls do zajęcia się rzekomą zdradą Judasza.

Do przelania przemyśleń na papier wziął się znacznie później. Najpierw musiał rozstrzygnąć dylemat: wrócić do kraju czy zostać na emigracji. W Anglii nie miał wieści o rodzinie, a jeśli już, to że podobno zginęła pod gruzami zbombardowanego domu. Gdy żona, córka i rodzice odnaleźli się we Wrocławiu, a Henryk zobaczył, jak alianci traktują polskich bohaterów, stwierdził, że emigracja nie jest dla niego. Wrócił do kraju, podjął pracę w oświacie, wstąpił do PPR, działał w Związku Nauczycielstwa Polskiego i Polskim Związku Piłki Nożnej, aż w szczycie stalinizmu odbiła mu się czkawką służba w armii Andersa. Został wyrzucony z partii i zrozumiał, że zaraz pójdą za tym szykany zawodowe.

Postanowił zejść z oczu bezpiece, znalazł azyl w Kamionkach koło Giżycka, gdzie dostał posadę kierownika wiejskiej szkółki, a po godzinach uprawiał rolę i hodował świniaki, ale wreszcie mógł pisać. Wieczorami przy

Rozgłos, jaki zdobył, wyniósł go na literacki Parnas, ale i wzbudził zazdrość środowiska.

PANASA

Henryk (pierwszy z prawej) był najstarszym synem lwowskiego rzeźnika.

eprasa.pl 5fa83ab64c

lampie naftowej tworzył opowieści prosto z życia i zmagał się z materią biblijną. Gdy zaczęła się odwilż, zrehabilitowany Panas mógł już wysyłać opowiadania na konkursy, zdobywając hurtem nagrody. To pozwoliło mu nawiązać kontakt z olsztyńskim środowiskiem literacko-dziennikarskim. Niebawem przeniósł się z rodziną do Olsztyna, zaczął pracę w dwutygodniku „Warmia i Mazury" i został jego redaktorem naczelnym. W tym czasie zadebiutował zbiorem opowiadań

W roli nauczyciela żołnierzy 2. Korpusu.

wojennych i mazurskich, a po wydaniu drugiej książki, o brawurowych akcjach MO, stał się licencjonowanym pisarzem, członkiem ZLP.

ZDRADA, KTÓREJ NIE BYŁO?

Kilkanaście lat Panas był traktowany jako pisarz regionalista. Furtką do literatury krajowej, a nawet światowej okazał się dopiero utwór „Według Judasza", do tytułu którego autor dodał nazwę apokryf. Potem tego żałował, bo w potocznym rozumieniu termin ten oznacza dzieło o podejrzanej autentyczności. Tymczasem pisarz próbował udowadniać, że choć główna teza utworu może być wymyślona, to jest oparta na solidnym podłożu badań naukowych. Gorący spór na ten temat wywiązał się na łamach „Argumentów", gdzie prof. Aleksander Krawczuk zarzucał Panasowi przeinaczenia i niewłaściwą interpretację faktów. Olsztyński pisarz tłumaczył, że pomysł o Judaszu zaczerpnął z opisanej przez Józefa Flawiusza historii Egipcjanina, który z grupą ludzi wszczął bunt, a potem zniknął bez śladu. Autor odrzucił zarzut o zdradzie Judasza z dwóch powodów. Po pierwsze, Jezus, wjeżdżając do Jerozolimy, był witany przez tłumy, więc musiał być też znany agentom Piłata i nie trzeba było go wskazywać. Po drugie, dał się jeszcze lepiej poznać, wyganiając przekupniów z jerozolimskiej świątyni, co musiało wzbudzić sensację.

Judasz był winny zdrady, ale innego rodzaju: nie dotrzymał słowa danego Jezusowi

Judasz w ujęciu Panasa był wykształconym przedstawicielem kupieckiego rodu, który zauroczony Marią z Magdali trafił za nią do sekty Jezusa. I choć rabbi był synem prostego cieśli, wyróżniał się na tle swoich uczniów, m.in. galilejskich rybaków. Judasz mógł z nim nawiązać partnerski dialog. Co więcej, stał się powiernikiem Jezusa, na dodatek skarbnikiem grupy, po cichu finansującym ją z własnej kiesy. Platonicznie zakochany w byłej ladacznicy wkrótce stał się wyznawcą idei, z której potem wyrosło chrześcijaństwo. Nie był jednak winny śmierci Jezusa, skoro była to część boskiego planu. Był za to winny zdrady, ale innego rodzaju: nie dotrzymał słowa danego mistrzowi, że będzie kontynuował jego dzieło. Nie wierzył w powodzenie tej misji, co przyznał jako wiekowy starzec w... apokryfie Panasa.

Niektórzy w postaci bohatera dopatrywali się cech autora, takich jak wolnomyślicielstwo, tolerancja, autoironia, pobłażliwość wobec ludzkich słabości i wrażliwość na biedę. I z tego Panas był znany, czego nie dostrzegali przedstawiciele Kościoła katolickiego. Ksiądz we Wrocławiu napadł na pisarza z ambony, że bluźni przeciw religii. Z kolei publicysta „Tygodnika Powszechnego" zarzucał autorowi, że jego Judasz jest literackim trupem, a obłąkana z żalu po stracie Mistrza Maria Magdalena stworzyła mit o zmartwychwstaniu Chrystusa.

WIERNY SOBIE DO KOŃCA

Rozgłos, jaki Panas zdobył apokryfem, przełożonym wkrótce na języki obce, wyniósł go na literacki Parnas, ale i wzbudził zazdrość środowiska. W Olsztynie pojawiła się plotka, że utwór wyszedł spod pióra oficera, który podczas wojny zginął we Włoszech, a Panas przejął rękopis i tylko go poprawił. Pewna polonistka opowiadała uczniom, jakoby opowieść o Judaszu napisał ksiądz z Mrągowa, od którego Panas wyłudził brudnopis, przepisał po swojemu i opublikował jako własny utwór. Miała o tym świadczyć analiza krytyczna, wskazująca, że różni się on na korzyść od drugiej części dyptyku „Judasza dziennik intymny" (wydany w 1985 r., wcześniej drukowany w „Warmii i Mazurach"). Dopiero publikacja wspomnień z dzieciństwa i młodości Panasa „Rozstania" odsłoniła wieloletnie zainteresowania biblijne autora.

Cień Judasza ciągnął się za pisarzem do końca. Także w odniesieniu do postawy autora. Po Sierpniu 1980 r., gdy wielu zaczęło nosić znaczki Solidarności, Panas przekornie przypiął sobie do swetra znaczek PZPR. Potem poparł stan wojenny, wystąpił w TVP i apelował do rodaków o rozsądek. Jedni gratulowali mu sensownej wypowiedzi, a nieliczni zastosowali wobec niego retorsje w postaci zwrotu książek, zwłaszcza „Według Judasza". Ktoś przesłał mu paczkę pocztą, inny podrzucił do ogródka. Akcję tę zorganizował opozycyjny wobec władzy literat, uznawany wcześniej za przyjaciela Panasa. On rozpoznał go po dedykacji, która w odesłanej książce odbijała się po wyrwanej kartce, a zaczynała się od słów: „Kochanemu Bodziowi...".

Panas bardzo to przeżył, choć nie dawał poznać po sobie. Z wyglądu rzymski senator, z usposobienia lwowski batiar, nadrabiał miną i poczuciem humoru. Jednak te szykany miały pewnie wpływ na jego samopoczucie i zdrowie, zwłaszcza że pierwszy zawał serca dopadł go już wcześniej. Potem był drugi, trzeci... Panas zaczął pisać powieść o starzejącym się królu Władysławie Jagielle, którą w odcinkach publikowały białostockie „Kontrasty". Nie zdążył jej skończyć. Zmarł 11 września 1985 r. Jego imieniem nazwano jedną z olsztyńskich ulic, lecz w miarę upływu czasu jako o pisarzu zapomniano. Może to się zmieni po biografii „Parnas według Panasa", którą wspólnie z Januszem Soroką przygotował tu podpisany.

Marek Książek

FOT. Z ARCHIWUM RODZINY PISARZA

eprasa.pl 5fa83ab64c

KURTYNA W GÓRĘ

„SZOSZA" NA WYGNANIU

Teatr Żydowski po utracie gmachu przy pl. Grzybowskim, w którym wykonał ogromną pracę i gdzie zyskał wielkie uznanie wiernej publiczności, wystawił pierwszą premierę „na wygnaniu", w gościnnych przestrzeniach Warszawskiej Opery Kameralnej. Dobrze, że teatr żyje, bo przecież dysponuje nieźle wyedukowanym zespołem dwujęzycznych artystów, dobrze czujących się nie tylko w rolach dramatycznych, ale także tanecznych i wokalnych. Nowa sztuka, oparta na wątkach powieści żydowskiego noblisty Isaaka Bashevisa Singera, prowadzi nas przez zakamarki przedwojennej Warszawy, w której powoli zaczyna się dostrzegać zagrożenie ze strony hitlerowskich Niemiec. Mieszkańcy żydowskiej mniejszości jeszcze nie mają pewności, że nadejdzie zagłada, ale bohaterka dramatu, Szosza, dziewczyna może trochę upośledzona fizycznie i psychicznie, czuje więcej niż inni. W spektaklu wykorzystano modne obecnie projekcje multimedialne, są też piosenki z muzyką Bartłomieja Woźniaka utrzymane w stylistyce balladowej. Rolę tytułowej bohaterki powierzono Małgorzacie Majewskiej, ale podobają się także inne postacie kobiece, bo Singer był świetnym znawcą płci pięknej.

Bronisław Tumiłowicz

„Szosza", przekład Szymon Sal, scenariusz i reżyseria Karolina Kirsz, Teatr Żydowski, premiera na scenie WOK 16 grudnia 2016

NA POWAŻNIE

CZARODZIEJSKI FILM MOZARTA

Dla wszystkich, którym opera wydaje się nudna, bo wokaliści mało się ruszają, a jeśli już wykonują jakieś ewolucje, to są one markowane, przedstawienie „Czarodziejskiego fletu" będzie zaskoczeniem. Tu bowiem śpiewacy najczęściej ukazują się w okienkach na pionowej ścianie i stoją zupełnie nieruchomo, ale są oni jedynie figurkami szaleńczo dynamicznego filmu rysunkowego. I wbrew pozorom w tej operze nic nie stoi w miejscu, wszystko pędzi, goni, ucieka. Sztuczny świat filmu potrafi wyczarować nam podróż windą do wnętrza Ziemi, gdzie wszystko płonie, jak i zanurzenie się w toni oceanu pełnego ryb i morskich stworów. Opera Narodowa ma więc na scenie wielki hit, który wyprodukowano w Komische Oper w Berlinie i obejrzało go już ponad 250 tys. widzów. Rodziny z małymi dziećmi śledzą z przejęciem bajeczny świat Mozartowskiego arcydzieła. Szkoda, że przedstawienie nie idzie po polsku i trzeba czytać napisy, ale za to w operze występuje kilku polskich śpiewaków, którzy wcale nie są gorsi od tych importowanych. Cieszmy się najlepszą z możliwych formą popularyzacji klasyki.

Bronisław Tumiłowicz

Wolfgang Amadeusz Mozart, „Czarodziejski flet", dyrygent Piotr Staniszewski, Teatr Wielki-Opera Narodowa, premiera 11 grudnia 2016

SERIAL

PUSTKOWIE

Hana Sikorova, starosta małego miasteczka w północnych Czechach, robi wszystko, aby uchronić miejscowość przed popadnięciem w ruinę, a jej społeczność przed poniewierką. A ma powody do obaw, bo duży koncern wydobywczy zaczyna proponować mieszkańcom wysokie rekompensaty za opuszczenie swoich domów. Niestety, pewnego dnia w niewyjaśnionych okolicznościach znika jej nastoletnia córka. Hana nie spocznie, póki nie odnajdzie dziewczyny oraz osób odpowiedzialnych za jej zniknięcie. Ośmioodcinkowy serial wyreżyserowali Alice Nellis i Ivan Zachariáš. (ag)

HBO, HBO GO, OD 7 STYCZNIA, GODZ. 20.10

AKCJA

OTWARTA ĄBKOWSKA

W najbliższy weekend (6-7 stycznia) ulica Ząbkowska na warszawskiej Pradze po raz pierwszy zimą zostanie zamknięta dla ruchu drogowego i otwarta dla mieszkańców. To będzie okazja do spotkania i dzielenia się czasem świąt między kończącymi się Bożym Narodzeniem i Chanuką a początkiem obchodów prawosławnych i greckokatolickich. Działania Zimowej Otwartej Ząbkowskiej będą realizowane w różnych miejscach ulicy i jej okolicach, a w sobotę, 7 stycznia, wzdłuż ulicy stanie stół, do którego mieszkańcy zaproszą gości. Biesiadę poprzedzi wspólne gotowanie. W namiocie rozstawionym wzdłuż ulicy odbędzie się także koncert „Wschód-Zachód: Przystanek Praga", nawiązujący do wielokulturowości warszawskiej Pragi. **Facebook: OTWARTA ZĄBKOWSKA.** (ag)

WARSZAWA, 6-7 STYCZNIA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5fa83ab64c

OD GOSPODARKI STRACHEM DO P

To czytał świat w roku 2016

1

J.D. Vance
Hillbilly Elegy

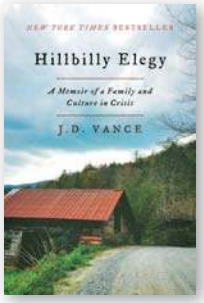

Bezsprzecznie książka roku. Wydana co prawda jeszcze przed zwycięstwem Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich, doskonale ilustruje przyczyny jego nagłego triumfu politycznego. Autor, absolwent prawa na prestiżowym Uniwersytecie Yale, były żołnierz piechoty morskiej, weteran walk w Iraku, plastycznie opisuje rozkład tkanki społecznej wśród białych Amerykanów z niższych warstw, ilustrując to przykładami z własnego życia. Rodzina nękana wszelkimi możliwymi patologiami, opowieści o kryzysie społeczności związanych czy sąsiadujących z przemysłowymi gigantami, dramat dzieci z niepełnych rodzin, upadek publicznej edukacji i problemy urbanistyczne doskonale pokazują, skąd w sercu Ameryki bunt, frustracja i nienawiść do establishmentu. Autor pisze na tyle uniwersalnie, że sami wiele możemy się z tego nauczyć, również w Polsce.

2

Anjan Sundaram
Złe wieści
Ostatni niezależni dziennikarze w Rwandzie
(polskie wydanie Czarne, Wołowiec, tłum. Iga Noszczyk)

Sundaram odsłania prawdę o Rwandzie schowaną gdzieś za programami pomocowymi oraz etykietą „ulubieńca Zachodu i instytucji międzynarodowych na całym kontynencie afrykańskim". Jako aktywista, dziennikarz i wykładowca z pierwszego rzędu ogląda seans gwałcenia wolności słowa i niezależności prasy. Jego studenci nie przychodzą na zajęcia, znikają, żeby kilka dni później odnaleźć się w przeludnionych więzieniach oskarżani o zdradę państwa. Centralnym tematem książki uznanego reportażysty pracującego od lat w różnych krajach Afryki jest gospodarka strachem. Reżim prezydenta Paula Kagame zarządza państwem jak najskuteczniejszym instrumentem przymusu, atakując prasę od strony czytelników. Obywatele Rwandy są bowiem tak przerażeni i ubezwłasnowolnieni, że nie odważą się czytać zdyskredytowanych publikacji. Tak zabija się wolność słowa i buduje dyktatury. Lektura obowiązkowa.

3

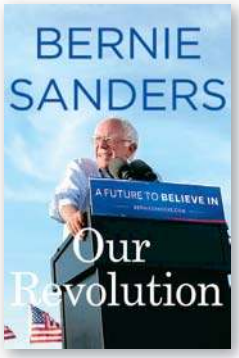

Bernie Sanders
Our Revolution. A future to Believe In

Kolejna publikacja poświęcona Stanom Zjednoczonym, choć ta akurat ukazała się kilka dni po niespodziewanym zwycięstwie Trumpa. Napisana przez senatora Berniego Sandersa jest wezwaniem do zmiany relacji między obywatelami a państwem. Sanders, nadzieja amerykańskiej lewicy, według wielu ekspertów człowiek, który był zdolny pokonać Trumpa w bezpośrednich wyborach, mówi wprawdzie o lewicowych reformach w sposób radykalny, ale jego radykalizm różni się od tego, co obserwujemy w Europie. W przeciwieństwie do Pabla Iglesiasa z hiszpańskiego Podemos czy Janisa Warufakisa z greckiej Syrizy Sanders zdaje się mieć szeroką perspektywę patrzenia na świat, dostrzega przyczyny postaw społecznych elektoratu konserwatywnego. Chce budować i remontować, a nie niszczyć i wznosić od zera. Można się nie zgadzać, ale warto przeczytać.

4

Viet Thanh Nguyen
Sympatyk
(polskie wydanie Muza SA, Warszawa, tłum. Radosław Madejski)

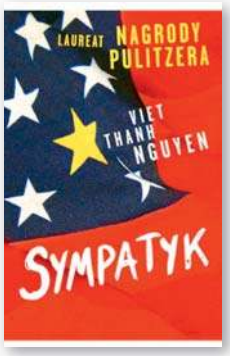

Jedyna w zestawieniu pozycja beletrystyczna, choć tak zręcznie napisana i operująca w znanych nam doskonale realiach politycznych i kulturowych, że trudno zakwalifikować ją jednoznacznie jako fikcję. Opowiedziana w pierwszej osobie historia młodego Wietnamczyka, bękarta porzuconego przez ojca, francuskiego księdza, to synteza dylematów moralnych człowieka o złożonej tożsamości narodowej. Bohater pracujący dla Francuzów i Amerykanów jako ukryty agent Wietkongu po upadku Sajgonu trafia do USA, gdzie nadal prowadzi działania konspiracyjne. Mimo zwycięstwa rewolucji nie może wrócić do kraju, jest zbyt cenny za oceanem. W nagrodzonym Pulitzerem „Sympatyku" kilka wymiarów człowieka: agent, marksista, bękart, osoba odrzucona lub, z drugiej strony, przystojny i błyskotliwy oficer o ciekawej przeszłości, ściera się w każdym monologu. Pierwszorzędne studium ciosów, jakie ludzka psychika przyjmuje w dyktaturze.

5

Richard Shirreff
2017. Wojna z Rosją
(polskie wydanie Rebis, Poznań, tłum. Radosław Kot)

Przyszły rok. Otwarty konflikt zbrojny, który wybucha między NATO a Rosją. Wojna konwencjonalna połączona z nowymi metodami walki. Oficjalnie to wciąż *political fiction*, ale książkę Shirreffa czyta się z coraz silniejszym poczuciem, że jego fantazje mogą niebawem trafić na czołówki gazet. Absolwent Oksfordu, generał armii brytyjskiej i były zastępca głównodowodzącego sił sojuszniczych NATO w Europie, maluje obraz wojny na wschodnich rubieżach Sojuszu, czyli również w Polsce, nie tyle ku przestrodze, ile w ramach terapii szokowej. Przypomina, że aneksji Krymu też nikt się nie spodziewał, w dodatku Zachód do tej pory nic w tej kwestii nie zrobił. Polska i kraje bałtyckie są wprawdzie członkami NATO, co daje dodatkowe gwarancje bezpieczeństwa, jednak Shirreff mówi dosadnie: rosyjski niedźwiedź wcale się nie obudził. On tak naprawdę nigdy nie zasnął, to dla nas przyszła pora pobudki.

eprasa.pl 5fa83ab64c

OŻEGNANIA Z AFRYKĄ

6

Marcin Król
Lepiej już było
(Czerwone i Czarne, Warszawa)

Nestor polskiej szkoły historii idei pisze gorzko, ale celnie, o stanie (zwłaszcza intelektualnym) naszego społeczeństwa i oczekiwaniach co do jego przyszłości. Wprawdzie głównym tematem tego zbioru krótkich esejów o roli pamięci, elit, procesu wyborczego i zaangażowania obywatelskiego są optymizm i przekonanie, że z wolności nie wolno rezygnować, trudno jednak oprzeć się wrażeniu, że lepiej już nie będzie. Król trafnie ocenia błędy starych i nowych elit, ciekawie ilustrując je przykładami z czasów rewolucji francuskiej. Porusza tematy ważne, takie jak rewolucja niespełnionych oczekiwań wśród europejskiej młodzieży. Miejscami nazbyt pompatyczny, ale wciąż przenikliwie czytający między wierszami społecznej codzienności. Dla jednych będzie to pochwała wiary w wolność, dla drugich zapowiedź końca liberalnej demokracji – uniwersalizm w czystej postaci.

Na liście tematów znalazły się płomienne zachęty do rewolucji, głosy w obronie UE i analiza rozkładu amerykańskiego społeczeństwa.

7

Paul Theroux
Ostatni pociąg do Zona Verde
(polskie wydanie Czarne, Wołowiec, tłum. Michał Szczubiałka)

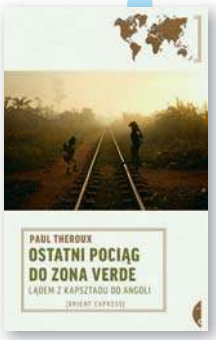

Pożegnanie z Afryką być może największego z żyjących obecnie autorów literatury podróżniczej. Pokonując lądem drogę z Kapsztadu do Angoli, Theroux nie tylko szuka śladów tej Afryki, której już nie ma – w pełni zależnej od plonów ziemi, którą uprawiają małe grupy, wręcz mikrowspólnoty nomadów, ale również pokazuje zderzenie tego świata z rozpychającą się cywilizacją. Kwitnącą, dodajmy, w dwóch pototalitarnych republikach, wychodzących z dwóch skrajnie różnych reżimów, z całkowicie odmiennym bagażem doświadczeń. Theroux pisze, tak jak pisał – dynamicznie, zawsze spóźniony, zawsze skaczący po tematach. Ale dzięki temu lepiej oddaje dzisiejszą Afrykę. Porusza całą gamę palących kwestii, od ginącej przyrody po szybką industrializację. A na koniec orientuje się, że chyba rzeczywiście z Afryką swojej młodości pożegnał się już dawno.

8

Merilee S. Grindle
Reflections on Memory and Democracy

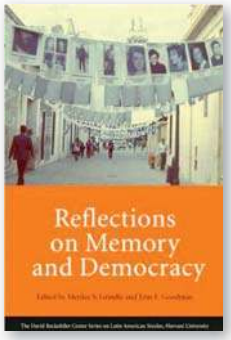

Jeszcze niewydany w Polsce zbiór esejów o walce z demonami niedemokratycznej przeszłości Ameryki Południowej to światowa ekstraklasa w dziedzinie polityki historycznej i socjologii pamięci. Grindle zbiera teksty o wszystkich niemal aspektach potransformacyjnego piekła, od amnestii do lustracji, od obalania pomników do stawiania nowych i wykreślania lub pisania na nowo całych rozdziałów współczesnej historii. Nie ocenia, przedstawia jednak skrupulatnie katalog potencjalnych skutków zaniedbywania polityki historycznej, jakimi są nie tylko radykalizacja społeczeństwa, ale przede wszystkim głębokie jego podziały. Pod tym względem dalekie Południe nie różni się specjalnie od Europy Wschodniej, choć z demonami przeszłości radzi sobie zdecydowanie lepiej.

9

An Uncanny Era. Conversations between Václav Havel and Adam Michnik
red. Elżbieta Matynia

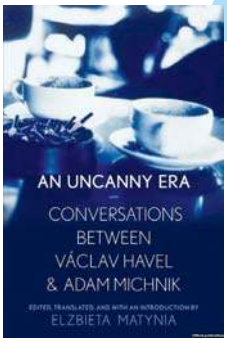

Wydany niedawno przez Uniwersytet Yale zbiór rozmów naczelnego „Gazety Wyborczej" i byłego prezydenta Czech to świetny przewodnik po ostatnim ćwierćwieczu naszego regionu. Od pierwszych spotkań w Karkonoszach, listów przemycanych przez zieloną granicę, do rozmów w kancelarii prezydenckiej i redaktorskich gabinetach Michnik i Havel pozostają ilustratorami historii dwóch narodów. Tak jak z biegiem lat zmieniały się ich role, tak inaczej też podchodzili do kluczowych kwestii społecznych. Do siebie nawzajem z kolei zawsze tak samo. Z dużym humorem i dystansem, ale i ze świadomością powagi czasów, w których żyją. Jest tu trochę absurdu Szwejka i uporu Wałęsy. Dwie transformacje w kilku rozmowach – sens historii mówionej w najlepszym wydaniu.

10

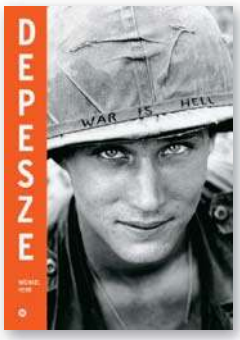

Michael Herr
Depesze
(polskie wydanie Karakter, Kraków, tłum. Krzysztof Majer)

Pozycja w naszym zestawieniu wyjątkowa, choć w Stanach Zjednoczonych po raz pierwszy opublikowana w 1977 r. Michael Herr, korespondent pisma „Esquire" w czasie wojny w Wietnamie, kataloguje sylwetki amerykańskich żołnierzy na froncie: młodych chłopców i weteranów, wymuskanych absolwentów i zabijaków, którzy w dżungli przestają myśleć kategoriami humanizmu, przerzucając się na odczuwanie świata lufą karabinu. Wiele postaci sportretowanych w „Depeszach" trafiło później do legendarnego „Czasu apokalipsy" Francisa Forda Coppoli, którego Herr był zresztą współscenarzystą. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że literacki pierwowzór jest jeszcze bardziej plastyczny niż film. Klasyka gatunku.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl 5fa83ab64c

Nazywano nas *Kkodżebi*, „wędrowne wróble", bo pochylaliśmy się i szukaliśmy ziarenek ryżu lub kukurydzy na ziemi.

GŁÓD W KORE

Kradzione bułki smakują bardziej niż te kupione. Wiem to z doświadczenia

Joseph Kim, Stephan Talty

Szliśmy w stronę centrum miasta, próbując sformułować plan dalszego życia. Wreszcie miałem okazję zapytać matkę, gdzie jest Bong Sook.

– Wciąż w Chinach – odpowiedziała. – Mieszka z mężczyzną.

Pokiwałem głową bez zrozumienia. Czy to znaczyło, że znalazła sobie męża? Później dotarło do mnie, że matka nie zabrała mojej siostry do Chin po to, żeby znalazły tam obie pracę. Zabrała ją po to, by ją w Chinach sprzedać.

W chińskich miasteczkach i wsiach położonych przy granicy z Koreą Północną brakuje młodych kobiet, które wyjechały za pracą do Szanghaju i innych ośrodków przemysłowych, a wielu rolników i drobnych przedsiębiorców szuka żon. (…) Kobieta potrzebna jest po to, by gotować, sprzątać i uprawiać z mężem seks. To smutny los, ale nierzadki. (…) Wiele z tych, które przekraczają nielegalnie granicę prowadzone przez chińskich lub koreańskich przewodników, staje się seksualnymi niewolnicami.

Przewodnicy mówią dziewczynom, że będą dobrze zarabiały, pracując w fabryce w głębi Chin, gdzie nie zabraknie im nigdy jedzenia i pieniędzy. Zamiast tego są sprzedawane do burdeli i zmuszane do prostytucji.(…)

Nie wiedziałem – i nadal nie wiem – jaki los spotkał Bong Sook. (…) Zawsze myślałem, że pewnego dnia usiądziemy i matka opowie mi wszystko, co chcę wiedzieć o siostrze. Dzień ten jednak nigdy nie nadszedł. Prawda jest taka, że matka nie wiedziała, gdzie jest jej córka. (…)

Wiosną 2003 r. byliśmy z powrotem w Hoeryŏngu. Matka zamieszkała z koleżanką, przygotowując się do kolejnej podróży do Chin. Musieliśmy się rozdzielić. Matka nie mogła się mną opiekować, właściwie byłaby dla mnie tylko ciężarem. Zostałem pozostawiony sam sobie. (…)

Nie czułem się już człowiekiem.

•

Nie byłem przygotowany do życia na ulicy. Dotarliśmy do Hoeryŏngu bez dodatkowych ubrań czy pieniędzy. (…) Ale miałem 13 lat, a w samodzielności było coś ekscytującego. Po raz pierwszy w życiu byłem wolny.

Przeszedłem pięć czy dziesięć kilometrów, łażąc po Hoeryŏngu i okolicach w poszukiwaniu czegoś do jedzenia, ale nie znalazłem niczego. Nie wiedziałem, gdzie szukać pożywienia ani jak o nie prosić. (…) Około trzeciej czy czwartej nad ranem ruszyłem w stronę bazaru w centrum. (…) Kiedy nad wzgórzami wzeszło słońce, zaczęli napływać ludzie: kupcy, którzy rozstawiali przy drodze skromne stragany z towarami (…). Zjawili się *Kkodżebi*, drobne postaci o czarnych twarzach, odziane w wystrzępione łachmany, błagające o kęs jedzenia lub wyczekujące okazji, by coś ukraść. Nikt zdawał się nie zwracać na nich uwagi. (…)

Niektóre bezdomne dzieci wołały do kupujących: „Mogę dojeść resztkę pańskiej zupy?". W Korei Północnej nie żebrało się o pełny posiłek. Prosiło się o niedojedzone resztki z miski po zupie, o łyk mętnej wody na dnie drewnianego kubka. Kilku *Kkodżebi* udało się namówić ludzi gotowych oddać im resztki ze swoich misek. Niedużo, tylko kilka kalorii, które starczały najwyżej na parę godzin. (…)

Gdybym poprosił o zupę, myślałem otępiały, stałbym się bezdomnym żebrakiem już na zawsze. Bałem się, że słowa prośby zadziałają jak zaklęcie zmieniające mnie z normalnego chłopca w *Kkodżebi*. (…)

Wieczorem, gdy wszyscy handlarze opuścili targowisko, poszedłem do domu kolegi. Pozwolił mi tam przenocować jedną noc. Nie prosiłem nawet o przedłużenie gościny – wiedziałem, że gdybym został dłużej, byłbym ciężarem. (…)

•

Nazywano nas *Kkodżebi*, „wędrowne wróble", bo pochylaliśmy się i szukaliśmy ziarenek ryżu lub kukurydzy na ziemi. (…) Nie czułem się już człowiekiem. Przez umysł istot ludzkich przewija się mnóstwo rozmaitych myśli, wiele emocji, niektóre przyjemne, inne smutne. Wędrowny wróbel ma w głowie tylko jedną myśl – jedzenie (…).

Wreszcie nie byłem w stanie tego dłużej wytrzymać. Pomyślałem, że jeśli nie uda mi się czegoś zjeść, może nazajutrz zabraknie mi w ogóle sił na to, by zjawić się na targu. (…) Kiedy już raz się to zrobi, później jest już łatwiej. Tamtego dnia udało mi się zjeść dwa łyki zupy. Czułem, jak letni płyn miesza się z krwią w moich żyłach, jak wzrost

eprasa.pl 5fa83ab64c

I PÓŁNOCNEJ

napięcia elektrycznego, który sprawia, że światła w domu rozbłyskują jasno, zanim zgasną. (…)

Byłem wdzięczny za tę odrobinę jedzenia. Czułem się jak zwycięzca. Ale wiedziałem, że dwa łyki zupy dziennie to za mało, jeśli chcę dłużej pożyć. Musiałem wykazać się większym sprytem.

Chodziłem na targ codziennie, zjawiając się tuż po brzasku. Byłem zwykle jednym z pierwszych *Kkodżebi* na miejscu, lecz wkrótce dołączała do mnie cała rzesza innych. Kiedy nie zaczepiałem kupujących, przyglądałem się najbardziej skutecznym żebrakom, tym, których oczy były najbardziej przytomne i którzy mieli najwięcej energii. (…)

Po kilku tygodniach na targu orientowałem się już, od kogo najprawdopodobniej mogę coś wyżebrać. Ludzie ze wsi byli lepsi niż miastowi. Kobiety lepsze od mężczyzn (z wyjątkiem żołnierzy). Bogaci byli do luftu. Dzięki starannemu doborowi nagabywanych osób moja dzienna średnia skoczyła do czterech łyków zupy.

Ale wciąż nie zdobywałem dostatecznej ilości pożywienia. (…)

•

Kiedy człowiek jest bezdomny, potrzeba mu tak naprawdę tylko dwóch rzeczy: jedzenia i czegoś, żeby się ogrzać. Ciepło pozwala przeżyć noc, gdy temperatura spada poniżej zera. W takie noce trzeba znaleźć kryjówkę w jakimś pomieszczeniu, bo inaczej się umrze. Od czasu do czasu *Kkodżebi* zbierali się wokół ulicznych transformatorów elektrycznych, lgnąc do nich jako do źródła ciepła, ale urządzenia te były zaniedbane i stare. W mroźne noce niektóre sieroty ginęły od porażenia prądem. (…)

•

Jako bezdomny stałem się kimś zupełnie innym. Po pierwsze, wstrząsem było dla mnie odkrycie, że jestem lepszym złodziejem niż żebrakiem. Zmiana nastąpiła bardzo naturalnie. Prawie jakby moje ciało wiedziało, co robić, gdy głód osiągnie pewien poziom. Nie pamiętam żadnych wyrzutów sumienia związanych z tym, że kradzież jest zła.

Kupcy, którzy tłoczyli się na ulicy przy targowisku, stali się moimi pierwszymi ofiarami. (…) Pierwszy raz, gdy to zrobiłem, serce łomotało mi triumfalnie. Przechadzałem się alejką, żując bułkę, jakbym był bogatym paniczykiem.

Kradzione bułki smakują bardziej niż te kupione. Wiem to z własnego doświadczenia. (…)

•

Po kilku miesiącach życia na własną rękę coraz bardziej opadałem z sił. Bardziej doświadczeni handlarze poznali moje sztuczki, a nowych sprzedawców żywności było na targu coraz mniej. Za to liczba *Kkodżebi* rosła z dnia na dzień. Wszyscy jedli coraz mniej. Często kładłem się do snu w jednym ze starych, zepsutych pociągów na dworcu i nie mogłem spać, bo za mocno dokuczał mi głód. Czasami przez dwa czy trzy dni nie miałem zupełnie nic w ustach.

Postanowiłem poświęcić się złodziejstwu.

W Korei Północnej były trzy miejsca, gdzie działało wielu złodziei. Jednym były dworce i stacje kolejowe. We wczesnych latach XXI w. rząd importował podstawowe artykuły z Chin. Zboże i nawozy transportowano długimi składami zamkniętych wagonów pilnowanych przez straż ochrony kolei. Główne stacje kolejowe w Korei Północnej są od siebie bardzo oddalone, więc gdy na jedną z nich przyjeżdża pociąg, załoga często musi zrobić sobie przerwę. Kolejarze idą do wychodka albo kupić sobie coś do jedzenia w którymś ze straganów przed dworcem. Wtedy właśnie do akcji wkraczali złodzieje. (…)

Parali się tym różni ludzie: babki, ojcowie, kobiety w ciąży, starcy i osierocone dzieci. Oblegali perony i przeczesywali ziemię między torami w poszukiwaniu ziaren kukurydzy, które wysypały się z wagonów przez szpary.

Na ulicach żyły tysiące młodych ludzi bez rodziny i pracy.

Pociąg zatrzymywał się na dworcu na godzinę albo dwie i w tym czasie można było zebrać garść żółtych ziaren kukurydzy, zmieszanych z ziemią i popiołem. (…)

Drugim dobrym miejscem dla złodziei jest targ i jego okolice. Tutaj królują kieszonkowcy i specjaliści od wyrywania okradanym toreb i torebek. Sam targ jest opanowany przez *Kkodżebi*, którzy tworzą coś na kształt gangu. Jeśli chcesz awansować ze zwykłego złodziejaszka na kieszonkowca, musisz najpierw poprosić grupę kontrolującą targ o zgodę. (…) Zaczynało się od kradzieży główki czosnku lub pojedynczej papryki ze straganu z warzywami po to, by wymienić łup na odrobinę makaronu u sprzedawców gotowego jedzenia. (Działało to całkiem dobrze, bo handlarze nie spodziewali się nigdy, że ukradniemy surowy towar, a sprzedawcy je-

eprasa.pl 5fa83ab64c

dzenia zawsze potrzebowali świeżych składników do swoich potraw). Potem powoli pokonywało się kolejne szczeble złodziejskiej kariery.

Trzecim dobrym miejscem do kradzieży są prywatne domy. Stos drewna na opał na balkonie w bloku. Grządka ze świeżą cebulą. Rower. Tym się właśnie zająłem po opuszczeniu targu. Zacząłem od pokryw studzienek ściekowych. (…)

W Korei Północnej są dwa rodzaje pokryw studzienek: jedne ważą ok. 20 kg, inne, bardziej masywne, wielkości dużego koła rowerowego, ważą ze 40 kg. Sam ważyłem wtedy ok. 35 kg, więc mogłem ukraść tylko mniejszą pokrywę. (…) Ale co teraz miałem z nią zrobić?

Powodem, dla którego w Hoeryŏngu pozostały jeszcze jakiekolwiek pokrywy studzienek, było to, że wszystkie stanowiły własność państwową, a za kradzież chociaż jednej z nich groziła kara śmierci w publicznej egzekucji. (…) Skupy złomu nie kupowały pokryw studzienek, ich właścicielom za handel nimi również groziła kara śmierci. Trzeba było potłuc pokrywę na kawałki i dopiero wtedy spróbować ją sprzedać. (…)

Mężczyzna w skupie starannie obejrzał mój towar i popatrzył na mnie podejrzliwie. Wiedziałem, że zdał sobie sprawę z tego, że żelazo pochodzi z pokrywy studzienki, ale zawsze mógł wymieszać kawałki ode mnie z metalem z innych źródeł. Zapłacił mi 250 wonów, niecałą połowę wartości samego żelaza. Natychmiast pobiegłem na targ i kupiłem sobie kilo makaronu. Jedzenia starczyło mi na cały dzień. Byłem szczęśliwy. Następnej nocy ukradłem kolejną pokrywę i rozbiłem ją na kawałki w nikłej poświacie księżyca.

Organizacja powołana do ocalenia młodzieży zmuszała do głodowania.

Z biegiem czasu rozwinąłem swoje umiejętności, kradnąc cokolwiek, co pomogłoby mi przetrwać. (…)

Po kilku tygodniach wszyscy wiedzieli, że stałem się złodziejem. Łatwo można było to wydedukować z ubrania, jakie nosiłem, z faktu, że nie mam rodziny, i z tego, że nadal żyję. Bez rodziny można było przetrwać tylko z pomocą zamożnych krewnych lub dzięki kradzieży. Innych możliwości właściwie nie było, ponieważ z samej żebraniny mogło się utrzymać przy życiu tylko kilku *Kkodżebi*. (…)

•

Policji się nie bałem. Funkcjonariusze zwykle olewali *Kkodżebi*. A kiedy nas nie ignorowali, wręcz pomagali nam kraść. Przestępcy dawali miejscowemu komendantowi karton papierosów albo trochę gotówki za to, że ich nie aresztował. Więc policjantom zależało wręcz na zawarciu znajomości ze złodziejami dobrymi w swoim fachu.

Nie, najbardziej bałem się Saro-cheongu.

Saro-cheong to Północnokoreański Wydział do spraw Młodzieży, który zajmował się młodocianymi w wieku od 14 do 28 lat – ich opieką socjalną, edukacją szkolną i zachowaniem. W każdym dużym mieście w kraju stał duży gmach, zwykle z cegły, wysoki na cztery czy pięć pięter. Była to siedziba Saro-cheongu. Nawet gdy w wieku 18 lat szło się do wojska, nadal „należało się" do tej instytucji,

eprasa.pl 5fa83ab64c

Autor na spotkaniu TedGlobal w 2013 r.

która po prostu wypożyczała armii młodego człowieka na określony czas. Saro-cheong był prawdziwym panem młodych ludzi.

Łatwo sobie wyobrazić, jaką katastrofą byli dla urzędników Saro-cheongu *Kkodżebi*. Wydział miał za zadanie czuwać nad młodzieżą narodu i dbać o to, by jego podopieczni wyrośli na dobrych, lojalnych obywateli. Ale na ulicach miast znajdowały się tysiące młodych ludzi, którzy nie mieli rodziny ani pracy, nie pałali miłością do swojej socjalistycznej ojczyzny ani do Saro-cheongu. Dla tej instytucji byliśmy brudną, złodziejską obrazą.

Raz na jakiś czas urzędnicy Saro-cheongu robili obławę na nas, sieroty. Oczyszczali ulice z *Kkodżebi* i zaganiali nas do opuszczonych bloków mieszkalnych, gdzie nas karmili i pilnowali.

Można by pomyśleć, że było to wybawienie. Dach nad głową i jedzenie za darmo! Ale posiłki w ośrodkach Saro-cheongu były okropne: wodnista zupa lub robaczywa kasza, a porcje jednego i drugiego zawsze za małe. Wielokrotnie dzieciom nie dawano do jedzenia dość, by przeżyły, i zamykano je w pomieszczeniach z oknami zabitymi deskami, gdzie powoli umierały. Nie wolno było opuścić ośrodka i pójść na targ, żeby kupić coś dodatkowego do jedzenia. Można było spożyć tylko tyle kalorii, ile dał Saro-cheong. Organizacja powołana rzekomo przez władze do ocalenia młodzieży w rzeczywistości zmuszała do głodowania. Chodziło tylko o to, żeby *Kkodżebi* zeszli wszystkim z oczu i wyzdychali. (…)

Innym elementem programu wydziału do spraw młodzieży było posyłanie nas do zwyczajnych szkół. Tego bezdomne sieroty nie lubiły jeszcze bardziej niż podłego żarcia.

(…) Gdy byłem w czwartej klasie, zanim ojciec poważnie się rozchorował, do szkoły przyszedł jeden *Kkodżebi*. Traktowaliśmy go okropnie. Nikt z nim nie rozmawiał. Nikt nie zapraszał go do zabawy. Najgorsze były dla niego zawody sportowe. Uczniowie czekali na te imprezy cały rok, można było brać udział w rozmaitych wyścigach, grach i zabawach. Zakładało się ubiór najbardziej zbliżony do stroju sportowego, na jaki było danego dzieciaka stać; północnokoreańskie matki oszczędzały cały rok po to, by odłożyć trochę grosza na w miarę porządne ubranie na te ważne sportowo i towarzysko okazje. Mamy przygotowywały też lub kupowały w sklepie smakołyki dla swoich pociech, aby te mogły zanieść je do szkoły i poczęstować koleżanki i kolegów.

Mały *Kkodżebi* zjawił się na pierwszych zawodach w swoich zwykłych łachmanach. Nie miał żadnych przekąsek, którymi mógłby kogokolwiek poczęstować, więc każde z nas, pozostałych dzieci, musiało nałożyć mu na talerz po łyżeczce własnego jedzenia. Chłopak wpatrywał się w ziemię, podczas gdy jego talerz wędrował po klasie, a my niechętnie dzieliliśmy się z nim swoimi smakołykami. Może wydaje się, że to nic takiego, ale większość dzieci w Korei Północnej wolałaby raczej umrzeć z głodu, niż doświadczyć takiego upokorzenia.

Wiedzieliśmy, że nasze życie to katastrofa, ale nie chcieliśmy, żeby się nad nami litowano.

Saro-cheong w Hoeryŏngu nie działał z czystej dobroci serca. Jego „humanitarna" misja była pretekstem dla znacznie mniej niewinnej działalności: sprzedaży taniej siły roboczej. Jego urzędnicy zarabiali na boku, wykorzystując darmową pracę – naszą darmową pracę.

Jeżeli ktoś był za stary, by iść do szkoły, lub nawet gdy był jeszcze w wieku szkolnym, kierownictwo domu Saro-cheongu wysyłało młodego bezdomnego na roboty. Czasami praca polegała na dokonywaniu rozmaitych napraw w siedzibie wydziału. (Jeśli kiedykolwiek zdarzy wam się zobaczyć gmach Saro-cheongu w Hoeryŏngu, wygląd jego zewnętrznych murów to w jakiejś części dzieło moich rąk. Pewnego razu przez wiele dni nosiłem beton i pomagałem zalepiać dziury w fasadzie tego koszmarnego budynku). Najczęściej jednak szło się pracować dla znajomego lub krewnego dyrektora miejscowego Saro-cheongu. Zamiast zatrudnić prawdziwych robotników, którzy oczekują prawdziwego wynagrodzenia, znajomy mówił komuś z kierownictwa wydziału: „Przyślij mi dziesięciu *Kkodżebi*". Tydzień później to urzędnik, a nie *Kkodżebi*, otrzymuje zapłatę, podczas gdy znajomy ma przy domu nową dobudówkę.

Wiedzieliśmy, że nasze życie to katastrofa, ale nie chcieliśmy litości.

Wiedzieliśmy, że jesteśmy wyzyskiwani, lecz właściwie pojęcie wyzysku w Korei Północnej nie istniało. Tak po prostu urządzony był świat. (…)

Tytuł, skróty i ilustracje pochodzą od redakcji

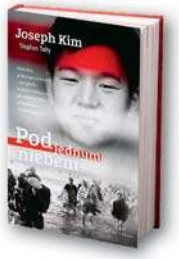

Fragmenty książki Josepha Kima i Stephana Talty'ego *Pod jednym niebem*, tłum Jan Hensel, Prószyński i S-ka, Warszawa 2016

FOT. YOUTUBE.COM (2), BLOG.TED.COM

eprasa.pl 5fa83ab64c

NOBEL DOBREGO HUMORU

Za badania, które najpierw śmieszą, a później zmuszają do myślenia

Tomasz Borejza

„Tegoroczną nagrodę w dziedzinie chemii otrzymuje… Volkswagen", ogłosił prowadzący wrześniową galę magazynu „Improbable Research" („Nieprawdopodobne Badania"), która odbyła się w wypełnionym po brzegi budynku Harvard Hall. Wśród gości było liczne grono laureatów Nagrody Nobla, a wszyscy mogli usłyszeć, że niemiecka firma została uhonorowana za „rozwiązanie problemu nadmiernych emisji zanieczyszczeń samochodowych, przez automatyczne, elektromechaniczne produkowanie ich mniejszej ilości, zawsze kiedy samochód jest testowany".

Ta nagroda to Ig Nobel, coś, co uważa się za naukowy odpowiednik Złotych Malin przyznawanych najgorszym filmowcom. Jednak takie jej postrzeganie to tylko część prawdy. Rzeczywiście organizatorzy corocznej gali, którą zaszczycają tuzy naukowego świata, biorą na cel prace absurdalne. Dlatego w 2013 r. w dziedzinie psychologii wyróżniono pięcioro naukowców, którzy udowodnili, że kiedy ludzie są pijani, uważają się za atrakcyjniejszych, niż gdy są trzeźwi. A w tym roku w dziedzinie literatury – Fredrika Sjöberga, autora trzytomowego dzieła o przyjemnościach zbierania much już martwych i takich, które martwe dopiero będą.

Podczas ubiegłorocznej gali nagrodzono zespół, który w Georgia Institute of Technology pod kierunkiem Jerome'a Choo dokonał ważnego odkrycia. „Czy widzieliście kiedyś, jak sika panda, koza albo słoń?", pytał publiczność naukowiec, który zawiesił sobie na szyi deskę klozetową. I tłumaczył, że wszystkie ssaki ważące więcej niż 3 kg – a wie dobrze, bo ustalił to w badaniach – opróżniają pęcherz w ok. 21 sekund. Bo wprawdzie duże ssaki mają duży pęcherz, a małe mały, ale u tych dużych strumień moczu też jest większy.

A skoro już jesteśmy przy badaniach błahych, warto wspomnieć, że na tej samej gali nagrodę odbierała biolożka ewolucyjna Sara Lewis, która dzięki wieloletnim badaniom ustaliła, że samice świetlików preferują samce lepiej wyglądające i lepiej odżywione. „Piękno – widzimy je i lubimy je", skomentował noblista z 2004 r. Frank Wilczek, który wręczał jej trofeum, tradycją gali jest bowiem udział w niej laureatów prawdziwego Nobla.

POKOJOWY NOBEL DLA ŁUKASZENKI

Jednak od 1991 r., kiedy po raz pierwszy rozdano Ig Noble (nazwa to kombinacja słów *ignoble*, ang. niegodziwy, i Nobel), charakter tej nagrody się zmienił. Za pierwszym razem chodziło o pokazanie badań, których „nie powinno się powtarzać". Dziś organizatorzy zaczęli korzystać z zainteresowania, które wzbudzili, i wymierzają ostrze satyry także w sprawy ważne – patrz wspomniana nagroda dla Volkswagena lub uhonorowanie homeopatów w dziedzinie medycyny.

Albo pokojowy Ig Nobel dla Aleksandra Łukaszenki za to, że władze Białorusi zabroniły ludziom klaskać, bo ci organizowali „klaszczące protesty". I dla białoruskiej milicji, która za klaskanie zamknęła w areszcie jednorękiego mężczyznę. Pokojową nagrodę dostał też Jacques Chirac, który 50. rocznicę zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę uświetnił testami broni jądrowej na Pacyfiku. Oprócz nich wyróżniono japońskiego wynalazcę elektronicznego tłumacza ludzko-psiego, który miał przekładać szczekanie na japoński, ale nie działał. Doceniono jednak intencje – zbliżenie gatunków.

Laureatka Ig Nobla i jej stanik, który może służyć jako maseczka.

BAWIĄ, BY UCZYĆ

Szybko dostrzeżono, że oprócz badań naprawdę błahych są również prace jedynie z pozoru nieistotne. Dlatego nagrody zaczęto przyznawać także za takie, które „najpierw śmieszą, by później zmusić do myślenia", lub okazują się praktyczne. Jeden z Ig Nobli powędrował do trzech lekarzy, którzy na łamach czasopisma dla ratowników medycznych opisali, jak najłatwiej uwolnić penis, kiedy ten utknie w rozporku. Zabawne? Tylko kiedy nie dotyczy was. W przeciwnym wypadku jest to wiedza bezcenna. Tym bardziej że – jak podkreślali autorzy nowej techniki – personel medyczny na ogół nie jest do takiego zadania przygotowany i próbując pomóc, wyrządza niekiedy nieodwracalne straty.

Podobna tematyka zresztą powraca. W 2013 r. nagroda powędrowała do lekarzy z Tajlandii, którzy poświęcili się opracowaniu najlepszych metod przyszycia

eprasa.pl 5fa83ab64c

amputowanego męskiego członka. Zarekomendowali w niej kilka skutecznych sposobów możliwych do zastosowania – z wyjątkiem sytuacji, „gdy penis został częściowo zjedzony przez kaczkę". Wtedy to już nic nie pomoże.

Rzecz bawi, ale nie Tajów. Tam od lat kultywowany jest bolesny dla mężczyzn zwyczaj. Żony niewiernych mężów czekają, aż ci zasną, by pozbawić ich narzędzia, za pomocą którego grzeszyli przeciw monogamii. I nie chodzi wcale o pojedyncze przypadki – można wręcz mówić o epidemii. Dlatego trudno sobie wyobrazić, by Tajowie jakiekolwiek badania mogli uznać za istotniejsze. Ten, którego członek żona nie tylko odcięła, ale jeszcze rzuciła głodnym kaczkom, miał wyjątkowego pecha.

Jerome Choo, specjalista od sikających ssaków, odbiera nagrodę z rąk Dudleya Herschbacha, noblisty w dziedzinie chemii.

OJCIEC 888 DZIECI

W ogóle kwestie seksu są poruszane na gali regularnie, bo niewiele rzeczy wydaje się równie niepoważnych. Właściwie samo słowo seks wywołuje uśmieszek. Pewnie dlatego jednego z Ig Nobli w dziedzinie biologii otrzymali badacze z brytyjskiego St. Andrews, którzy na łamach „British Poultry Science" donosili, że obecność ludzi pobudza seksualnie strusie. Wyniki były dobrze udokumentowane i oparte na długich badaniach. Choć przyszły za późno.

Za późno, bo wkrótce po publikacji i tak upadły niemal wszystkie hodowle strusi na Wyspach. A to dlatego, że od pewnego czasu ptaki nie chciały się rozmnażać. Biolodzy z St. Andrews ustalili przyczynę – otóż strusie przestały się interesować innymi strusiami, a zaczęły skupiać na ludziach. To ich obecność pobudzała ptaki i to z nimi chciały płodzić potomstwo. Diagnoza niestety – zwłaszcza dla hodowców strusi – nie zdążyła się przełożyć na rozwiązania.

W dziedzinie biologii pojawili się zresztą i tacy badacze, którzy przypominają o heroicznym okresie rozwoju medycyny. O czasach, kiedy odkrywcy i wynalazcy testowali pomysły na sobie, nierzadko z tragicznym skutkiem. Michael J. Smith został wyróżniony za to, że poddał się 25 pszczelim użądleniom, by określić, jakie części ciała bolą po nich mniej, a jakie bardziej. Okazało się, że najmniej bolą czaszka, przedramię i palce u nóg. Najbardziej nozdrze, górna warga oraz penis. Oczywiście.

Ciekawe były badania, za które nagrodzono parę biologów ewolucyjnych w dziedzinie matematyki. Elisabeth Oberzaucher oraz Karl Grammer postanowili podjąć się badań interdyscyplinarnych i wykorzystać swoje umiejętności, by pomóc historykom. Mulaj Ismail Krwawy rządził w Maroku na przełomie XVII i XVIII w. i jak głosi legenda, spłodził aż 888 potomków. Nagrodzeni policzyli, czy to możliwe, by jeden mężczyzna miał tyle dzieci. Otóż możliwe – pod warunkiem odbywania co najmniej jednego stosunku dziennie oraz dostępu do haremu złożonego z od 65 do 110 kobiet. Harem Mulaja liczył ich 500.

Wiedza może nie należy do gatunku niezbędnych, ale kto nie lubi historycznych ciekawostek?

OD IGNOBLISTY DO NOBLISTY

Poza tym kto z nas nie lubi wiedzieć czegoś lepiej niż inni? Amerykanie wierzą, że gdy jedzenie spadnie na ziemię, można je bezpiecznie wziąć do ust, jeżeli zostanie podniesione w ciągu pięciu sekund, bo bakterie nie zdążą na nie wejść. Jillian Clarke obaliła tę teorię. Tak uchroniła tysiące dzieci i dorosłych przed zatruciem pokarmowym i zyskała wyróżnienie w dziedzinie zdrowia publicznego. Na tym samym polu nagrodzono Elenę Bodnar z Chicago, która opracowała specjalny stanik. W razie potrzeby można go zdjąć i szybko zmienić w ochronną maseczkę na twarz. A właściwie w dwie, bo drugą miseczką można się podzielić z potrzebującym. Śmieszne? Być może. Ale tylko wtedy, kiedy nie mieszkacie w Krakowie. Bo tu nigdy nie wiadomo, kiedy będzie potrzebna maseczka antysmogowa.

Wyjątkowo interesujące były badania, które przyniosły autorom tegoroczną nagrodę w dziedzinie medycyny. Christoph Helmchen wstrzykiwał uczestnikom pod skórę substancję wywołującą swędzenie, kazał im patrzeć w lustro i drapać się. Okazało się, że jeżeli kogoś swędzi lewa strona ciała, ale patrząc w lustro, drapie prawą, też odczuwa ulgę. I odwrotnie. O ile, podkreślmy, patrzy w lustro. Badania z pozoru niemające sensu potwierdziły siłę działania neuronów lustrzanych, tej części mózgu, która odpowiada m.in. za współodczuwanie bólu oraz radości.

W dziedzinie literatury wyróżniono autora trzytomowego dzieła o przyjemnościach zbierania martwych much.

Choć Helmchen raczej nie otrzyma za swoje dokonanie Nobla, nie znaczy to, że ignoblista nie może zostać noblistą. Na razie zdarzył się tylko jeden taki przypadek. Andriej Gejm w 2000 r. odebrał Ig Nobla z fizyki za badania nad wykorzystaniem magnesów do lewitacji. Za pomocą prostej zabawki dla dzieci spowodował, że żaba zaczęła latać. 10 lat później w Sztokholmie Rosjanin odbierał Nagrodę Nobla jako jeden z twórców grafenu. Dziś jest członkiem Royal Society. ■

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, WWW.HARVARDMAGAZINE.COM

eprasa.pl 5fa83ab64c

Serio i półżartem

1. **Silni i wrażliwi.** Siłacze zachęcają do adopcji na kartach kalendarza „Psiarelli" Fundacji Viva! Zdjęcia: Taida Tarabuła/Foto-Psy.pl.

2. **Jesteśmy tym, czym żyjemy.** Bohaterami kalendarza Lavazza są członkowie małych lokalnych społeczności, których życie toczy się wokół zasobów naturalnych. Zdjęcia: Denis Rouvre.

3. **Bez makijażu i retuszu.** Sławne aktorki dla kalendarza Pirelli sfotografował Peter Lindbergh.

4. **Koniec ze średniowieczem! Rozbieramy Panią Śmierć!** Taki wizerunek kostuchy kreuje firma Lindner, największy w kraju producent trumien. Realizacja zdjęć: Studio Fotograficzne Kotłownia.

eprasa.pl 5fa83ab64c

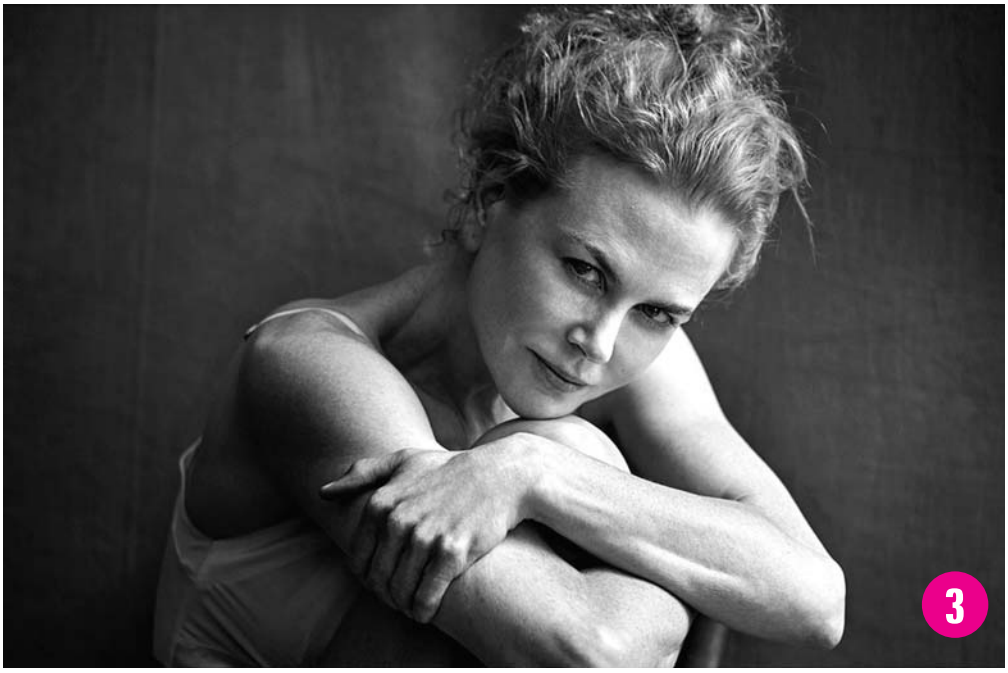

5. Wioślarki zachęcają do kupna. Dochód ze sprzedaży kalendarza żeńskiej drużyny klubu Warwick Rowers zasili budżet Macmillan Cancer Support – organizacji wspomagającej chorych na raka.

6. Dumni ze swoich ciał. Część dochodu ze sprzedaży kalendarza wioślarzy klubu Warwick Rowers zasili organizację Sport Allies, która walczy z homofobią w sporcie.

7. Kobiecy biust – męska sprawa. Pod tym hasłem crossfitowcy z Trójmiasta zachęcają mężczyzn do dbania o to, żeby ich kobiety regularnie badały piersi. Zdjęcia: Jan Górczak.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 5fa83ab64c

Paweł Drąg
Korespondencja z Ekwadoru

KOGUTY MAJĄ ŻYCIE FUTBOLISTÓW

NIELEGALNE WALKI W MIEŚCIE BEZPRAWIA

Kolejne uderzenia raz za razem przecinają powietrze. Rywale są w takim szale nienawiści, że nie dają rady wymierzać celnych ciosów. Przypomina to nawalankę przed sklepem, a nie bój zawodowców, którym dziś kibicuje jakieś 70 osób. W końcu czarny jak smoła kogut trafia w głowę drugiego. Rywal jest zamroczony, ale nie zamierza się poddawać. Rozgorączkowani emocjami Ekwadorczycy szaleją bardziej niż ptaki.

W hangarze czuć zaduch spoconych ciał. Jest słabe światło, morze wódki trzcinowej płynącej dziś litrami, naćpani mężczyźni, a także my. Pośrodku zdarzeń, niechciani bohaterowie, którzy nie powinni tu się znaleźć. Tego było nam trzeba przed powrotem do Polski.

KILKA MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

Jest ciemna noc w Ventanas. Trwa kolorowy karnawał. Wracamy w trójkę rozweseleni kilkoma piwami *light* z lokalu oddalonego o 200 m od naszej piwnicy, roboczo nazywanej mieszkaniem. W innych miejscach tego typu staramy się nie bywać. Tu jest najbezpieczniej, ponieważ bar prowadzą nasi znajomi.

Zatrzymuje nas nietypowo zachowujący się chłopak. Jest impulsywny, głośny, bez powodu wybucha śmiechem. Nazywa nas swoimi przyjaciółmi, mimo że widzimy się po raz pierwszy w życiu. Próbuje poklepać mnie po plecach. Podejrzewam, że może być naćpany, ale nie mówię o tym, nie chcąc wywoływać paniki. Kiedy przyśpieszamy, on robi to również. W końcu rzuca, że chce dolara. Nie zamierzam mu go dawać, mimo że radzono nam wielokrotnie, by w takich sytuacjach nie dyskutować. Chłopak powtarza żądanie. Każę mu odejść. Znika niepocieszony, ale tylko na chwilę. Wraca, gdy jesteśmy kilkanaście metrów od mieszkania. Wyjątkowo w pobliżu nie ma dziś nikogo. Alkohol uśpił naszą czujność. Nie powinniśmy pozwolić na to, by obcy dowiedział się, gdzie jest nasze lokum. Tymczasem on wyjeżdża na motorze na wprost nas i kieruje się bezpośrednio na koleżankę, jakby chciał ją przejechać. Wyciąga rękę i próbuje wyrwać jej torebkę. Daremnie, bo ona odskakuje gwałtownie w bok. Napastnik krzyczy coś, ale nie rozumiemy go. Pośpiesznie otwieramy lichą kłódkę i wskakujemy do mieszkania.

Nie chcemy rozmawiać o tej sytuacji, wolimy zostawić ją za sobą. Tak w Ameryce Południowej reagujemy na trudne chwile. Tego nauczyło nas nowe życie – wymazywania i zamazywania. Każdy wchodzi do swojego pokoju. Ja, kierowany przeczuciem, decyduję się zgasić wszystkie światła w przedpokoju i w ciemności siadam przy kuchennym stole. Czekam.

Po kilkunastu minutach wraca. Słyszę, jak otwiera okno, ale napotyka na przeszkodę w postaci kraty. Gdyby miał broń palną, bez problemu mógłby potraktować mnie jak myśliwy kaczkę. Nawet strzelając na oślep, w końcu by mnie trafił.

Rzucam się do okna, rozsuwam je jeszcze mocniej i zaczynam na niego wrzeszczeć. Emocje powodują, że mieszam słowa polskie z hiszpań-

eprasa.pl 5fa83ab64c

skimi. Na zmianę wyrzucam z siebie, że zaraz wezwę policję, wyzywam go na solówkę, kończąc na tym, że za chwilę go połamię. Obok mnie stoi już mój towarzysz, który nie za bardzo wie czy mnie uspokajać, czy zająć się intruzem. Ekwadorczyk tymczasem przysłuchuje się temu z niezmąconym spokojem. W końcu napotyka mój wzrok, po czym kieruje swój palec na szyję, wykonując charakterystyczny gest podrzynania gardła. Robi to, nie odrywając wzroku od moich oczu. W końcu odwraca się i nieśpiesznie odchodzi.

Dopiero rano dociera do mnie, co zrobiłem, w jakim kraju i w stosunku do kogo. Od tego momentu wszyscy zaczynają się o mnie bać i namawiają, bym przez jakiś czas nie wychodził z domu. Nie mogę tego zrobić. Mam pracę, w której jestem potrzebny.

Kilka najbliższych tygodni będzie czasem strachu, do którego się nie przyznam. To Ekwador. Tutaj takie pogróżki muszą być traktowane poważnie.

EKWADOR: TU POGRÓŻKI MUSZĄ BYĆ TRAKTOWANE SERIO.

ODDECH PRZYGODY

Mijają miesiące, jestem już prawie półtora roku w Ekwadorze, zbliża się termin powrotu do Polski. Jeżdżę po całym kraju, kolekcjonując wszelkie możliwe doznania. Zdobywam wulkany, mierząc się z wysokością ponad 5 tys. m n.p.m., penetruję Amazonię w rejonach, gdzie nie sposób spotkać człowieka, szukam kajmanów, łowię piranie, które niemal pozbawiają mnie palca, podczas potężnej ulewy skaczę z wysokości kilkunastu metrów do rwącej zatoki, wlewam w siebie najbardziej halucynogenny środek świata, poddaję się magii szamana, piję krew smoka, choruję na dengę, odwiedzam niezamieszkane wyspy, oglądam wieloryby, delfiny. Robię wszystko. Tak właśnie, wszystko. Oddycham przygodami.

W końcu dowiaduję się, że w „moim" miasteczku organizowane są nielegalne walki kogutów. Od tej chwili myślę tylko o tym, żeby je zobaczyć na własne oczy. Biali nie mają tam wstępu, ale ja i moi znajomi nie zamierzamy się tym przejmować. Szybko dowiadujemy się, kto jest bywalcem tego miejsca. Obwoźny sprzedawca słodkich napojów i cukierków. Długo przekonujemy go, by pozwolił nam ze sobą iść. Odradza, twierdząc, że to zabawa dla miejscowych łobuzów. Podobno wszyscy są tam naćpani albo pijani, a z każdą minutą robi się coraz gorzej. Ale ostatecznie się zgadza. Umawiamy się następnego dnia wieczorem.

Mijają długie minuty oczekiwania. Topnieje nasz entuzjazm i wiara w to, że dziś przeżyjemy kolejną przygodę. Facet nas olał.

Kolejnego dnia żalimy się wiekowemu znajomemu Adolfo, a on oznajmia, że jutro się tam wybierzemy. Wiemy, że nas nie oszuka. Wtedy też przychodzi pierwsza refleksja, czy jest sens aż tak ryzykować, kiedy jesteśmy już jedną nogą w Polsce.

WALKA O ŻYCIE

Pędzimy *treximoto*, pojazdem podobnym do indyjskiej rikszy, na drugi koniec miasta. Docieramy przed zwykły, odrapany budynek, niczym nieróżniący się od wielu innych tutaj. Ale czego w zasadzie się spodziewaliśmy? Baneru witającego gości? Soczystego „kukuryku" na powitanie?

Jest i pierwsza niespodzianka. Wejścia strzeże właścicielka przybytku, która interes przejęła po zmarłym mężu. Przeszło 80-letnia staruszka przez cały wieczór nie opuszcza nawet na moment swojego hamaka. Jedyne, co robi, to wyciąga drżącą dłoń, do której każdy musi włożyć dolara. To wejściówka, ale biletów nie będzie. Babcia skinieniem głowy pozwala nam wejść, choć przez chwilę uważnie śledzi jedyną kobietę z naszego towarzystwa. Jak się później okaże, w całym przybytku będą może trzy-cztery panie. To nie jest rozrywka dla nich.

Za drzwiami prowizorycznie sklecona z desek arena, pośrodku twarda, ubita wieloma pojedynkami ziemia. Wokół kłębi się tłum mężczyzn, którzy spoglądają na nas z nieskrywaną niechęcią. Chyba jedyne, co ich powstrzymuje przed wywaleniem nas,

TO POWAŻNY SPORT, A NIE JAKAŚ ZABAWA – WYJAŚNIA WŁAŚCICIEL KOGUTÓW.

eprasa.pl 5fa83ab64c

KTO POSTAWIŁ PIENIĄDZE, MOŻE KOGUTA DOTKNĄĆ, POGŁASKAĆ, POSKUBAĆ, ZAJRZEĆ MU W OCZY.

to ciekawość i to, że towarzyszy nam szanowany w mieście starszy pan.

Po paru chwilach orientuję się, że popełniłem gigantyczny błąd. Mam na sobie koszulkę Barcelony Guayaquil, ubóstwianej przez połowę miasteczka. Druga połowa kocha Emelec, którego kibice zjawili się dziś na walkach w większej liczbie. Nie dość, że jestem biały (czytaj: nieproszony gość), to jeszcze prowokuję ubiorem. Brawo ja!

Większość mężczyzn dzierży w dłoni butelkę piwa, wielu wygląda, jakby byli pod wpływem narkotyków. Niektórzy piją z gwinta wódkę z trzciny cukrowej. W pomieszczeniu panuje potworny gwar i zaduch, w którym mieszają się zapach ptaków i potu. Najbardziej jednak zdumiewa nas widok policjantów, którzy przechadzają się z kałachami wokół areny. Jak nam wytłumaczono, mimo że impreza jest nielegalna, to za drobną opłatę strzegą tu porządku. Zazwyczaj takie wieczory kończą się praniem po pyskach lub machaniem nożami, wtedy potrzebna jest ich interwencja.

W końcu na arenie pojawia się dwóch mężczyzn trzymających koguty. Publika wiwatuje. Zaczyna się długa zapowiedź pełna egzaltacji, emocji, ochów i achów. Następnie koguty są drażnione. Mężczyźni krążą wokół siebie, tak by kogutom zaczęło się kręcić w głowach. Celowo zderzają je ze sobą łbami i dziobami, aby tylko w tych niewielkich stworzeniach obudziły się bestie. Udaje im się. Koguty zostają wypuszczone na bój. Zaczyna się zażarta walka.

ZWYCIĘSTWO OGŁASZANE JEST, KIEDY JEDEN Z KOGUTÓW PADA MARTWY LUB ZACZYNA UCIEKAĆ PRZED RYWALEM.

Nam tymczasem udzielona zostaje krótka lekcja regulaminu. Przed samą bitwą każdy, kto postawił pieniądze na wygraną, może swojego faworyta dotknąć, pogłaskać, poskubać, zajrzeć mu w oczy. Jest także obecny przy ceremonii ważenia. Wtedy zazwyczaj podejmowane są decyzje, jaką kwotę zamierza się przeznaczyć na konkretnego ptaka. Pojedynek zwyczajowo trwa 10 minut. Kiedy żaden kogut nie wygra, jest remis, który nikogo nie satysfakcjonuje i często jest przyjmowany buczeniem. Chyba że ktoś obstawi właśnie taki wynik. Zwycięstwo ogłaszane jest, kiedy jeden z kogutów pada martwy lub zaczyna uciekać przed rywalem. Jeśli w ciągu pierwszych 20 sekund jeden z kogutów skapituluje, właściciel zwycięzcy otrzymuje od przegranego tysiąc dolarów. Kwotę w tym kraju kosmiczną. – No, mają życie futbolisty. Trzy dni treningu i walk, wolne, później znowu to samo. To jest poważny sport, a nie jakaś zabawa – wyjaśnia jeden z właścicieli kogutów.

Ptaki zawzięcie skaczą sobie do dziobów, szamoczą skrzydłami, atakują się w szaleńczym, nieprzerwanym rytmie. Publiczność spazmatycznie krzyczy, ktoś rzuca butelką o ścianę i zaraz dostaje po głowie od sąsiada. Opiekunowie kogutów krążą wokół nich, plując i wykrzykując sugestywne hasła: – Spokojnie, odpoczywaj! Oszczędzaj siły, k..! Teraz, teraz! Jest już twój!

Tymczasem czuję świdrujące spojrzenie. Odwracam głowę w poszukiwaniu ciekawskiego. Stoi kilka metrów ode mnie, razem z kolegami. To mężczyzna, który kilka miesięcy temu próbował na nas napaść, a mnie groził gestem poderżnięcia gardła. Patrzy na mnie tak jak wtedy. Zimno, bez emocji. Nie robię nic poza odwzajemnianiem spojrzenia. Trwa to zdecydowanie za długo. Wiem, że mnie poznał. W końcu obaj spuszczamy wzrok i niespiesznie kierujemy go w stronę areny. Tam trwa już kolejny pojedynek. Moi towarzysze nawet się nie zorientowali, że przed chwilą działo się coś, co może zaważyć na naszym życiu.

Po kilku chwilach pojawia się obok jakiś mężczyzna, który szepcze coś na ucho Adolfo. Ten spogląda na nas przestraszony, cedząc niewyraźnie przez zęby: – Mamy się stąd wynieść. Dla naszego dobra jak najszybciej…

Uciekamy.

Paweł Drąg

FOT. PAWEŁ DRĄG

eprasa.pl 5fa83ab64c

TĘPY ŚWIĄTECZNY DYŻUR

TĘPY ŚWIĄTECZNY DYŻUR

Nigdy nie zapomnę pana profesora Krzysztofa Bieleckiego (PRZEGLĄD nr 51/2016). Pomógł mi w jednym z najtrudniejszych momentów w życiu.

Początek lat 80., ciężka choroba mojej mamy, trudności w przełykaniu (potem okazało się, że to rak przełyku), konieczność zrobienia przetoki do żołądka. Zabieg wykonywał pan profesor. Pracował wtedy w szpitalu bielańskim. Byłam załamana i przerażona, a pan profesor okazał mi wiele serdeczności i ciepła. Do dziś pamiętam, co powiedział, kiedy podawałam mu rękę: „Piękne żyły do kroplówki". Zrobiło mi się weselej. Prof. Bielecki to wspaniały lekarz i mądry, szlachetny, kochany człowiek o wielkim sercu. Kilka razy udało mi się usłyszeć z nim rozmowy w radiu, a teraz z prawdziwym wzruszeniem przeczytałam wywiad, który był dla mnie prezentem świątecznym. Proszę o przekazanie panu profesorowi moich pozdrowień i jak najserdeczniejszych życzeń. *Joanna Wdzięczna*

MINISTROWIE I PREMIER MNIE OBRAŻAJĄ

Panie komendancie policji, nie jestem i nie byłam esbeckim oprawcą. Kiedy po raz pierwszy wchodziłam do gmachu przy ul. Puławskiej 148/150, a było to 24 listopada 1986 r., nie przypuszczałam, że 30 lat później ktoś mi powie, że jestem zbrodniarzem, pracowałam dla Moskwy i mam krew na rękach. Zawsze, także wtedy, miałam legitymację funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej, a potem policji. Jestem tylko byłym specjalistą ds. nieletnich z KRP Warszawa-Mokotów, wcześniej sekretarz-maszynistką w Departamencie Szkolenia MSW. Jestem tylko starszym aspirantem, jestem tylko kobietą. Nigdy nie sprzeniewierzyłam się ślubowaniu-przysiędze funkcjonariusza policji. Ministrowie i premier tego rządu mnie obrażają, odbierają emeryturę wypracowaną w wolnej, podobno demokratycznej Polsce. Co na to pan jako oficer i komendant policji? Czy naprawdę spokojnie śpicie i patrzycie w lustro? Bo ja zachowam twarz i mam swój honor. *Olga Krzyżewska*

SYNDYK SKOK STRASZY

Na mikołajki otrzymałem od likwidatora SKOK Wołomin żądanie zapłaty 630 zł na rzecz masy upadłości tej kasy. Rzeczywiście, byłem kiedyś zwykłym jej członkiem i jak każdy musiałem wpłacać wpisowe. Nigdy nie miałem żadnego wpływu na wybór zarządców Kasy SKOK ani na decyzje, które podejmowali, nie mam też nic wspólnego z dokonanymi tam przekrętami, o których publicznie wiadomo. Jak pisze syndyk, strata bilansowa SKOK Wołomin z 2014 r. wynosi 2 264 215 497,98 zł!

Moje oszczędności złożone w SKOK Wołomin Bankowy Fundusz Gwarancyjny zwrócił mi dwa lata temu i uważałem, że po likwidacji kasy udział członkowski również powinien zostać mi zwrócony. Nie widzę powodów, by dopłacać do przekrętów zarządców kasy. Straszenie mnie i chyba tysięcy ludzi podobnymi pismami syndyka jest skandaliczne i jestem przekonany, że bezprawne. *Jan Rosołowski, Kielce*

WYJAŚNIENIE

W PRZEGLĄDZIE nr 52/2016 w rubryce „Giełda" pojawiła się nieprawdziwa informacja dotycząca danych GUS. W opublikowanym tekście napisano: „150 tys. kobiet, według szacunków GUS, zrezygnowało z pracy zawodowej po otrzymaniu świadczenia 500+". GUS takich danych nie podawał. W Badaniu Aktywności Ekonomicznej Ludności Polski (BAEL) za III kw. 2016 r. znajduje się informacja, że liczba biernych zawodowo kobiet podająca jako przyczynę bierności „obowiązki rodzinne i związane z prowadzeniem domu" wyniosła 1592 tys., a więc w porównaniu z I kw. 2016 r. (kiedy liczba biernych zawodowo kobiet wyniosła 1491 tys.) wzrosła o 101 tys.

Nowa dyscyplina jeździecka – ujeżdżanie konia na drewnie, nie mylić z ujeżdżaniem na oklep. Wycinka lasu w okolicach Sofii.

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 5fa83ab64c

JOLKA

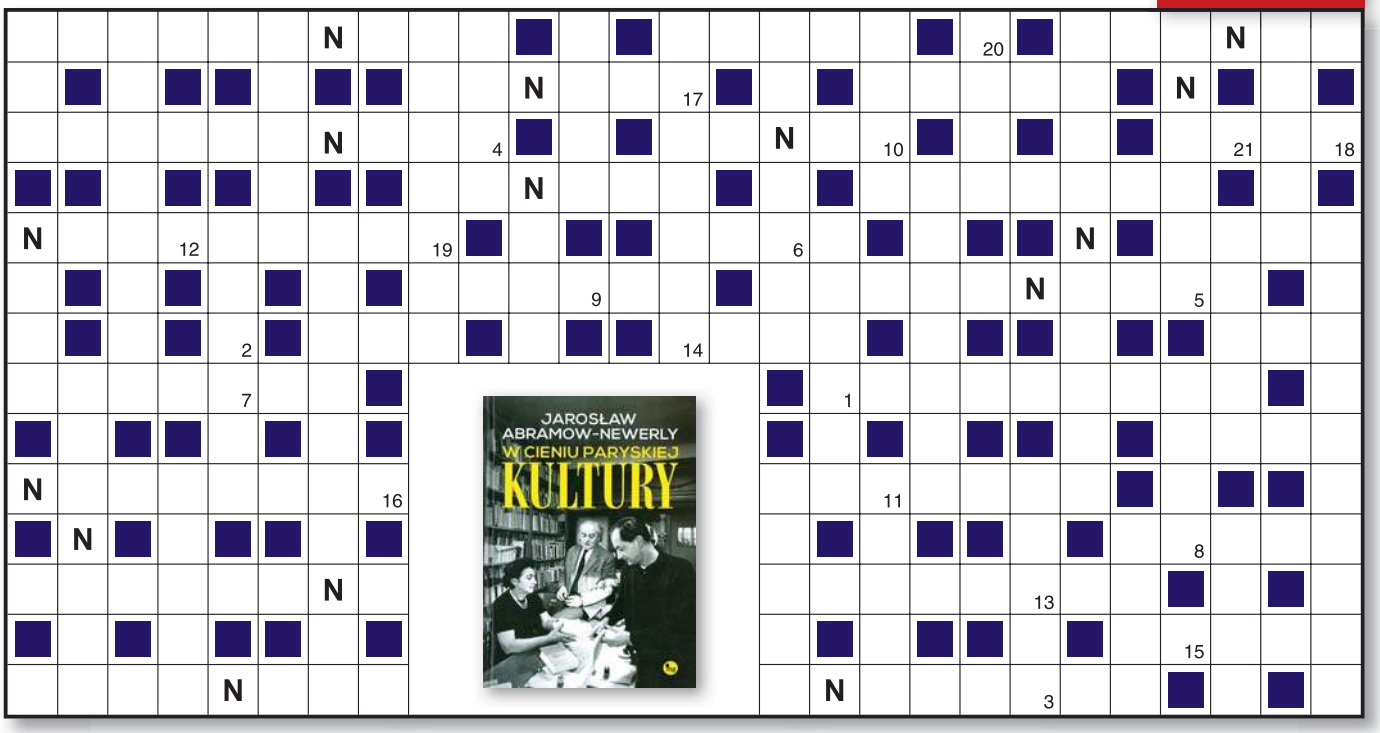

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- sprej
- likier z żółtek
- są osobowe, ziemskie, sądowe
- odkrywa ją, kto wyważa otwarte drzwi
- bez… – mówi się w grze
- podaj ją, śpiewała Trojanowska
- wysoki, sztywny męski kapelusz
- tekst w cudzysłowie
- pilnująca przejazdu kolejowego
- pokazuje je, kto wyprasza
- ścieralne spodnie
- zaraza, plaga
- stadium, tura, faza
- usztywniają staniki, gorsety
- o kobiecie naiwnej, głupiej
- np. Pamięci Narodowej
- wszedł, gdzie go nie chciano
- w nich warzone piwo
- hinduska bogini z czaszkami na szyi
- „karciany" dekolt
- jak śliwka weń się wpada
- myśl, pomysł
- tafla z pękającej pokrywy lodowej
- hamulcowa, holownicza, spadochronowa
- bóstwo Indian z Ameryki Północnej
- wytwarzany przez pszczoły
- świeża informacja prasowa
- oferma, safanduła
- „…sycylijskie" Verdiego
- …na pudy
- zostawianie na później, oszczędzanie
- na przykre wonie
- siedziba greckich bogów
- nałogowe nadużywanie trunków
- zasiali go górale
- stolica nad Sekwaną
- korzysta z płatnego środka lokomocji
- ostra marynata warzywna, np. z ogórków
- rubież
- religijny zakaz jedzenia
- kontyngent, deputat
- sweter wkładany przez głowę
- dawniej porwanie kobiety
- brzeg kapelusika
- ważny w muzyce
- zmysł odbierający wrażenia dźwiękowe
- …ludności lub treści
- był Konstantynopolem
- kopy siana na polu
- miasto z siedzibą rządu
- ostre zakończenie
- na rynku cały… a na Rebece weselny strój
- katowskie narzędzie pracy
- w „Matriksie" towarzyszka Neo
- uchwyt dzbana
- zbieg
- stulecie
- obecny minister sprawiedliwości

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-788". Do rozlosowania książki „W cieniu paryskiej »Kultury«" ufundowane przez wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu. Aby przesłać hasło krzyżówki, trzeba napisać SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI, np. KRPRZ.788.DZIEN DZIECKA. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). SMS-y należy wysyłać pod numer 72037 (płatny 2,46 PLN + VAT) do dnia 8 stycznia 2017 r.
Rozwiązanie „JOLKI-785" z 18 grudnia: *Milczenie nie bawi suflera.*
Nagrody otrzymują: Alina Koziej ze Świdnika, Grażyna Nowak z Krakowa, Jan Skuza z Kielc.

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie" i opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych i prawie do ich poprawiania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS

1. Która choinka ma najwięcej ozdób?
2. Który wyraz łamie zasadę tworzenia nowego?

Masz na to pół minuty.

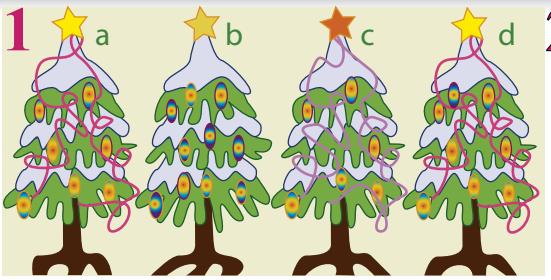

2
barwa
barka
burka
kurka
kurta
karta
tarta
torba
korba
kolba

Rozwiązanie na s. 64

eprasa.pl 5fa83ab64c

SUKCES

JUREK OWSIAK, WIELKA ORKIESTRA ŚWIĄTECZNEJ POMOCY

Nie mam w sobie zadry nawet wobec największych gamoni. Hejterów, polityków też, co straszą, że będą wyciągać konsekwencje wobec tych, którzy zagrają dla Orkiestry. Gamonie to ludzie, którzy po złości chcą przekreślić wszystko, co zrobiliśmy. Między innymi dlatego, że nie lubią mnie, Jurka Owsiaka. Dzięki temu, że długo robiłem w witrażach, miałem przez lata dobre kontakty ze środowiskiem kościelnym. Pamiętam zamówienie od dominikanów we Wrocławiu. Jeden z ojców ostrzegał mnie: jak człowiek robi dobry uczynek, to się diabeł cieszy. Czy więc dobro wróci? Pewnie i tak, ale najpierw cztery razy okrąży kulę ziemską.

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ, REDAKTOR NACZELNY

Rząd chciałby odstrzelić organizacje zajmujące się edukacją obywatelską, promujące demokratyzację, budujące dialog międzykulturowy, uczulające na kwestie praw człowieka i praw mniejszości, rewindykujące równość i ochronę środowiska. Zamiast tego NGO-sy miałyby się stać organizacjami charytatywnymi, których działalność stanowi w istocie świetne alibi dla bierności państwa i pazerności najbogatszych, którzy rzucając im ochłapy, mogą sobie kupować dobry wizerunek i spokój sumienia.

ADAM WAJRAK, PRZYRODNIK, DZIENNIKARZ

W lesie boję się tylko człowieka ze strzelbą. Postrzeleń jest więcej w ciągu roku niż szkód, jakie przez dziesięciolecia wyrządziły człowiekowi groźne zwierzęta. One nie mają powodu, by robić nam krzywdę. Wiadomo, że do puszczy nie wolno wchodzić, gdy ostro wieje, albo gdy jest okiść, czyli jak ciężki śnieg oblepia drzewa. Trzeba być ostrożnym, ale nie znam przypadku, by na kogoś spadło martwe drzewo. Ostatnio kuna przegryzła mi kabel do panelu podgrzewającego wodę. Komu przeszkadza kuna, może wyłożyć kulki na mole. Skutecznie odstraszają, ale gdzie są kuny, nie ma właściwie gryzoni. Znajomy z Białowieży przyjeżdżał do mnie po kunie kupy, najlepsze lekarstwo na szczury.

ANETA KRĘGLICKA, MODELKA, BIZNESWOMAN

Nie lubię gierek, udawania, okłamywania. Zarówno w życiu, jak i w biznesie unikam nieszczerych ludzi. Jeżeli ktoś mnie odrzuca, to zupełnie nie zabiegam o jego aprobatę czy zmianę zdania. Przyjmuję to z honorem i mówię: „Do widzenia". Jestem dokładnie tą samą dziewczyną co 30 lat temu, tylko nabrałam pewności siebie. Wiem też, że naprawdę w każdym wieku mogą się zdarzyć rzeczy nieprawdopodobne. Uważam, że wszystko jeszcze przede mną.

FOT. KYODO/FOTOLINK/EAST NEWS

Próba generalna. Mnisi w Chion-in w Kioto ćwiczą uderzenia w dzwon – trzy metry wysokości, 70 ton wagi – który tradycyjnie ogłasza nadejście nowego roku.

Aby język giętki…

PROF. MAGDALENA ŚRODA O BRAKU ARBITRA
W Polsce nie ma żadnego arbitra. Nie ma prezydenta, a Kościół wstąpił do PiS.

WŁODZIMIERZ CIMOSZEWICZ O MARKU KUCHCIŃSKIM
Bardziej zasługuje na rangę kaprala niż marszałka. Szkodzi powadze parlamentu.

ANDRZEJ SMIRNOW O DONALDZIE TUSKU
Prowadzi politykę wasalną, bezkrytyczną wobec polityki niemieckiej, w znacznym stopniu odpowiedzialnej za europejski kryzys.

KRYSTYNA JANDA O PRZYSZŁOŚCI
Myślę, że będzie to szkodliwy, jałowy i smutny czas. Dla wszystkich. I dla tych, co za i co przeciw.

RADOSŁAW SIKORSKI O SANKCJACH WOBEC ROSJI
Nasze straty gospodarcze spowodowane tymi sankcjami są proporcjonalnie znacznie większe niż straty amerykańskie czy niemieckie.

MATEUSZ KIJOWSKI O PRZYSZŁOŚCI KOD
Nawet jeśli PiS po przegranych wyborach odda władzę, to obywatele powinni patrzeć na ręce kolejnej.

MUNIEK STASZCZYK O LUDZIACH WŁADZY
Po cichu tolerują radykalne poczynania rasistów, nacjonalistów i kiboli.

KATARZYNA BONDA O MĘŻCZYZNACH
Lubię żylastych i wysokich. Nie muszą być przystojni, wystarczy, że ja jestem ładna.

MACIEJ STUHR O JANUSZU GAJOSIE
Jest cichutki, skromny, grzeczny, zawsze się ukłoni, a jak wychodzi na scenę, jest wielki i zbyt inteligentny, by nie zdawać sobie z tego sprawy.

ANITA WŁODARCZYK O BUTACH
Do 100 par trochę brakuje, ale tylko trochę.

MICHAŁ ZADARA O HAŚLE NIEMIECKICH ZIELONYCH
Dopiero jak ostatnie drzewo zostanie zrąbane, ostatnia ryba z ostatniej rzeki zjedzona, człowiek się dowie, że pieniędzy nie można zeżreć.

eprasa.pl 5fa83ab64c

Jedni paradują, drudzy pracują – słoń sumatrzański z Parku Narodowego Way Kambas zażywa kąpieli, słonie tajlandzkie paradują ku czci króla przed Grand Palace w Bangkoku.

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

MADE IN CHINA W BETLEJEM

Pielgrzymi, którzy w okresie świąt Bożego Narodzenia licznie przybywają do Betlejem, mogą mieć problem z kupieniem oryginalnych pamiątek. Kiedyś można było tam dostać ręcznie wykonywane figurki Jezusa czy różańce. Obecnie miejscowe rzemiosło zamiera. W efekcie rynek dewocjonaliów opanowały chińskie produkty.

O PODWYŻKĘ DO MIKOŁAJA

Konfederacja Niezależnych Związków Zawodowych w Bułgarii wyszła z inicjatywą, by zamiast życzeń świąteczno-noworocznych pracownicy wysłali swoim szefom kartki z hasłem: „Chcę podwyżki, zasługuję na dodatkowe 100 lewów do swojej płacy". 100 lewów to równowartość 50 euro. Nie wiadomo, czy szefowie – jak święty Mikołaj – spełnią ich marzenia.

NIETYPOWE ROSZCZENIA

Koniec roku to czas podsumowań. Firmy ubezpieczeniowe wspominają najdziwniejsze zgłoszenia i odszkodowania. I tak AXA Art wypłaciła odszkodowanie za uszkodzony eksponat na wystawie sztuki nowoczesnej, który był miską z deszczówką, Ergo Hestia – za niedopałek papierosa znaleziony w mrożonych warzywach, a Link4 za trzodę chlewną, która rozbiegła się po lesie po wypadku pojazdu ją przewożącego.

PSYCHOLOGIA NA CO DZIEŃ

CO LUBI TWÓJ MÓZG, A CZEGO POWINIENEŚ SIĘ WYSTRZEGAĆ

Można do późnego wieku utrzymać mózg w dobrej formie, jeśli uwzględnimy jego potrzeby. Oto kilka jego upodobań.

- Nasz mózg lubi wyzwania, a nie znosi rutyny. Wyzwanie wymaga rosnącego poziomu trudności lub wypróbowywania czegoś nowego. Stymulacja umysłowa wzmacnia połączenia między neuronami, pozwala również budować rezerwę poznawczą. Potrzebnej stymulacji mogą mózgowi dostarczyć czytanie, pisanie, gry planszowe, krzyżówki i inne łamigłówki, a także dyskusje w grupie, nauka języka obcego albo gry na instrumencie.
- Oglądanie telewizji ogranicza funkcje poznawcze – zostało to potwierdzone w badaniach.
- Mózg lubi towarzystwo – aktywność społeczna wiąże się z jego lepszym funkcjonowaniem poznawczym i mniejszym ryzykiem rozpadu poznawczego.
- Relacje społeczne i humor pomagają zwalczać stres.
- Stres – szczególnie przewlekły – nie służy mózgowi: ogranicza, a nawet hamuje neurogenezę, zakłóca pamięć i elastyczność umysłową.
- Mózg korzysta z ruchu i ćwiczeń, takich jak bieganie czy jazda na rowerze; przeciwdziałają one skutkom stresu, prowadzą do powstania nowych neuronów i połączeń w mózgu.
- Mózg lubi spożywać kwasy tłuszczowe omega-3 i warzywa (pełne przeciwutleniaczy), a także nieznaczne dawki alkoholu; taka dieta zmniejsza ryzyko rozpadu poznawczego i otępienia. Natomiast tytoń szkodzi naszym szarym komórkom.
- Dobrze robi naszemu mózgowi medytacja – pomaga opanować stres, wyćwiczyć kontrolę emocji i skupienie uwagi. Kilkutygodniowy trening uważności może zwiększyć objętość mózgu w obszarach zaangażowanych w uczenie się, pamięć i regulację emocji.

Na podstawie: Elkhonon Goldberg, Alvaro Fernandez i Pascale Michelon, *Fitness mózgu*, Wydawnictwo Naukowe PWN, 2015

charaktery magazyn psychologiczny

SZYNKA Z AUTOMATU

W Grazu w południowo-wschodniej Austrii uruchomiono automat z kiełbasą i innymi wyrobami mięsnymi. Maszyna działa całą dobę, oferując wiele kiełbas i wędlin, w tym wegetariańskich. Pierwszy klient pojawił się już o północy pierwszego dnia i kupił stek. Nie ma co się dziwić – w polskich akademikach w automatach można już od dawna kupić na przykład chleb.

PROCENTY W ŚWIĘTA

Powszechnie wiadomo, że święta to czas słodyczy i mandarynek. Nie jest tajemnicą, że w czasie świąt skokowy wzrost sprzedaży odnotowuje też alkohol. Ostatnio największą popularnością cieszyły się trunki z najwyższej półki – dobra whisky czy rum.

Przegląd „PRZEGLĄD" NA ANTENIE
POSŁUCHAJ, O CZYM PISZEMY

RDC Warszawa 101 FM DAB+

RADIO PARADA 96.00 FM Łódź 96 FM

ĆWICZ UMYSŁ, PÓKI CZAS – ODPOWIEDZI:

1. b
2. torba (zmieniają się dwie litery)

eprasa.pl 5fa83ab64c

RUM ZA DŁUG

Kuba chce spłacić pochodzący jeszcze z czasów komunizmu dług wobec Czech. Oferta jest dość niecodzienna, gdyż formą płatności ma być... rum. Alkoholowa równowartość 265 mln euro wystarczyłaby rządowi Czech na 147 lat. Niestety, w oficjalnym oświadczeniu rzecznik Ministerstwa Finansów podał, że jego kraj woli gotówkę.

KŁOPOTY Z PAPIEROSEM

Samolot lecący z Dallas do Indianapolis musiał awaryjnie lądować w Little Rock, gdyż niesprawny elektroniczny papieros w torbie pasażera spowodował na pokładzie niewielki pożar. Nikomu nic się nie stało, ale podróżni musieli się przesiąść do maszyny zastępczej. Nie wiadomo jeszcze, jakie będą konsekwencje, producenci gumy nikotynowej zapewne wietrzą interes.

JAWNA WYPŁATA

Jimmy Kimmel, gwiazdor amerykańskiej telewizji, który w tym roku ma prowadzić galę Oscarów, ujawnił swoje wynagrodzenie. Prezenter za jeden wieczór ma otrzymać 15 tys. dol., czyli ok. 63,5 tys. zł. Podobno w amerykańskiej branży rozrywkowej to niewiele.

PLAYBOY SIĘ ŚMIEJE

– Co jesteś taka wkurzona?
– Kupiłam mężowi pod choinkę kołowrotek do wędki.
– No to chyba dobrze. Twój stary co weekend z kolegami na ryby jeździ. Nie spodobał mu się?
– Gorzej. Zapytał: „Co to jest?”.

•

W restauracji: – Kelner! Kelner! Ten kurczak mi nie odpowiada!
– A o co szanowny pan go pytał?

•

W pociągu w jednym przedziale jadą mężczyzna i kobieta, sami, trasa długa. Facet czyta gazetę, a kobieta – to się na siedzeniu powierci, a to oczami pomruga, a to westchnie… Facet siedzi jak skała. W końcu po godzinie babka nie wytrzymuje:
– Panie, pan jesteś mężczyzną, czy nie? Już godzinę pana kokietuję, a pan na mnie uwagi nie zwraca! Powiem wprost: Kochajmy się!
– Zawsze mówiłem – odparł facet, odkładając spokojnie gazetę na bok – że lepiej godzinę przeczekać niż trzy godziny namawiać.

FOT. AFP/EAST NEWS (2), DOCINEK.COM

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 (22) 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax (22) 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
redakcja@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

REDAGUJE KOLEGIUM
Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Kacper Leśniewicz, Bartosz Machalica, Mariola Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński (komentator), Wojciech Osiński (Berlin), Arkadiusz Panasiuk (Białystok), Maciej Polkowski, Wiktor Raczkowski, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Katowice)
Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało, Piotr Żuk
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Agnieszka Szeszko
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytor: Magdalena Głuska **Fotoreporterzy:** Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
p.o. Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy: Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Kierownik sekretariatu fundacji i redakcji: Sandra Zawadzka

Redakcja zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Rozpowszechnianie artykułów bez zgody wydawcy jest zabronione.

Druk: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi, al. Piłsudskiego 82
Prnumeratę krajową od dowolnego numeru można zamówić w Dziale Kolportażu „Przeglądu”. Prenumerata roczna – 250 zł, półroczna – 130 zł, kwartalna – 70 zł
Prenumerata zagraniczna pocztą priorytetową jeden kwartał: Europa, Ameryka Płn., Afryka, Ameryka Płd., Azja, Australia i Oceania – 225 zł. Wpłata za prenumeratę krajową i zagraniczną na konto **Nr 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821.** Dodatkowe informacje o prenumeracie
Dział Kolportażu: tel. +48 (22) 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Prenumerata realizowana przez RUCH S.A.: Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać na stronie **www.prenumerata.ruch.com.pl.** Pytania prosimy kierować na adres e-mail: **prenumerata@ruch.com.pl** lub do Centrum Obsługi Klienta „RUCH” tel.: +48 (22) 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7.00-17.00.

WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
Sąd Rejonowy dla m. st. Warszawy
XIII Wydział Gospodarczy KRS nr 0000198445

Projekt graficzny
ART REPUBLICA
Rafał Poławski
i Magdalena Jonas-Poławska

Finansowe wspieranie „Przeglądu”
Fundacja Oratio Recta
Bank BZ WBK 35 o/Warszawa
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl 5fa83ab64c

Muzeum dla Dzieci
w Państwowym Muzeum Etnograficznym
Warszawa, ul. Kredytowa 1
do 15 lipca
www.muzeumdladzieci.pl

Ginter Franciszek Ryborz – prawdopodobnie ostatni tradycyjny sieciarz w Polsce.

Patriotyzm codzienności rozumiany jest przez twórców wystawy jako aktywność ludzi i organizacji przejawiająca się szczególnym zaangażowaniem w sprawy wspólne, odkrywaniem i budowaniem tożsamości, kształtowaniem postaw obywatelskich. Zwłaszcza ich codzienna, „niespektakularna" działalność na rzecz społeczności lokalnych w wymiarze kulturalnym, edukacyjnym, etycznym, przede wszystkim na rzecz środowisk najbardziej potrzebujących, narażonych na społeczne wykluczenie. Autorzy wybrali nowoczesną, atrakcyjną dla widza formę wystawy – artystycznych instalacji i aplikacji multimedialnych zawierających m.in. fotografie i filmy – specjalnie dostosowaną do percepcji dzieci, ale treścią właściwą do odbioru również dla dorosłych.

Beata Kuracińska – Fundacja ARTmosphere.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

Paweł Sroczyński – Fundacja Cohabitat, architekt, promotor budownictwa naturalnego.

eprasa.pl 5fa83ab64c

sklep.mleczko.pl

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

KRAKÓW
ul. św. Jana 14
tel: 12 421 71 04

WARSZAWA
ul. Marszałkowska 140
tel: 795 029 829

www.mleczko.pl

eprasa.pl 5fa83ab64c

NAGRODA
DAVID DI DONATELLO
NAJLEPSZY FILM
NAJLEPSZY SCENARIUSZ

MFF
W TRIBECE
NAJLEPSZY SCENARIUSZ

MFF
W BARI
NAJLEPSZY SCENARIUSZ

SREBRNA WSTĄŻKA
NAGRODA WŁOSKIEGO STOWARZYSZENIA KRYTYKÓW FILMOWYCH
ZESPÓŁ AKTORSKI

Słodko-gorzka komedia z fantastyczną **KASIĄ SMUTNIAK**

dobrze się kłamie w miłym towarzystwie

REŻYSERIA
PAOLO **GENOVESE**

KAŻDY Z NAS MA TRZY ŻYCIA:
PUBLICZNE, PRYWATNE I... **SEKRETNE**

NAJLEPSZY WŁOSKI FILM ROKU PONAD 2,5 MILIONA WIDZÓW!

W KINACH OD 6 STYCZNIA

WSPÓŁFINANSOWANIE Co-funded by the European Union Creative Europe MEDIA

DYSTRYBUCJA AURORA

eprasa.pl 5fa83ab64c